

Narodziny bohaterki, o której trudno zapomnieć –
pełnej hartu ducha, gniewu i niespotykanej łagodności.



KWIAŁY NAD PIEKŁEM

ILARIA TUTI



WYDAWNICTWO
SONIA CZAJKA

ILARIA TUTI
**KWIATY
NAD
PIEKŁEM**

Z języka włoskiego przełożyła
Lucyna Rodziewicz-Doktor



Tytuł oryginału: *Fiori sopra l'inferno*
© 2018, Longanesi & C. S.r.l., Milano
Gruppo editoriale Mauri Spagnol

Copyright © 2019 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga
Copyright © 2019 for the Polish translation by Lucyna Rodziewicz-Doktór (under exclusive license to
Wydawnictwo Sonia Draga)

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Katarzyna Wiśniewska
Korekta: Joanna Rodkiewicz, Iwona Wyrwisz

ISBN: 978-83-8110-906-2

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!
Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.
ul. Fitelberga 1, 40-588 Katowice
tel. 32 782 64 77, fax 32 2532519
e-mail: info@soniadraga.pl
www.soniadraga.pl
www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2019

Skład wersji elektronicznej:

virtualo
konwersja.virtualo.pl

Spis treści

1
2
3
4
5
6
7
8
9
10
11
12
13
14
15
16
17
18
19
20
21
22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

40

41

42

43

44

45

46

47

48

49

50

51

52

53

54

55

56

57

58

59

60

61

62

63

64

65

66

67

68

69

70

71

72

73

74

75

76

77

78

79

Epilog

80

81

Od autorki

Podziękowania

Przypisy

Dla Jasmine

*Wtedy czerwieniowi, który cię będzie beztrosko
Toczył w mogilnej ciemności,
Powiedz, że ja zachowałem formę i treść boską
Mojej zetlełej miłości.*
CHARLES BAUDELAIRE¹

*Nie zapominaj:
kroczymy nad piekłem
podziwiając kwiaty.*
ISSA KOBAYASHI

Austria, 1978

Nad tym miejscem ciążyła pewna legenda, jedna z tych, które ciągną się za kimś jak uporczywy smród. Powiadano, że późną jesienią, zanim deszcze przemienią się w śnieg, nad alpejskim jeziorem unoszą się złowrogie opary.

Pną się po zboczu wraz z porannymi mgłami, a wtedy w stawie odbija się niebo. To raj przegląda się w piekle.

Można wtedy usłyszeć żalosne zawodzenie, odbijające się echem od murów dziewiętnastowiecznej budowli na wschodnim brzegu.

Szkoła. Tak w miasteczku mówiono o budynku, choć wielokrotnie zmieniał swoje przeznaczenie i nazwę: myśliwska rezydencja cesarza, nazistowska kwatera główna, prewentorium przeciwgruźlicze dla dzieci.

Teraz na korytarzach niepodzielnie panowała cisza, odrapane ściany, wyblakłe malowidła i echo samotnych kroków, a w listopadzie także wycie, które rozlegało się we mgle i wspinało na okna na najwyższych piętrach, aż po spadzisty, lśniący od szronu dach.

Ale legendy są dobre dla dzieci i melancholijnych staruszków o gołębich sercach. Agnes Braun dobrze o tym wiedziała. Szkoła była jej domem od zbyt wielu lat, żeby te nocne pojękiwania wywierały jeszcze na niej jakieś wrażenie. Znała skrzywienie każdej klepki i bulgotanie w każdej zardzewiałej rurze biegnącej w szczelinach ścian, chociaż większość pięter została zamknięta, a drzwi do sal zabito deskami.

Od kiedy budynek zaczął pełnić funkcję sierocińca, państwowe środki coraz bardziej się kurczyły, brakowało także prywatnych darczyńców; nikt nie kwapił się, by sypnąć groszem.

Agnes przeszła przez piwniczną kuchnię położoną między spiżarnią a pralnią. Pchała przed sobą wózek, zręcznie omijając kadzie, które już za kilka godzin buchną lepką parą. Była sama o tej porze – już nie nocnej, ale jeszcze nie dziennej. Towarzyszyły jej tylko przelotny cień szczura i zarysy tusz wiszących w dawnej chłodni.

Windą towarową wjechała na pierwsze piętro, do skrzydła, nad którym przydzielono jej pieczę. To, co zaraz miała zrobić, od pewnego czasu

wywoływało u niej trudny do nazwania dyskomfort, jakby drażącą ją po cichu chorobę, która zwlekała z ostatecznym atakiem.

Winda zaskrzypiała pod ciężarem wózka i jej ciała. Zatrzeszczały łańcuchy i liny. Kabina zatrzęsała się i ruszyła w górę, by z ostrym szarpnięciem stanąć kilka metrów wyżej. Agnes odsunęła metalową siatkę. Korytarz na pierwszym piętrze ciągnął się jak długa, pomalowana na bladoniebiesko kiszka, z wykwitami wilgoci i rzędem dużych okien we wnękach.

Jedna okiennica rytmicznie uderzała o framugę. Kobieta zostawiła wózek i pośpieszyła, żeby ją zamknąć. Szyba była zimna i zaparowana. Agnes przetarła ją dłonią. Świt dobywał z ciemności dolinę i miasteczko. Dachy domów wyglądały jak małe ołowiane kosteczki. Ponad nimi, na wysokości tysiąca sześciuset metrów nad poziomem morza, między zabudowaniami a Szkołą, nieruchoma i zasnutą jeszcze oparami tafla jeziora powoli barwiła się na różowo. Niebo było bezchmurne, ale Agnes wiedziała, że tego dnia słońce nie ogrzeje spadzistej polany. Odkryła to w chwili, gdy spuściła nogi z łóżka i poczuła narastającą migrenę.

Mgły zaczęły się podnosić, pochłaniając widzialny świat; światło, dźwięki, wszystkie zapachy nasiąknęły ich zbutwiałą wonią – wonią kości. Jak żywe sunęły w górę po oszronionej trawie, a z ich wnętrza dobywały się jęki.

Oddech umarłych – pomyślała Agnes.

Ale to był wiatr, *buran*, który nacierał od północnego wschodu. Zrodzony na odległych stepach, przemierzył tysiące kilometrów, by na koniec wpaść w wąskie doliny, warczeć nad brzegiem rzeki, na skraju lasu, hulać po pustych terasach, wzbić się z gwizdem i roztrzaskać na skalistej ścianie.

To tylko wiatr, powtórzyła w duchu kobieta.

Zegar wahadłowy w holu wybił szóstą. Zrobiło się późno, ale Agnes ani drgnęła. Zwlekała. I dobrze wiedziała dlaczego.

– Mam omamy – szepnęła.

Zacisnęła dłonie wokół stalowej rączki wózka. Pojemniki zabręczały, gdy wolnym krokiem ruszyła w stronę drzwi na końcu korytarza.

W stronę Gniazda.

W jej głowie nagle pojawiła się pewna myśl, która przyprawiła ją o skurcz żołądka: ta sala naprawdę była jak gniazdo. A przynajmniej od kilku tygodni. Aż buzowała od cichej, ukradkowej pracy. Jakby jakiś owad przygotowywał się do wyklucia. Agnes była pewna swoich podejrzeń, chociaż nie do końca potrafiła wytłumaczyć, co tak naprawdę działo się w środku. Nikomu nie

pisnęła ani słowa, nawet dyrektorowi. Wzięłby ją za wariatkę.

Wsunęła rękę do kieszeni fartucha, a jej palce musnęły szorstką tkaninę kaptura. Wyciągnęła go i założyła na twarz. Cienka siateczka zakrywała nawet oczy, przesłaniając otoczenie. Taka była zasada.

Weszła do środka.

Sala tonęła w ciszy. W pękatym żeliwnym piecu tuż obok drzwi żarzyło się jeszcze kilka polan, roztaczając przyjemne ciepło. Łóżka stały w czterech rzędach, w każdym po dziesięć. Zawieszane na nich tabliczki nie zawierały żadnych imion, lecz tylko cyfry.

Nie słyhać było ani płaczu, ani wołania. Agnes wiedziała, co by zobaczyła, gdyby tylko miała odwagę przyjrzeć się uważniej – zgaszone, pozbawione wyrazu oczy.

W każdym łóżku, z wyjątkiem jednego.

W absolutnej ciszy do jej uszu docierał jeden dźwięk. To on wierzgał nogami, nabierał sił. Przygotowywał się. Nie wiedziała jednak do czego. Może naprawdę oszalała.

Powoli, krok za krokiem, podeszła do numeru trzydziestego dziewiątego.

Obiekt, w przeciwieństwie do reszty, tętnił życiem. Jego wyjątkowe oczy baczenie patrzyły i śledziły każdy jej ruch; Agnes wiedziała, że usiłuje złapać przez siatkę kaptura jej wzrok, dlatego wciąż z konsternacją odwracała oczy. Obiekt numer trzydzieści dziewięć był świadomy jej obecności, chociaż nie powinien.

Kobieta upewniła się, czy nikt z pracowników nie zagląda przez drzwi, i wyciągnęła palec. Obiekt ugryzł ją, mocno zaciskając dziąsła na jej ciele. Jego oczy rozbłysły demonicznie. Kiedy Agnes zaklęła i wyrwała rękę, z jego ust wydobył się krótki, nerwowy jęk.

Oto jego prawdziwa natura. Drapieżna.

To, co wydarzyło się chwilę później, przekonało ją, że nie może już dłużej ukrywać swoich podejrzeń.

Obiekty sąsiadujące z numerem trzydziestym dziewiątym też przerwały ciszę. Ich oddechy zrobiły się przyspieszone, jakby odpowiadały na wezwanie. Gniazdo buzowało.

A może tylko tak się jej zdawało.

1

Teraz

Kruk leżał obok ścieżki. Miał otwarty dziób, a jego zmierzwiłone pióra połyskiwały fioletowym blaskiem. Pod nabrzmiałym brzuchem widoczna była kałuża krwi, która zdążyła już wsiąknąć w ziemię i wyschnąć pomimo dużej wilgotności powietrza.

Tkwiał tak już pewnie jakiś czas, z jednym okiem wpatrzonym w zapowiadające śnieg niebo, a drugim w nie wiadomo co.

Mathias przykucnął przy zwłokach ptaka i przyglądał im się uważnie przez kilka chwil. Zastanawiał się, czy pchły opuściły ciało, gdy tylko serce przestało bić. Tak powiedział mu kiedyś jeden myśliwy i ten szczegół długo nie dawał mu spokoju. Przerazał go i jednocześnie fascynował.

Szturchnął kruka czubkiem palca. Ptak był stary. Wskazywał na to biały gładki dziób. Jego łapki były sztywne, a silne szpony kurczowo zaciskały się na pustce.

Od razu wytarł rękawiczkę w spodnie. Gdyby jego ojciec to zobaczył, wymierzyłby mu policzek. Wielokrotnie przyłapał go na obserwowaniu trupów drobnych zwierząt w ogrodzie albo zagajniku za domem i zawsze karmił go słowem, którego Mathias nie znał, ale w ustach ojca brzmiało złowrogo. Chłopiec szukał go nawet w słowniku. Teraz wyleciało mu z głowy, pamiętał jednak, że miało coś w wspólnego z szaleństwem.

Mathias chciał zostać w przyszłości weterynarzem, dlatego korzystał z każdej okazji, by dowiedzieć się czegoś nowego. Obserwacja – powiedział mu kiedyś dziadek – to połowa nauki. Reszta to eksperymentowanie.

Chłopiec wstał, nie odrywając oczu od zwierzęcia. Najchętniej by je pochował, ale zaraz pomyślał, że lepiej zostawić ptaka tak, jak leży: przyroda jest drapieżna, karmi się takimi resztkami, które na pewno się nie zmarnują.

Dzwony kościoła w miasteczku zabiły dwa razy długo i raz krótko. Zrobiło się późno. Czekano już na niego w sekretnym miejscu.

Ruszył oszronioną ścieżką. Tego ranka domy w Traveni obudziły się przyprószone cienką śnieżną powłoką, która zaraz się stopiła, dobrze jednak rokowała zbliżający się sezon narciarski.

Dotarł na cypel położony tuż za granicami miasteczka. Nad rozciągającymi się poniżej lasami świerkowo-sosnowymi górował pomnik poświęcony ofiarom wojen napoleońskich. Brązowy grenadier z surowo ściągniętymi brwiami i długimi, zakręconymi ku górze wąsami wpatrywał się w horyzont. Na karabinie powiewał niebieski szalik, znak, że był tu już ktoś z grupy Mathiasa.

Chłopiec przyspieszył kroku. Rano, w szkole, nauczycielka wyjaśniała, co znaczy słowo „lider”. Słuchał jak zaszarowany. Podobało mu się jego brzmienie – miało w sobie coś stanowczego – ale też sama myśl, że można być dla innych przewodnikiem.

„Lider opiekuje się swoimi towarzyszami”, powiedziała nauczycielka. Tak właśnie czuł się Mathias. Wiedział, że grupa, jego przyjaciele, ma go za przywódcę nie tylko dlatego, że jest najstarszy – tego dnia miał dokładnie dziesięć lat, dwa miesiące i jeden tydzień – ale że można było na nim polegać.

Na pomniku powinien więc wisieć jego szalik, a nie Diega. To on powinien przyjść tu jako pierwszy i przetrzeć szlak towarzyszom, chociaż przebyli go już niezliczoną ilość razy. Zamiast tego przyglądał się martwemu ciału na poboczu drogi. Może jego ojciec miał rację.

Cypel z grenadierem kończyło skaliste urwisko, spadające wprost do łożyska potoku. Kilkadziesiąt metrów niżej woda bulgotała w ciemnych zakolach.

Mathias zaczął schodzić stromą i krętą ścieżką: przeskakiwał przeszkody, żeby było szybciej, a kiedy kamienie zgrzytały pod podeszwami trampek, przytrzymywał się biegnących wzdłuż trasy drewnianych barierek. Na piaszczyste nadbrzeże dotarł bez tchu, z drżącymi kolanami i rozpalonymi policzkami.

Ruszył wyżłobionym przez tysiąclecia wąwozem. Mostki przerzucone przez rzekę przeplatały się z żelaznymi lub drewnianymi stopniami wczepionymi w skałę. Szmaragdowy potok połyskiwał przez metalowe kraty, pachnąc lodem. Ciepłe promienie słońca prawie nigdy nie docierały na dno wąwozu.

Mathias słyszał własny oddech i bicie serca w piersi. Nagle dotarło do

niego, że jest sam. O tej porze roku turyści wybierali stoki narciarskie; tu, na dole, było zbyt zimno, ślisko i niebezpiecznie.

Odruchowo przyspieszył kroku.

Nad głową, ponad szpiczastymi czubkami świerków, na wysokości sześćdziesięciu metrów niebo przecinał stary wiadukt nieczynnej już linii kolejowej. Półtora wieku temu dziadek jego dziadka pracował przy jego budowie.

Z zadartym nosem, Mathias poślizgnął się na oblodzonym kamieniu i walnął kolanem w ziemię. Na jego zaskoczony krzyk odpowiedział głos dobiegający z lasu. Niski ryk. Chłopiec odwrócił się z zapartym tchem.

Słowa matki nie dawały mu spokoju: „Las to nie jest miejsce dla dzieci”.

Wstał, nie sprawdzwszy nawet ani stanu dzinsów, ani własnych dłoni, które paliły go pod wełnianymi rękawiczkami. Przeszedł przez mostek okalający wystającą półkę skalną. Z jednej strony widział mech, z drugiej wiry wodne. Dalej szlak prowadził przez niewielką jaskinię. Tych kilka ciemnych metrów Mathias pokonał biegiem, powtarzając sobie w duchu, że to z pośpiechu, a nie ze strachu. Zatrzymał się dopiero, gdy znalazł się po drugiej stronie jamy. Zagubiony promień słońca właśnie przeszył zieleni i zabarwił poszycie na złoto. Wodospad wpadał do potoku zapierającym dech w piersiach saltem, wzbijając w powietrze mikroskopijne kropelki, które latem – o ile światło zdołało tu dotrzeć – barwiły się na wszystkie kolory tęczy.

Jego przyjaciele siedzieli w kręgu na kamienistej plaży i czekali na niego. Lucia, Diego i Oliver.

Na ich widok z duszy Mathiasa uleciał wszelki strach, a na jego ustach zakwitł uśmiech. Nie było za nim nikogo. Nikt go nie śledził.

Obejrzał się za siebie i wyzywająco spojrział w ciemność. Zwyciężył, naprawdę jest liderem! I wtedy powoli uśmiech zaczął znikać z jego twarzy.

Teraz miał już pewność.

Ktoś krył się w mroku i go obserwował.

2

W trawie leżało ciało całe pokryte szronem. Biała skóra kontrastowała z czarnymi włosami i ciemnym zarostem na przyrodzeniu. Wokół była tylko brudna zieleń górskiej przyrody. Gdziekolwiek, w zacienionych miejscach lasu, leżał jeszcze śnieg. W nocy trochę prószyło i między rzesami nieboszczyka zachował się jeden kryształek lodu.

Mężczyzna leżał na plecach, z rękoma przy ciele i dłońmi na poduszkach z mchu. Na skórze nie było żadnych zadrapań. Spomiędzy palców wyrastało kilka zimowych kwiatów o bladych i przezroczystych płatkach.

Wyglądał jak namalowany. Cały w barwach zimnej krwi, pustych żył, stężyłych członków. Mróz uchronił go od rozkładu. Jedyńm zapachem, jaki unosił się nad zwłokami, była woń dzikiej natury: mokrej ziemi i gnijących liści.

Ktoś zatroszczył się o ciało.

Wokół niego porostawiano prymitywne wnyki z dratwy.

– Mają trzymać zwierzęta z daleka od ciała. Sprawca chciał, żebyśmy znaleźli je w nietkniętym stanie – oznajmił chrapliwy głos. Usta poruszały się blisko telefonu komórkowego, wydmuchując w powietrze słowa i parę. Wokół cicho wrzała praca: białe kombinezony, flesze aparatów, migające syreny.

– Nie wykonywał prac manualnych. Jego dłonie są gładkie, a obrączka wygląda na niezniszczoną. Ma zadbane paznokcie. Bez brudu.

Złoto na serdecznym palcu lewej ręki połyskiwało w sinym grudniowym świetle. Niskie chmury rzucały cień na ten skrawek świata.

Mężczyzna doznał ciężkich obrażeń twarzy, ale reszta ciała pozostała nienaruszona. Przez naskórek na szyi przebijała niebieska siatka naczyń krwionośnych. Zanim zmarł, zdążył się porządnie ogolić. Niewielki zarost był wynikiem ściągniętej *post mortem* skóry.

– Minimalne ślady krwi pomimo odniesionych ran. Prawdopodobnie jest ich więcej na ubraniu, ale ktoś je z niego zdjął.

Cisza.

– Zabójca rozebrał ofiarę, przygotował ją.

Pomimo tak skrupulatnych zabiegów na nieboszczyku i na ziemi wokół niego było pełno śladów, mieszanina błota i lodu, jakby sprawca nagle zapomniał o detalach. Poza ofiarą widoczne były odciski butów tylko jednej osoby, mężczyzny, na co wskazywał duży rozmiar – czterdzieści pięć.

Ręce, przeguby i kostki nie nosiły żadnych otarć po ewentualnych pętach. Ofiara była słusznej postury, wysoka i umięśniona, a mimo to zabójca dał sobie radę. Zaatakował ze zwierzęcą brutalnością.

Znałeś zabójcę, dlatego nie zacząłeś się bronić. Co sobie myślałeś, gdy dotarło do ciebie, że zaraz umrzesz?

Z wyrazu twarzy nie można było niczego wyczytać. Wargi były zaciśnięte, a oczy...

Ciało porzucono między korytem rzeki a szlakiem gęsto uczęszczanym przez turystów. Znalazł je jeden z nich, kilka godzin temu. To nie był ani przypadek, ani błąd: zabójca postanowił nie ukrywać ofiary.

– Nie widzę oznak przemocy seksualnej, chociaż sprawca rozebrał denata.

Szef lokalnej policji stwierdził, że ofiarą jest mężczyzna, który zaginął dwa dni wcześniej, po tym, jak odwiózł syna do szkoły. Na samochód natrafiono kilkaset metrów od ciała, w przepaści, między drzewami. Został zepchnięty w dół. Na ziemi były odciski kół i butów.

– Zabójca poruszał się pieszo. Ślady biegną dalej w las.

Komisarz Battaglia przerwała nagranie i podniosła wzrok. Nad głowami pracujących ekip przeleciał jakiś kruk, głośno kracząc. Chmury zapowiadały śnieżycę.

Nie było czasu. Musieli być szybsi, bardziej wydajni.

Pani komisarz podniosła się, a w jej stawach zaskrzypiało. Zbyt wiele dni spędzonych na kolanach. *A może zbyt wiele lat na karku – pomyślała. I kilogramów do zrzucenia.*

– Ruchy – rozkazała głośno.

Technicy kryminalistyki poruszali się jak białe milczące cienie pochylone nad szczegółami widocznymi tylko dla wprawnych oczu. Fotografowali, pobierali, klasyfikowali. To dopiero początek pracy nad zbieraniem DNA. Cały proces zakończy się wiele godzin później, w laboratorium Instytutu Medycyny Sądowej w mieście oddalonym o kilkaset kilometrów stąd.

Widok policji przyciągnął gapiów. Grupka turystów i miejscowych zebrała się pod drewnianym znakiem wskazującym szlak prowadzący do pobliskiego miasteczka, Traveni. Leżało zaledwie cztery kilometry stąd. Pośród ciekawskich nietrudno było wyodrębnić tych z okolicy: mieli groźne i ogorzałe twarze pozbawione równomiernej opalenizny, typowej dla amatorów tras zjazdowych, za to spalone przez różnicę temperatur i wysuszone przez wiatr.

– Znaleźliśmy ubrania! – ktoś zawołał z lasu.

Strach na wróble. To była pierwsza myśl pani komisarz.

Kukła wystawała ponad krzaki i kłóciła się z otoczeniem. Zrobiono ją z gałęzi, sznurka i zakrwawionej odzieży.

Za głowę robił podkoszulek ofiary, wypchany liśćmi i suchą trawą, za oczy – dwie purpurowe jagody. Kurtka i spodnie wisiały na drewnianym szkielecie, zegarek przypięto do gałęzi, która miała udawać rękę. Spod kurtki wystawała przesiąknięta krwią i całkiem sztywna koszula. Nie dało się stwierdzić, jaki miała pierwotnie kolor.

Jeden z policjantów podszedł do komisarz Battaglii.

– Ślady butów kończą się jakieś sto metrów na północ, między skałami – zameldował.

Morderca wiedział, którądy iść. Albo był stąd, albo dobrze znał okolicę.

Komisarz znowu przyłożyła telefon komórkowy do ust, wpatrując się w polanę i białe zwłoki, na które opadały płatki śniegu; przed chwilą zaczęło sypać.

Właśnie przykrywano ofiarę.

– Ten fetysz obnaża zabójcę – powiedziała. – Uważa swoje dzieło za godne podziwu i pragnął nas o tym poinformować.

Nagły hałas przerwał jej analizę. Wyteżyła wzrok, zastanawiając się, czy nie ma omamów. Jakiś mężczyzna brnął przez polanę, lawirując między wozami policyjnymi i drzewami. Co chwila grzązł w ziemi, ale nie zrażało go to. Przed mrozem chroniły go tylko szyta na miarę zwiewna marynarka oraz poplamiona błotem i śniegiem koszula. Bojowej minie towarzyszyły wypieki spowodowane wysiłkiem. A może zażenowaniem i wstydem?

Kiedy pani komisarz domyśliła się, kto to jest, swój stan ducha wyraziła jednym tylko słowem:

– Cholera.

3

Massimo stał po kostki w kałuży.

Jego twarz zdradzała targające nim emocje: wściekłość, rozpacz, niedowierzanie, ale przede wszystkim wstyd. Z trudem brnął przez zwodnicze kępki traw, które rozstępowały mu się pod nogami, objawiając mulistą pułapkę.

Czuł na sobie spojrzenia wszystkich: całego zespołu, do którego miał dołączyć po przeniesieniu. Wiedział, że przełożony też go obserwuje, gdzieś ze skraju lasu.

Śnieg, który przed chwilą tylko prószył, teraz zaczął obficie padać. Płatki muskały jego rozpaloną twarz, osiadały na skórze i topniały w mgnieniu oka.

Massimo zebrał się na odwagę i podniósł wzrok. Komisarz Battaglia to pewnie tamten facet pod czterdziestkę, odrobinę niższy od niego, z ogorzałą cerą i papierosem w ustach, który przygląda mu się spod zmrużonych powiek. Wskazał na niego jeden z policjantów, machając ręką w stronę przybysza. Massimo o nic więcej nie pytał i od razu ruszył przed siebie, ignorując ostrzegawcze pokrzykiwania kolegi po fachu. Nie rozumiał, skąd u niego takie poruszenie, dopóki po kilku metrach żwawego i demonstracyjnie swobodnego marszu nie zapadł się w błoto.

Nigdy nie zapomni tego dnia. Do biura dotarł z kilkominutowym opóźnieniem, potem czekał na korytarzu komendy ponad pół godziny, zanim ktokolwiek pofatygował się, by go powiadomić, że jego zespół dawno pojechał do wezwania. Nikt się nie zatroszczył, żeby na niego poczekać albo zostawić mu wiadomość. Zwyczajnie o nim zapomnieli.

Tylko pięć minut spóźnienia.

W pierwszej chwili Massimo pomyślał, że to jakiś żart, ale rozmawiający z nim policjant rzucił lapidarnie, że komisarz Battaglia nie ma poczucia humoru. On raczej też nie, jak można było zgadywać po jego minie.

Massimo miał dwie opcje do wyboru: albo poczeka na krześle na powrót zespołu, albo do niego dołączy, bez względu na to, gdzie się teraz znajduje.

Na swoje nieszczęście wybrał drugą z nich.

Nie spodziewał się, że będzie jechał prawie dwie godziny, nie odrywając wzroku od szyby, w ulewnym deszczu, walcząc ze strumieniami wody na asfalcie i oszalałą nawigacją. Kiedy w końcu dotarł do doliny, zaczął się kolejny koszmar – oblodzenie. Koła ślizgały się na wąskich i stromych serpentynach, przyprawiając go o zawał serca. Kilka razy samochód stawał w połowie podjazdu, bo opony nie łąpały przyczepności na oszronionej jezdni. Na szczęście obok przejeżdżał traktor. Podeszły wiekiem właściciel o winnym oddechu i niewyraźnej mowie nalegał, że mu pomoże. Twierdził, że w tym okresie roku często się to zdarza turystom i że chętnie odholuje go na górę.

– Co za różnica, pnie, gnój czy samochody – stwierdził.

Massimo przystał na propozycję z duszą na ramieniu. Zanim zaczepił linę holowniczą, rzucił ostatnie zatroskane spojrzenie na samochód, po czym wsiadł i wrzucił na luz.

Właśnie w ten sposób dojechał do Traveni: holowany przez ciągnik.

Pomimo obolałych z napięcia pleców i wściekłego bólu głowy wreszcie mógł się przyjrzeć krajobrazowi. Cechowało go pierwotne, z niczym nieporównywalne piękno. Ośnieżone szczyty wznosiły się ponad tysiącletnie bory jak przytępione ostrza, które przebiły gęsty dywan lasów. Wyglądały jak mitologiczni giganci i zmuszały do zadarcia głowy, wzbudzając jednocześnie instynktowny lęk przed wysokością. W zaroślach, pomiędzy limbami i krzakami jagodowymi, szumiały przezroczyste strumienie, które spływały krętymi korytami między skałami, lodowymi stalaktytami i wonnym mchem. W śniegu zalegającym na poboczu Massimo dostrzegł liczne ślady zwierząt.

To był świat bardzo odległy od tego, do którego przywykł; świat pokazujący człowiekowi, jak niewiele znaczy i jak daremny jest jego trud. Naturalny raj, daleki jednak od pierwotnej nieskazitelności. Część zbocza została całkiem ogołociona. Na polanie zajętej przez baraki stały spychacze i inne maszyny do wycinki lasu.

Massimo odwrócił wzrok z niesmakiem, jak ktoś, kto właśnie dostrzegł plamę na pięknym obrazie.

Za ostatnimi serpentynami wyłoniło się Traveni, położone na płaskowyżu, z którego roztaczał się widok na dolinę. Otaczała je korona gór. Domy w stylu alpejskim zbudowane były z kamienia i drewna. Przed wejściem do

każdego z nich ułożono stertę drewna na opał, z których unosił się zapach żywicy. W niewielkim centrum miasteczka architektura była już zgoła inna: kilkupiętrowe budynki cechowały pastelowe kolory i charakterystyczne spadziste dachy. Balkony i tarasy zostały już przybrane w bożonarodzeniowe ozdoby z ostrokrzewu i czerwonych kokard. Przy głównej ulicy znajdowały się bary i karczmy, sklep spożywczy oraz dwie kafejki. Przed pubem zgromadziły się grupki młodzieńców z deskami snowboardowymi pod pachami i kubkami z grzonym winem w dłoniach; niedaleko było stąd do stoków narciarskich. Znalazło się też miejsce dla apteki i kilku butików z odzieżą dla turystów.

Właściciel traktora zostawił Massima na centralnym placu, odmawiając przyjęcia zapłaty, którą przybysz próbował mu wcisnąć. Odjechał, pomachawszy na pożegnanie i zatrąbiwszy klaksonem. Massimo rozejrzał się wokół. Miasteczko wyglądało jak z pocztówki, z jednym wyjątkiem: na tablicy ogłoszeniowej przed ratuszem wisiały przypięte pinezkami ulotki zapraszające na spotkanie, które miało odbyć się tego wieczora w szkolnej sali gimnastycznej. Mieszkańców całej doliny zachęcano do czynnego udziału w zgromadzeniu przeciwko powstaniu nowej stacji narciarskiej. Massimo od razu pomyślał o placu budowy, który rzucał się w oczy u podnóża góry, i o wyciętych drzewach. Nawet tutaj, daleko od miasta, nie było spokoju.

Bez trudu namierzył swój zespół, bowiem ofiarę morderstwa znaleziono niedaleko za miasteczkiem, od strony granicy państwa. Dojechać tam można było górską drogą biegnącą między kamieniołomem i niskimi zagajnikami. Wozy lokalnej policji już utworzyły blokadę na całej szerokości jezdni. Jeden z funkcjonariuszy notował tablice rejestracyjne przejeżdżających samochodów i personalia ciekawskich, którzy wystawiali głowy, żeby cokolwiek dostrzec.

Massimo okazał legitymację i zapytał o komisarza Battaglię. Niedługo potem ugrzązł w błocie, z którego teraz z mozołem usiłował się wydostać.

Plusem było to, że przełożony przestał zwracać na niego uwagę. Rozmawiał ze starszą kobieciną opatuloną w płaszcz prawie sięgający kostek. Nie dało się jej nie zauważyć: prosto ścięte włosy i opadająca na oczy grzywka były we wściekle czerwonym kolorze, który kłócił się z naturalną harmonią barw. Właśnie wskazywała na żleb gubiący się gdzieś w lesie, a mężczyzna przytakiwał.

Widocznie kobieta była świadkiem. Może to ona znalazła ciało.

Massimo pokonał ostatnie metry. Ktoś wyciągnął do niego rękę, by pomóc mu wydostać się z grzędawiska. Przyjął pomoc, ale był tak zażenowany, że jego podziękowania zabrzmiały jak bełkot.

Po raz pierwszy od ukończenia akademii policyjnej czuł się oceniany. Miał przyspieszony oddech i ręce mokre od potu, pomimo mrozu. Wiedział, że trudno o gorszy początek.

– Inspektor Massimo Marini – przedstawił się, podając dłoń Battaglii. – Przydzielono mnie do pańskiego zespołu. Byłbym wcześniej, ale nikt mnie nie uprzedził o wyjeździe.

Ostatnie zdanie wyrwało mu się mimowolnie. A jego głos nawet dla niego samego zabrzmiał bezczelnie, jak u rozdrażnionego dzieciaka.

Nikt nie uścisnął mu dłoni, więc ją opuścił. Co za pechowy dzień.

Mężczyzna spoglądał na niego w milczeniu i nieznacznie kręcił głową, jakby chciał go ukradkiem przestrzec.

Odpowiedziała mu kobiecina.

– Nas też denat nie uprzedził o swojej śmierci, *inspektorze*.

Miała chrapliwy głos i taką minę, jakby znaczył dla niej mniej niż nic.

Massimo przyjrzał się jej bacznie. Wełniana czapka z cekinami rozpląszczała na czole łobuzerską grzywkę, która w ogóle nie pasowała do zniszczonej twarzy i surowych rysów zdradzających równie surowy charakter. Jej oczy rewidowały go jak niecierpliwe ręce, obmacywały, jakby czegoś szukały. Zębami przygryzała zauszniki okularów. Massimo zauważył, że miała cienkie wargi: od czasu do czasu ściągała je, jakby ważyła jakąś myśl. Być może ocenę.

Płaszcz skrywał korpulentną sylwetkę; materiał opinał się na szerokich biodrach.

Jeden z policjantów podszedł z telefonem komórkowym w dłoni i podał go kobiecie.

– Dzwoni komendant, pani komisarz. Pyta, czy ma pani chwilkę.

Przytaknęła i odeszła kilka kroków. Od czasu do czasu zerkała w stronę Massima.

Ten stał jak skamieniały. Ledwo się zorientował, że mężczyzna, którego wziął za Battaglię, uścisnął mu dłoń i przedstawił się jako agent Parisi. Kompletnie zaschło mu w ustach i był bliski hipotermii. W głowie szukał takich przeprosin, które nie zabrzmiałyby idiotycznie, ale gdy kobieta

skończyła rozmowę, zdołał wydusić z siebie tylko jedno zdanie, niestety, najmniej odpowiednie w tej sytuacji.

– Nikt mi nie powiedział, że mam pytać o kobietę, pani komisarz.

Spojrzała na niego tak, jak się patrzy na gówno przyklejone do czyjejs podeszwy.

– Jak widać, taka ewentualność nawet nie zaświtała w pańskiej głowie, inspektorze.

Inspektor. Młokos, na dodatek jak z żurnala wycięty. Teresa czuła jego wodę kolońską na odległość. W ogóle nie pasował do tego alpejskiego torfowiska, pełnego śniegu i krwi, którą woda wypłukiwała z mchu i zabierała ze sobą w głąb ziemi. Krwi człowieka zabitego w sposób, jaki rzadko zdarza się policjantowi oglądać.

Massimo Marini miał ładną buzię z niewielkim zarostem. Najwyraźniej nie ogolił się tego ranka. Coś poszło nie tak. I to bardzo nie tak, jeśli oceniać po wyglądzie.

Początek nie był najszcześniejszy. Wysiłki młodego inspektora, żeby zademonstrować swoją rezolucję, spęły na niczym. Teresa uważała jednak, że każdemu należy się druga szansa, nawet tak beznadziejnym przypadkom jak on.

Ciekawa była, dlaczego poprosił o przeniesienie z wielkiej metropolii do małego prowincjonalnego miasteczka. Od czego – a może od kogo – postanowił uciec ponad pięćset kilometrów?

Ludzie uciekają od tego, co ich przeraża, rani albo niewoli – pomyślała.

Czyżby miłość, która nadal nie daje mu spokoju? Ale na jego twarzy nie widać było rozpaczyny ani nieprzespanych nocy, tylko stres, którego przyczyną była ona sama, a nie jakieś piękne i niezdecydowane dziewczę. Co innego zmusiło go do ucieczki.

Patrzyła, jak stoi nieruchomo, podczas gdy płatki śniegu opadają na jego nieco bardziej przygarbione, niż kiedy się pojawił, ramiona.

Teresa powstrzymała uśmiech zadowolenia. Uwielbiała doprowadzać do rozpaczyny nowo przybyłych i nie zamierzała dla nikogo robić wyjątku. Cieszył ją wzrok jak u zbitego szczeniaka. Wiedziała, że przez chwilę naprawdę bał się reprimendy, bo zachował się niegrzecznie i wypadł jak cymbał, chociaż na wszystkich chciał wywrzeć dobre wrażenie.

Zignorowała go i zwróciła się do Parisiego, kontynuując rozmowę

przerwaną przez komiczny występ inspektora.

– Trzeba będzie zejść do żlebu i poszukać tam, między roślinami – stwierdziła.

Policjant kiwnął głową.

Teresa popatrzyła na Mariniego. Ciekawa była, gdzie zgubił kurtkę albo cokolwiek, czym zazwyczaj chronił się przed zimnem, ale nie dała tego po sobie poznać. Zapytała za to:

– Inspektorze, może pan?

Aż się wzdrygnął, jakby się zastanawiał, o czym ona, do cholery, mówi, ale nie szukał ratunku. Zszedł do żlebu w tym, co miał na sobie, chwytając się kępek traw, żeby nie ześlizgnąć się do wody.

Teresa pokręciła głową. Po co komu takie ego, skoro tylko komplikuje życie.

Ale nawet nie pisał. Nie kazał sobie dwa razy powtarzać.

Dobry znak: chciał naprawić błąd i był gotów na wszystko.

Parisi już miał zdjąć ochraniacze, które włożył do inspekcji, i podać je koledze w tarapatach, ale Teresa go powstrzymała.

Razem przyglądali się, jak buty inspektora grzęzną w błocie, pośród śmierdzących liści i zgniłych resztek nie wiadomo czego.

Teresie niemalże zrobiło się go żal, ale widok był zabawny.

Massimo w końcu przełamał się i poprosił o pomoc.

– Czego mam szukać? – zapytał po kilku minutach szperania na oślep.

– Oczu – odpowiedziała Teresa. – Jeszcze ich nie znaleźliśmy.

4

Austria, 1978

W miasteczku wielu rozprawiało o Szkole, ale nieliczni naprawdę ją znali. Nikt nigdy nie postawił w niej nogi. Opowieści o tym ośrodku były często wyssane z palca i karmiły się jego tajemniczym wyglądem. W pewne poranki, o świcie, jej majestatyczny budynek wyrastał ponad niskie chmury jak cudowne zjawisko optyczne. Został wzniesiony na planie prostokąta i osadzony na podmurówce z nieociosanych kamieni, wydobytych w pobliskich kamieniołomach. Elewację na parterze wykonano z tynku rustykowanego. Od wyższych pięter oddzielał go kamienny gzyms w kształcie splecionych ze sobą pędów. Centralna fasada i jej dwa skrzydła – wschodnie i zachodnie – prezentowały się nader imponująco dzięki czterem filarom w stylu jońskim, między którymi znajdowały się okna zwieńczone trójkątnymi tympanonami. Nad ostatnim, trzecim piętrzem wznosiła się ścięta od góry kopuła. W lukarnie pod kopułą mieścił się zegar, zepsuty od niepamiętnych czasów. Mawiano, że wskazywana przez niego godzina – punkt trzecia – jest godziną śmierci jego twórcy, młodego architekta z Lienzu, porażonego przez piorun w pobliżu jeziora, nad którym podziwiał ukończone dzieło. Choć od tamtego czasu minęło prawie dwieście lat, starzy ludzie nadal opowiadali o Bożym gniewie za afront zadany Wszechmocnemu. Te miejsca zostały stworzone dla ciszy, wiatru i wysokogórskich kwiatów, a człowiek pogwałcił je swoją pychą.

Gdy Magdalena stanęła pod Szkołą i spojrzała na nią z bliska, wreszcie zrozumiała sens tej anegdoty: budowla nie pasowała do otoczenia, była pomyłką. Kaprysem wyższych sfer, które nie wiedzą, co to umiar.

Dotarła tu na piechotę, drogą biegnącą z położonego poniżej miasteczka. Potem weszła na ścieżkę pnącą się po przeciwległym zboczach góry, żeby w ten sposób zaoszczędzić na czasie. Od pobliskiego jeziora biła ostra woń porostów i szlamu. Wyglądało jak ukryte w ziemi oko.

Przed wejściem stanęła z zadyszką i zbuntowanym lokiem, który wysunął się z koka. Czym prędzej upięła go spinką, sprawdzając jednocześnie stan obuwia. Masywne drzwi otworzyły się, zanim dziewczyna zdążyła dotknąć kołatki w kształcie głowy wilka. Małe surowe oczka osadzone na szerokiej i pozbawionej określonego wieku twarzy wpatrywały się w nią uważnie.

– Magdalena, jak mniemam. Proszę za mną.

Opiekunka Agnes Braun była jak budynek, w którym mieszkała – sroga i zaniedbana. Siwiejące i gęste włosy okalały twarz wyglądającą na dużo młodszą, niż Magdalena się spodziewała. Przy odrobinie troski ta kobieta mogłaby prezentować się bardzo atrakcyjnie, ale pewne zabiegi chyba nie były mile widziane w Szkole. Zasugerowano jej, by na rozmowę rekrutacyjną stawiała się bez makijażu, ze spiętymi włosami i w prostym ubraniu.

Panna Braun uprzejmie, acz chłodno wprowadziła ją do tego, co pewnie uważała za swoje królestwo, jeśli oceniać po sposobie, w jaki poruszała się pośród marmurów, złocień i nielicznych wykwintnych mebli, jakie tu jeszcze stały – krokiem władczyni. Budynek wyglądał na całkiem opustoszały i tonął w ciszy, więc Magdalena zaczęła rozmyślać, gdzie podzieli się wychowankowie.

Hol był czysty, ozdobiony mozaiką przedstawiającą austro-węgierski herb: czarnego dwugłowego orła na złotym tle. Ściany udekorowano malowidłami iluzjonistycznymi ze scenkami myśliwskimi. Jediną ciemną plamą pośród pastelowych barw był zegar wahadłowy z dwójką Murzynków intarsjowanych po prawej i lewej stronie kwadransa. Wyraz ich hebanowych twarzy był przerażający: otwarte usta szczyrzyły nadzwyczaj ostre zęby z kości słoniowej.

Agnes Braun spostrzegła u nowo przybyłej zaskoczenie.

– Wykonano go z materiałów przywiezionych z Afryki – wyjaśniła z zadowoloną miną. – Należał do rodziny dyrektora. To on postanowił ofiarować go Szkole.

Magdalena uznała, że wygląda potwornie, ale zmusiła się do uprzejmego uśmiechu.

Braun przyjrzała się jej w milczeniu, z rękoma splecionymi na brzuchu.

– Czy twoim zdaniem jest w dobrym guście? – zapytała.

Oczy dziewczyny uciekły przed jej spojrzeniem.

– Tak – odpowiedziała i w tej samej chwili zdała sobie sprawę, że

zabrzmiało to fałszywie.

Popatrzyła na kobietę i dostrzegła na jej ustach zarys uśmiechu. Agnes Braun wyglądała na zadowoloną.

– Nie musisz się wstydzic – usłyszała. – Twoje niewinne kłamstwo udowodniło mi, że pasujesz do tego miejsca. Szkoła wymaga posłuszeństwa, a posłuszeństwo zakłada wyrzeczenie się wolności, w tym wolności myśli, nieprawdaż?

Magdalena mimowolnie skinęła głową. W tej kobiecie było coś niepokojącego. Ona też wyglądała na pomyłkę, jak cała Szkoła.

5

Coś przeraziło dorosłych. Mathias odgadł to po spojrzeniach, które matka rzuciła w jego stronę, gdy rozmawiała z nauczycielką i innymi kobietami: były jak szarpnięcia za smycz, pilnowały go nawet z daleka. Na rękach trzymała jego kilkumiesięcznego brata, Markusa. Nie odłożyła go do wózka, chociaż już dawno spał.

Przez szkolną aulę przebiegały nerwowe szepty. Reflektory rzucały snopy światła na porzucone na scenie kolorowe kostiumy. Przed chwilą dwóch mężczyzn, których Mathias nigdy wcześniej nie spotkał w miasteczku, przerwało próbę jasełek. Zamienili kilka słów z nauczycielką, a potem podeszli do matki Diega, która po krótkiej rozmowie, blada i sztywna jak trup, wyszła w ich towarzystwie. Dopiero wołanie mamy Mathiasa przypomniało jej o obecności syna. Wróciła do niego i powiedziała, żeby tu został i był grzeczny, że zajmie się nim nauczycielka, a potem przyjdzie po niego babcia. Głos jej drżał.

Mathias spojrzał na Diega. Siedział wtulony w krzesło na widowni i nieruchomo wpatrywał się w czarne niebo przez rząd wysokich okien. Noc zapadała coraz wcześniej, zarażając ciemnością nawet ludzi. Traveni nie przypominało już tego miasteczka, które Mathias kochał. W ostatnich godzinach buzowało od podejrzeń, które spadały na mieszkańców jak śnieg. Od kiedy ojciec Diega zniknął, powietrze zatruł strach.

Mathias podszedł do przyjaciela. Jego twarz, ledwo muśnięta przez snop światła ze sceny, wyglądała jak mały, smutny, może odrobinę wściekły księżyc. Mathias chciał coś powiedzieć, wiedział jednak, że słowa nic tu nie pomogą.

Ojciec Diega nie żył. Nikt jeszcze nie powiedział tego na głos, ale oni już wiedzieli, tak jak się wie, że zaraz dostanie się pasem albo że gorączka rośnie, chociaż czoło nadal jest zimne.

Chłopiec zwinął w kulkę czapkę, którą trzymał w rękach, i rzucił nią w stronę przyjaciela.

Ręka Diega błyskawicznie się uniosła i złapała przedmiot w locie, chociaż jego oczy ani na moment nie oderwały się od ciemności.

Mathias uśmiechnął się odruchowo. Diego był obecny ciałem, ale jednocześnie tonął w bagnie sprzecznych uczuć. To był jego najlepszy przyjaciel i największy rywal. Najchętniej powiedziałby mu teraz, że nic go nie obchodzi bycie szefem grupy, że może zająć jego miejsce, bo to on ma wszystko, czego potrzebuje lider. Milczał jednak, bo wiedział, że nie byłoby to honorowe. Dalej będą się ścigać o palmę pierwszeństwa, a mimo to łącząca ich braterska więź nigdy nie osłabnie.

Mathias miał to już na końcu języka, ale nagle w jego głowie pojawiło się pewne podejrzenie, które w ostatniej chwili zmieniło zamiary chłopca.

– Gdzie jest Oliver? – zapytał.

Na ten dźwięk Diego wrócił na ziemię. Oliver był od nich młodszy zaledwie o rok, a mimo to wszyscy traktowali go jak swojego pupilka.

Spojrzeli na siebie porozumiewawczo. Musieli go znaleźć, musieli chronić, zwłaszcza tutaj, w tych murach.

Korytarz prowadzący do łazienek przypominał ciemny tunel bez końca. Ktoś pogasił już światła. Z sal lekcyjnych, przypominających tonące w mroku jamy, dobywał się zapach kredy i papieru.

Oliver głośno przełknął ślinę. Szukał włącznika, ale nie pamiętał, gdzie jest; nigdy nie był mu potrzebny. Po raz kolejny odwrócił się w stronę słabej poświaty. Tuż za rogiem, w połowie drugiego korytarza, drzwi do auli stały otworem.

Nie jestem sam – powtórzył w duchu.

Ruszył przed siebie. Miał do pokonania jeszcze tylko kilka metrów – czarnych jak otchłań – i zamierzał zrobić to bez niczyjej pomocy.

Wiedział, że on czai się gdzieś w ciemnościach – albo tutaj, albo na sali gimnastycznej, porządkując sprzęt, a może na stołówce, gdzie sprawdza, czy pozamykano wszystkie okna. Zawsze porusza się cicho i wszystkich mierzy surowym wzrokiem. Tylko przed Oliverem pokazuje, kim jest naprawdę: złem wcielonym, jak wróg z bajki. Bez powodu, bez umiaru. Na samą myśl o tym Olivera rozboleł brzuch.

Chłopiec zamrugał kilka razy. Czuł, jakby ciemność osiadła na jego rzęsach, skórze, ubraniu, i chciała go pogrążyć. Stawiał krok za krokiem. Wyobrażał sobie, że zanurza się w czarną bańkę, jest już blisko jej środka

i bardzo daleko od światła.

Gdyby teraz jakaś ręka nagle chwyciła go i pociągnęła... Przegnał tę myśl, ale dalej coś ścisnęło go w żołądku. Drzwi do łazienki nie mogły być daleko. Jeszcze kilka metrów i poczuje je dłońią, a wtedy cały strach zniknie w blasku światła. Mathias i Diego będą z niego dumni i wreszcie zaczną go traktować jak równego sobie.

Ruszył z większym przekonaniem i wreszcie poczuł pod palcami gładką powierzchnię. Po omacku nacisnął klamkę. Charakterystyczny odór chloru i środków czyszczących upewnił go, że to właściwe pomieszczenie.

Zawahał się na chwilę: musiał zebrać się na odwagę, żeby wsunąć ramię do środka.

– Dureń – powiedział do siebie ze wstydem, choć przecież nikt nie widział jego przerażenia.

Zacisnął wargi i wyciągnął rękę. Czuł, jak zalewają go na przemian to zimne, to gorące poty. Dotarł do włącznika i wreszcie na suficie z trzaskiem rozbłysła jarzeniówka.

Niebieskie kafelki połyskiwały w zimnym świetle. Z nieszczęelnego kranu powoli kapała woda.

Oliver wypuścił z płuc długo wstrzymywany oddech; nikt na niego nie czekał.

Wszedł do ubikacji i spojrzał na rząd trzech otwartych na oścież kabin. Wybrał tę pośrodku i zaczął rozpinąć spodnie. Przy pierwszym guziku znieruchomiał.

Nie był już sam. Ktoś stał za jego plecami. W ciszy do jego oddechu dołączył jakiś inny, ciężki, śmierdzący czosnkiem i nikotyną.

– Witaj, gówniarzu.

Oliver odwrócił się powoli, jakby usłyszał rozkaz. Cały się trząsł.

Masywna postać – wcielenie jego codziennego koszmaru – sprawiła, że sam poczuł się jeszcze mniejszy.

Abramo Viesel pracował jako woźny w szkole w Traveni. Był starszy od jego rodziców, ale młodszy od dziadków. Jego ciało było tak masywne, że z trudem się poruszał, a gdy chodził, kiwał się na boki jak kuter miotany falami. Oliver jednak nie nazwałby go grubasem. Za każdym razem gdy się pojawiał i prześladował chłopca, na myśl przychodziło tylko jedno słowo: potężny. Jak zła postać z komiksu o superbohaterach. Tak potężny, że mógłby go zgnieść.

Spojrzał na ręce woźnego: były wielkości głowy chłopca. Wyobraził sobie swoją twarz uwięzioną w tych grubych owłosionych palcach.

– Wystarczyło ci odwagi, żeby tu przyjść samemu – usłyszał. – To nie był dobry pomysł.

Oliver milczał. W tej sytuacji każde słowo byłoby błędem, dobrze o tym wiedział. Viesel z rozkoszą dręczył go od dnia, w którym chłopiec po raz pierwszy postawił nogę w szkole. Atakował go tylko słowami i jeszcze nigdy go nie tknął, ale Oliver czuł, że to się wkrótce zmieni. Znowu spojrzał na ręce woźnego i zobaczył, że całe drżą, jakby mięśnie spinały się pod skórą. Przypominały ryby w rzece podpływające do powierzchni wody, żeby nakarmić się owadami.

Wiedział, że pan Viesel też szukał pokarmu, tego, który nasyciłby jego najskrytszy głód – strachu Olivera. Przeniósł wzrok na nabrzmiąły brzuch mężczyzny. Zajmował całą przestrzeń w drzwiach.

– Czekają na mnie – wydusił z siebie szeptem.

Brzuch pana Viesela zatrzęsł się od rubasznego śmiechu, który niemalże natychmiast ucichł.

– Przyszedłeś, żeby się wysikać, to sikaj – rozkazał.

Nie zamierzał się odsunąć. Ręką przytrzymał drzwi toalety, tak żeby się nie zamknęły.

Oliver mocno zacisnął powieki. Ucisk, który czuł wcześniej na pęcherzu, przemienił się w ból.

– Muszę iść – powiedział. – Proszę.

– Nie, zostajesz. Na baczność, jak żołnierz, aż zsikasz się w majtki.

Oliver poczuł, że ma mokre policzki.

– Och, wyłazi z ciebie mała dziewczynka – szydził pan Viesel.

Oliver pomyślał, że Lucia to też mała dziewczynka, a mimo to jest odważna i silna. Otworzył oczy. Sylwetkę jego oprawcy rozmywały łzy.

Mężczyzna pochylił się w jego stronę.

– Wiesz, co ci zrobię, jeśli piśniesz komuś słówko, prawda?

Oliver nie odpowiedział.

– Przyjdę do ciebie w nocy, gdy będziesz spał, i... – Zdanie dokończył na migi, demonstrując, w jaki sposób go pochwyci.

Oliver zdusił okrzyk, a woźny się roześmiał. Wtedy coś uderzyło go w twarz i zaraz upadło na ziemię.

Viesel spojrzał na przedmiot, a Oliver podążył za jego wzrokiem. To była

gąbka. Zostawiła na policzku mężczyzny biały ślad po kredzie.

Woźny odwrócił się w stronę wejścia, co wykorzystał Oliver. Z całej siły wcisnął się między bok mężczyzny a drzwi, żeby odzyskać wolność.

– Gdzie ty się wybierasz? – usłyszał za sobą, ale było już za późno.

Mathias i Diego stanęli między nim a oprawcą.

– Koledzy przybyli ci z odsieczą – warknął woźny. – Kiedy wreszcie przestaniesz być takim mazgajem?

– Niech go pan zostawi w spokoju! – zawołał Mathias.

– A ty czego chcesz, Klavora? Ojciec za mało ci wlał w tym tygodniu?

Abramo Viesel wytarł twarz z kredy.

– Jest tu też młody Valent! – mówił dalej, patrząc na Diega. Schylił się i podniósł gąbkę z podłogi. – Marnie skończył twój stary.

– Milcz!

Głos Mathiasa przebrzmiał bez skutku. Oliver zobaczył, jak przyjaciel chwytą Diega za ramię i stara się go wyciągnąć z łazienki, ten jednak stał jak słup soli.

– Chodźmy już! – błagał Mathias.

– Słyszałem, co mówili do siebie policjanci na parkingu, zanim weszli po twoją matkę – wyszeptał Viesel, jakby chciał im zdradzić tajemnicę. – Chcesz się tego dowiedzieć?

Diego w milczeniu wpatrywał się w woźnego. Oliverowi przeszło przez myśl, że przyjaciel stoi jak zahipnotyzowany.

– Chcesz się dowiedzieć, jak umarł?

Teraz już cała trójka zamieniła się w słuch.

Abramo Viesel podniósł ręce, rozczapierzył palce jak drapieżne zwierzę otwierające szpony i powoli przysunął je do twarzy Diega.

– Zabrali go do lasu i tam wydłubali mu oczy. O tak!

Nagle z korytarza dobiegło wołanie nauczycielki. Mathias szturchnął Olivera w bok i jednocześnie wyciągnął Diega z łazienki.

Za ich plecami Abramo Viesel zaczął żalić się płaczliwie, jaki to on biedny, że musi sprzątać ubikacje po psikusach rozwydrzonych chłopców, a przecież ma takie problemy ze zdrowiem. Oliver nie odwrócił się ani razu, ale był pewien, że jedną ręką wymachuje gąbką, a drugą podpira się w krzyżu.

Spojrzał na Diega i nie poznał go. Przyjaciel był blady jak nieboszczyk. Zupełnie jak jego ojciec.

6

W ciemnym pokoju projektor wyświetlał na ekranie zdjęcia z miejsca zbrodni.

Były to zbliżenia sinych rozchylonych warg; naczyń krwionośnych, które rozchodziły się pod skórą jak ujście rzeki; białej klatki piersiowej; ciemnych otworów na twarzy zamiast oczu.

Fotografie stanowiły podstawę ich pracy. Były jak plastelina, z której w końcu ulepią twarz mordercy i połączą ją z imieniem i nazwiskiem. Bo to profil zabójcy, czyli portret jego psychiki, prowadzi do tożsamości, nigdy na odwrót.

Teresa przyglądała się uważnie zdjęciom, zanurzona w fotelu między komendantem Ambrosinim a zastępcą prokuratora Gardinim. Choć łączyła ich przyjaźń, w pracy respektowali ścisły podział wyznaczonych im ról. Za nimi siedziała reszta zespołu.

Wrócili do komendy niedawno, przemarznięci do szpiku kości po wielu godzinach wizji lokalnej i zbierania dowodów. Praca dopiero się rozpoczęła i od tej chwili dzień zleje się z nocą w jedną całość.

Teresę piekły oczy ze zmęczenia, ale zachowywała czujność.

Kolejne fotografie, tym razem nietkniętej jeszcze przez człowieka przyrody. Spomiędzy roślinności wystawały tabliczki i miarki, które technicy kryminalistyki umieścili obok każdego śladu krwi, odcisków i gałęzi połamanych przez zwierzę w ludzkiej skórze.

I jeszcze ten najgorszy element makabrycznego repertorium: kukła zrobiona z zakrwawionych ubrań ofiary.

Teresa usłyszała, jak oddech zastępcy prokuratora Gardiniego robi się ciężki z przerażenia. Właśnie zdała sobie sprawę, że to nie jest „zwyczajne” morderstwo. Mieli do czynienia nie tylko z psychozą, ale z czymś o wiele groźniejszym, czego na razie Teresa nie potrafiła zdefiniować.

Z pewnością nie znajdzie odpowiedzi pośród najczęstszych motywów zbrodni. Ludzki umysł nie rodzi takiego koszmaru z zazdrości, zemsty albo

dla pieniędzy. Fetysz krył w sobie o wiele bardziej złożone znaczenie. Przyciągał uwagę, bo miał wiele do powiedzenia.

– To chyba najbardziej niepokojący szczegół – wymamrotał komendant.

Teresa też tak uważała; na dodatek, gdy przyjrzała się uważniej kukle, dostrzegła coś więcej. Coś, czego nie potrafiła uchwycić, ulotny refleks, który pojawiał się na chwilę i gasł nagle, gdy tylko usiłowała znaleźć dla niego jakieś określenie.

– Coś nie tak? – zapytał zastępca prokuratora.

Nie odpowiedziała od razu, chciała, żeby jej przeczucia nabrały kształtów. Ale czekała nadaremnie. W końcu pokręciła tylko głową. Wołała nie wprowadzać innych w błąd i nie zdradzać swojego wrażenia – którego nie potrafiła umotywić – że gdyby nie okoliczności, w jakich znaleźli kukłę, oraz obecna na niej krew, strach na wróble wyglądałby dość infantylnie, a nawet zabawnie.

Jej uwagę przyciągnęły też oczy zrobione z jagód.

– Musimy się dowiedzieć, skąd zabójca je wziął – stwierdziła. – Nie widziałam ich w okolicy i nie sądzę, żeby były bez znaczenia.

Zastępca prokuratora kiwnął głową.

– Co mogą znaczyć? – zapytał.

Teresa nie była tego pewna, ale miała swoje podejrzenia.

– Zależało mu, żeby się pojawiły – powiedziała. – Jeśli totem przedstawia zabójcę, istotny jest kierunek, w którym patrzy.

Ale na co spogląda? Na umierającą ofiarę czy na pobliskie miasteczko?

Wcześniej, podczas oględzin, Teresa spostrzegła, że kukła skierowana jest tak, jakby wpatrywała się w dzwonnice kościoła w Traveni, i ten szczegół wzbudził jej obawy.

– Brak ust sprawia, że kukła jest pozbawiona wyrazu – zauważył Gardini.

– W ten sposób zabójca ukrył swoje emocje – wyjaśniła. – Nie da się stwierdzić, co wtedy czuł: złość, strach, przerażenie, a może uniesienie.

Zastępca prokuratora głęboko zaczerpnął powietrza.

– Nie zostawił wskazówek co do motywacji, które skłoniły go do działania – wymamrotał.

– *Nie chciał* ich zostawić – poprawiła go Teresa. – Nie sądzę, żeby chodziło o zaniedbanie.

– Co cię skłania do takiej hipotezy?

– Pedanteria, z jaką przygotował całą scenę. Pewnie wielokrotnie ją sobie

wyobrażał. I chciał, żebyśmy zastali ją w określonym stanie. Nie zapominajmy o pułapkach. To perfekcjonista.

– Czyli doprowadził nas do pewnego miejsca, a potem ukrył swój pierwotny zamysł.

Teresa przytaknęła.

– Zastanawiam się, czy brak nosa też jest jakimś podświadomym zatajeniem – powiedziała. – Organ bardziej czuły niż wzrok, ściśle powiązany z libido...

– Jaki z tego wniosek?

Teresa potarła oczy. Nie proszono jej tylko o słowa: często chodziło o odważne prognozy, które mogły przerodzić się w późniejsze oskarżenie. W najgorszym przypadku – tak jak teraz – o kierunek śledztwa.

– Za wcześnie na wnioski – odparła.

Gardini nie odpuszczał.

– Powiedz mi tylko, co przypuszczasz – nalegał, dobitnie artykułując słowa. Jego głos brzmiał uprzejmie, ale pojawiła się w nim nuta niecierpliwości.

– Nie chcę zamykać śledztwa na żadną ewentualność – odpowiedziała tym samym tonem, w ogóle nie patrząc na kolegę.

Zastępca prokuratora przysunął twarz do jej ucha.

– Tak się nie stanie – obiecał. – Będziemy brali pod uwagę każdy trop, dopóki uznasz to za konieczne.

– Nie jestem jasnowidzem – wysyczała Teresa, bacząc, żeby reszta widowni jej nie słyszała.

– Nikt tak nie twierdzi – wtrącił się komendant. – Ale zawsze trafiasz w dziesiątkę. Albo prawie zawsze. Dlatego naciskamy.

Westchnęła. Nigdy nie zrozumieją, o co tak naprawdę proszą.

– Na razie jestem w stanie naszkicować dość ogólnikowy portret psychologiczny – powiedziała. – Jeśli ukrycie narządów zmysłu nie było przypadkowe, może tu chodzić o silnie wycofaną osobowość, która cierpi na zaburzenia seksualności. Ale za wcześnie na jakiegokolwiek pewniki – dodała na koniec.

Kolejne zdjęcia przedstawiały zegarek ofiary, który wisiał na patyku służącym za przegub, i zapięty był tarczą do środka. Teresa nie miała pojęcia, co to mogło oznaczać.

– Co z oczami ofiary? – zapytał komendant cicho, szczypiąc palcami wąsy.

Teresa zauważyła, że ani na chwilę nie przestał ich maltretować.

– Nie znaleźliśmy ich – odparła. – Może winne są ptaki. A może zabójca zabrał je ze sobą jako trofeum. Oczy posiadają silną wymowę symboliczną. Odkrywają świat, obserwują, oceniają – wyjaśniła, gestykulując. – Patrzą i pożądamy. Może spojrzęły na coś, do czego nie miały prawa? Mówi się, że oczy są zwierciadłem duszy. I coś w tym jest, bo zabójcy często zakrywają je swoim ofiarom, żeby nie czuć na sobie ich wzroku. Żeby nie stracić chęci do odebrania komuś życia.

Gardini odwrócił się w jej stronę. Teresa wyczuła jego wątpliwości.

– Trofea? Symbole? Nie mówimy tu o seryjnym zabójcy.

Teresa wzruszyła ramionami, nie odrywając oczu od slajdów, które zmieniały się jeden za drugim.

– W tym zabójstwie jest coś patologicznego – zauważyła. – A to każe mi przypuszczać, że nie motyw jest w nim najważniejszy.

– Zgadząmy się, że psychoza odegrała tu znaczącą rolę, ale...

– Nie o to chodzi.

– A o co?

Teresa nie chciała tego zdradzić, jeszcze nie teraz. Bo skoro czynnik psychiczny jest tu tak istotny, jak sugerowałyby to rodzaj agresji, to jak wyjaśnić stopień zorganizowania widoczny w pozostałych elementach?

Albo jesteś kompletnym popaprańcem, albo wyrachowanym i pedanteryjnym zbrodniarzem. Jedno z dwóch.

– Dowiemy się więcej po rozmowie z patologiem – ucięła. – Wezmę ze sobą nowego, tego inspektora.

Komendant zgodził się skinieniem głowy.

– Zamierzasz go pomęczyć? – zapytał cicho, z lekkim uśmiechem, który natychmiast opanował.

Teresa spojrzała ukradkiem na Mariniego. Stał oparty o ścianę. Widać było, że próbował doprowadzić ubranie do ładu, ale samo mydło i woda nie wystarczyły, żeby przywrócić mu godną prezencję.

– Tylko tyle, ile trzeba – odparła, obracając się z powrotem w stronę ekranu.

7

Zakład Medycyny Sądowej był miejscem, które wywierało spore wrażenie, zwłaszcza jeśli przekraczało się jego podwoje w nocy, kiedy personel ograniczał się do dyżurnego patologa i dwóch pracowników, a światła były przygaszone. Choć w dzień przypominał szpitalny oddział – z bieganiną na korytarzach, głośnymi rozmowami, salami pełnymi doktorantów – w godzinach nocnych objawiał swoje najbardziej niepokojące oblicze. Cisza zmywała patynę normalności i obnażała prawdziwy charakter tego miejsca: samotnego kresu ziemskiej wędrówki. W powietrzu unosił się smutek, jakby cierpienie krewnych przywarło do ciał przechowywanych w komorach chłodniczych, a łyzy i szluchy przylgnęły do ścian.

Śmierć powinna kończyć w ziemi, a nie w betonie – pomyślała Teresa, przechodząc przez tonące w ciemnościach sale, gdzie bezruch ogarnął nawet to, co w innych okolicznościach by się poruszało: nie było okien, które wpuściłyby światło i świeże powietrze, a wyłączone maszyny nie miały czego monitorować. To nie było miejsce dla żywych istot.

Panem tego opustoszałego królestwa był Antonio Parri.

Teresa i Marini znaleźli go w jednej z sal, gdy przygotowywał zajęcia na następny dzień.

Pani komisarz zastukała w otwarte drzwi, po raz kolejny – jak zawsze zresztą – nie mogąc się nadziwić dziecinnej twarzy tego drobnego mężczyzny o białych zmierzwionych włosach: obserwował świat szeroko otwartymi błękitnymi oczami skrywanymi za parą okularów. Wiecznie niezaspokojona ciekawość, bystry umysł. Często to właśnie Parri jako pierwszy słyszał wnioski Teresy na temat takiego czy innego przypadku.

– Przez panią komisarz muszę pracować po godzinach – skarcił ją z udawanym naburmuszeniem, które od razu przerodziło się w uśmiech. Porzucił papiery, nad którymi ślęczał, i gestem zaprosił gości do środka. Z Marinim przywitał się skinieniem głowy. Przyjrzał się mu zaledwie przez kilka sekund, ale i tak umiałby go opisać w każdym szczególe: na tym

polegała jego praca i postępował tak zarówno ze zmarłymi, jak i z żywymi.

– Bez ciebie ani rusz – powiedziała Teresa, która w tych czterech słowach zawarła wszystko: złożoność sprawy, nietypowe elementy, które nie dawały jej spokoju, oraz potrzebę konfrontacji z analitycznym umysłem zdolnym dostrzec to co ona.

– Chodźmy – odparł patolog. – Już na nas czeka.

Ciało ofiary leżało na stalowym stole pod śnieżnobiałym prześcieradłem pachnącym mydłem. Parri traktował swoich gości ze szczególną troską i poszanowaniem. Pewnego razu Teresa widziała, jak zmienia okrycie, bo było poplamione. Zmarłemu raczej to nie przeszkadzało, ale krewnym mogło, i Antonio to wiedział. A co ważniejsze – rozumiał. Jego obecność sprawiała, że to miejsce stawało się mniej przygnębiające; rozświeślał je swoim człowieczeństwem.

Żona ofiary rozpoznała męża kilka godzin wcześniej, kiedy ciało leżało jeszcze w lesie, w plastikowym policyjnym worku. Wiedziano zatem, kim był mężczyzna, ale nie, co go spotkało i w jaki sposób przedwcześnie odszedł z tego świata.

– Wykonaliśmy wszystkie rutynowe badania – wyjaśnił Parri. – Analiza krwi, wymazy, materiał spod paznokci... Musimy jeszcze tylko przeprowadzić autopsję i poczekać na wyniki.

Odkrył zwłoki.

Teresa pokiwała głową ze wzrokiem utkwionym w nieboszczyku. Na jego oczodołach leżały kawałki gazy. Jeszcze jeden przejaw litości.

– Nie odbył stosunku przed zejściem. Rany na twarzy są głębokie i sugerują brutalne pobicie. Moim zdaniem nie użyto żadnego przedmiotu. Sprawca zrobił to gołymi rękami, *de facto* zostawił odciski.

Teresie nie umknął fakt, że Marini aż się wzdrygnął. Do tej pory trzymał się z boku i tylko od czasu do czasu wyciągał szyję, żeby spojrzeć na ofiarę.

– Nie zje cię – zwróciła się do niego. – Podejź i przypatrz się.

Inspektor posłuchał, ale dalej stał sztywno: nietrudno było się domyślić, że nie wie, jak ma się zachować. Teresa zauważyła, że młodemu policjantowi nagle zaczęło przeszkadzać jego własne ciało. Nie wiedział, gdzie podziąć ręce, jak stawiać kroki, co ze sobą zrobić.

– Nie znam się na tych sprawach – wyznał. – Niewiele pomogę.

– Nie znasz się na zamordowanych? To albo się poznasz, albo zmien

pracę. – Teresa przeniosła wzrok na Parriego. – Chcesz mi powiedzieć, że wydłubał mu oczy palcami?

– Chyba tak. Ofiara nie umarła od razu, ale dopiero po kilku godzinach, na co wskazują niektóre naczynia włosowate, które zdążyły się zamknąć. Ale prawdziwą przyczynę zgonu podam ci dopiero po pełnej autopsji. W każdym razie śmierć miała miejsce w dniu zaginięcia. Wykluczylbym uduszenie, tchawica wygląda na nietkniętą i nie ma sińców na szyi.

– Od takich ran chyba się nie umiera? – Marini w końcu ośmielił się coś powiedzieć.

– Nowy? – Parri zwrócił się do Teresy.

– Tak.

– Nie, chłopcze, od takich ran się nie umiera.

– Skoro zmarł po kilku godzinach, zabójca przyglądał się jego agonii – szepnęła Teresa w zamyśleniu. – A może wrócił, żeby ułożyć ciało i przygotować wcześniej zaplanowaną scenę.

– W jednym z oczodołów znaleźliśmy fragment paznokcia – kontynuował patolog. – Wysłałem go już do laboratorium, żeby zbadano DNA.

Parri zorientował się, że coś nie daje Teresie spokoju.

– Co cię nie przekonuje? – zapytał.

– Wszystko. I nic. Sama nie wiem... – Zdjęła okulary i zaczęła maniakalnie czyścić je skrajem rękawa. – Odnoszę wrażenie, jakby zbrodnię popełniło dwóch różnych ludzi. Jeden zrównoważony, metodyczny, który ułożył trupa w jasne, choć nie do końca, przesłanie, przygotował pułapki, żeby ciało zachowało się dla nas w możliwie nienaruszonym stanie, i ukrył samochód, żebyśmy nie od razu go znaleźli. Drugi kompletnie zdeorganizowany, wręcz dziki, na co wskazuje sposób, w jaki zabił: w pobliżu szlaku, nie dbając, że ktoś może go zobaczyć, bez pomocy sznura lub broni, jakby zabójstwo zostało popełnione w afekcie. Wszędzie zostawił odciski palców, lekceważąc najbardziej elementarne środki ostrożności.

Znowu przyjrzeni się ciału.

– Nie ma śladów po ugryzieniach – stwierdziła Teresa.

– Też to zauważyłem.

– Kiedy do agresji dochodzi z pobudek sadystycznych – wyjaśniała Mariniemu pani komisarz – nierzadko pojawiają się ugryzienia. Zabójca traci panowanie nad sobą i całkowicie oddaje się brutalności, ale w tym przypadku ich nie ma. Ani jednego zadrapania. Sprawca nie tknął reszty ciała, jakby

interesowała go tylko twarz.

– I to też cię nie przekonuje – odpowiedział Parri.

Teresa przytaknęła.

– Nie potrafię go rozgryźć, a zdarza mi się to po raz pierwszy. Nie wiem, z kim mam do czynienia.

– Może to wcale nie takie złe – wtrącił się Marini. – Chodzi mi o ten brak założeń. Trochę za wcześnie, żeby określać typ zabójcy.

Teresa spojrzała na niego z taką samą miną co rano, gdy dopiero pojawił się na miejscu zbrodni: zaciętą i wyzywającą jednocześnie. Nie była w stanie dać wiary, że jedna osoba może pomieścić w sobie tyle naiwności.

– Ty nawet nie wiesz, o czym ja mówię – powiedziała do niego.

– Myślę, że wiem.

Pokręciła głową.

– To nie było pytanie, inspektorze.

– Profil? – wtrącił się Parri, przerywając słowną potyczkę.

Teresa się zawahała.

– No, dalej – zachęcił ją patolog. – Masz wypisane na twarzy, że już się nad nim zastanawiasz.

– Antonio, mamy do czynienia tylko z jednym zabójstwem. Profile tworzy się w innym celu.

– Ale ty już o tym myślisz, prawda? Jest w tej zbrodni coś z rytualności, od razu to dostrzegłaś. A rytualność prowadzi do powtórki. Tak to działa, tak rodzi się seryjny zabójca.

Teresa przygryzła zauszniki od okularów. Była zmęczona, głodna i zdenerwowana. Parri znał ją na wylot, niczego nie dało się przed nim ukryć.

– Dwadzieścia pięć, trzydzieści lat – powiedziała w końcu. Mieszka sam. Ektomorfik, ale o dużej sile. Ofiara nie była wątłej postury. Zdezorganizowany, ale z przebłyskami metodyczności. Jest inteligentny, wątpię jednak, żeby osiągnął w życiu sukces ze względu na swoją psychozę. Prawdopodobnie w szkole otrzymywał słabe oceny, a teraz, jeśli w ogóle pracuje, pełni obowiązki dużo poniżej swoich możliwości. Introwertyk. Singiel. Przypuszczam, że nigdy nie był z kobietą. Może ma problemy natury seksualnej.

Marini westchnął.

Podświadomy odruch zdradzający wątpliwości – pomyślała Teresa.

– Czy chciałbyś coś przedyskutować? – zapytała.

Rozłożył ręce, a potem opuścił je wzdłuż tułowia.

– A jak pani sądzi? – odparł. – Chyba nie myśli pani, że jestem tu, by zabić czas? Jasne, że chcę rozmawiać i skonfrontować się, a nawet pokłócić, jeśli to w czymś pomoże, ale o fakty, o konkretne i prawdziwe elementy.

Teresa uśmiechnęła się. Do pewnych reakcji zdążyła już przywyknąć.

– Masz rację – zgodziła się. – Śmierć jest konkretna. Czujesz jej zapach, prawda?

Oczy inspektora zapłonęły. Może miał już dość tych docinków.

– Ja tak, a pani? – zapytał wyzywająco.

Parri otworzył usta, żeby się wtrącić, ale Teresa powstrzymała go wzrokiem. Ten przejaw niesubordynacji wcale jej nie martwił. Młodzieniec wreszcie pokazał coś więcej niż ładne wdzianko i naburmuszoną buzię: może gdzieś w środku krył się mocny charakter.

– Skąd mam pewność, że to, co mówię, ma sens? – powiedziała, podchodząc do niego. – Bo doświadczenie mi to podpowiada. Podpowiadają statystyki. Setki profili ludzi takich jak on, którzy zabili w określony sposób. W *ten* sposób. To nie magia. Ja nie zgaduję. Ja obserwuję. I ty też powinieneś.

Nocne powietrze było ostre i rześkie. Teresa odetchnęła pełną piersią, jakby chciała przewietrzyć płuca po kontakcie ze smutkiem. Zawsze tak się czuła po wyjściu z Zakładu Medycyny Sądowej, nieważne, ile lat minęło od pierwszego razu, ile autopsji widziała już w swojej karierze. Jakby wynurzała się z wody po długim bezdechu.

Żwawo ruszyła do samochodu, słysząc, jak kroki Mariniego wtórują jej za plecami. Wiedziała, że jest wściekły. Ona też by była. Ale właśnie tego teraz od niego oczekiwała: odrobiny zdrowej złości, młodzieńczego gniewu. Energii i impetu.

Dogonił ją.

– Co ja pani takiego zrobiłem? – zapytał.

Teresa udała, że nie rozumie.

– Skąd ta cała niechęć do mnie? Przez spóźnienie? Przepraszam, ale nie sądzę, żebym zasłużył na takie upokorzenie.

Teresa wybuchła śmiechem.

– Niechęć? Ależ skąd. A jeśli chodzi o upokorzenie... Cóż, sam się prosiłeś. Mogłeś trzymać język za zębami.

– No i widzi pani? Znowu to samo! Przecież to oczywiste, że mnie pani nie cierpi – nalegał.

Teresa zwolniła, a w końcu stanęła. Podniosła głowę, żeby spojrzeć mu prosto w twarz. Malowało się na niej wzburzenie.

– Jediną oczywistą rzeczą jest twoja niekompetencja – odparła. – Jakies obiekcje? To mi udowodnij, że się mylę. Czekam na raport z tego, co widziałeś dziś rano. Pospiesz się, zanim będzie za późno.

8

To była pora wieczornych drapieżników. Wychodziły z nor lub wzbijały się do lotu z gniazd położonych wysoko w koronach drzew. Śnieg przykrył zapachy i sprawił, że ich węch stał się bezużyteczny, ale jednocześnie wygłuszył wszelki hałas, dzięki czemu wrażliwe uszy mogły wychwycić tupot małych gryzoni żerujących wśród niskich zarośli. Drapieżniki czekały cierpliwie, a gdy ofiary przebiegały przez otwarte przestrzenie, rzucały się na nie i chwytaly w ostre szpony.

Las był areną cichej śmierci, nierównej walki.

Zwierzęta posiadały swój rewir, jak on. I niezbyt często zmieniały swoje szlaki, dlatego nauczył się je rozpoznawać. Szedł po śladach, wsłuchiwał się w odgłosy. Polował, gdy musiał. W razie potrzeby przemieniał się w sokoła albo w wilka i zabijał, wolał jednak posługiwać się pułapkami i odbierać życie bez zadawania cierpienia, o ile to było możliwe. Z niewiadomych przyczyn bolesne jęki tych stworzeń niepokoiły go i wzbudzały złe samopoczucie. Dlatego nauczył się, jak szybko zadawać śmierć: jednym, zdecydowanym ruchem. Głowa szybko opadała, a oddech się zatrzymywał.

Noc była jasna, sprzyjała polowaniu. Chmury przewiał wiatr, a lodowa pokrywa błyszczała w świetle księżyca. Wnyki rozstawił rano, kiedy zwierzęta jeszcze spały w swoich norach. Teraz musiał tylko zebrać łup, drżące ciała. Do pułapek podchodził pod wiatr, przedzierając się przez śnieg siłą potężnych mięśni ud. Widział już cień szamocącej się ofiary. Była duża, leżała na grzbiecie. Długie, cienkie, ale mocne nogi wierzgały w powietrzu w poszukiwaniu jakiegoś punktu zaczepienia, ale w ten sposób tylko zaciskały wnyki. Zwierzę prychało z wysiłku, usiłując uciec przed wyrokiem.

Podszedł ostrożnie, nie chciał przestraszyć jelenia. Położył rękę na jego szyi, żeby uspokoić zwierzę, zanim pętla je udusi. Wtedy z niezadowoleniem stwierdził, że to samica.

Przez chwilę klęczał w bezruchu i zastanawiał się, co robić.

To będzie długa i surowa zima, a wskazywała na to ilość żołądki, jaką

wiewiórki zgromadziły w swoich dziuplach. Zawsze je sprawdzał, gdy tylko nadeszły pierwsze przymrozki, zaglądał też zresztą do nor jeży, żeby się dowiedzieć, czego spodziewały się zwierzęta po nadchodzącym zimnie. Nigdy się nie myliły, a on wiedział, że za kilka pełni księżyca będzie potrzebował mięsa, żeby przetrwać mrozy.

Pogłaskał ręką miękką szarobrazową sierść. W szerokiej piersi zwierzęcia biło silne serce. Brzuch był ciepły, pokryty gęstym puchem, a sutki nabrzmiałe od mleka.

Poszukał wzrokiem między drzewami i zobaczył tam jelonka, który wpatrywał się w niego wielkimi zrozpaczonymi oczami. Nozdrza na wąskim pysku raz po raz otwierały się i zamykały: zwierzę próbowało odszyfrować jego zapach i pojąć, czy jest drapieżnikiem. Skoro jelonek nie opuścił jeszcze matki, to musiała być jego pierwsza zima. Pokryte meszkiem rogi ledwo rysowały się pod skórą. Latem osiągną maksymalną wielkość, a kolejnej zimy odpadną, by znowu odrosnąć. I tak przez całe życie, za każdym razem coraz większe, aż w końcu przybiorą postać majestatycznego poroża.

Jelonek jest wystarczająco duży, żeby przeżyć bez matki – powiedział sobie.

Samica jakby wyczuła jego myśli i wzrokiem poszukała jego oczu. Przestała walczyć, tylko oddychała chrapliwie. Szyja zwierzęcia spoczywała w jego ramionach. Ruch powinien być zdecydowany. Potrzeba było ogromnej siły, ale on ją posiadał.

Jego dłonie, zamiast się zacisnąć, zaczęły rozwiązywać pęta. Musiał popędzić zwierzę, żeby stanęło na nogi: nieoczekiwane oswobodzenie najwyraźniej dezorientowało samicę. Gdy ją głaskał po twardym i silnym grzbiecie, czuł, jak przez jej członki przebiega pierwotna energia.

Wrzasnął, a wtedy zwierzę w zwinnych i szybkich podskokach ruszyło w stronę drzew, do swojego potomka.

On klęczał jeszcze przez chwilę w śniegu, z mocno bijącym sercem, jak za każdym razem gdy życie brało górę nad drapieżnym instynktem.

Poszukał suchej powierzchni pokrytej igłami sosnowymi i tam usiadł, opierając plecy o pień. Jego żołądek burczeniem okazywał swój sprzeciw. Z kieszeni kozucha wyciągnął dwa poplamione papierowe zawiniątka. Z pierwszego wziął kilka plasterków suchego mięsa, włożył je sobie do ust i zaczął mocno przeżuwać. Drugie zawierało coś innego. Coś cennego.

9

Ofiarą był Roberto Valent. Inżynier urodzony i dorastający w tych stronach. Wyjechał na studia i wrócił z żoną i synem dopiero, kiedy turyści i sportowcy odkryli piękno tego zakątka świata, a przemysł turystyczny rozkwitł. Kierował pracami nad nową stacją narciarską.

Drewniany dom rodziny Valentów, postawiony na kamiennej podmurówce, znajdował się w pewnej odległości od centrum Traveni. Był wielkości willi i stał na spadzistej polanie od południowej strony wzgórza, która latem cieszyła się wyjątkowym nasłonecznieniem. Wokół nie było żadnego ogrodzenia, a granicę działki wytyczało jedynie kilka ogołoconych przez zimę klombów.

Staruszka o smętnym wyglądzie zdejmowała z okien świąteczne ozdoby, jakby nawet dom zamierzano ubrać w żałobę. Kobieta była chuda i miała na sobie czarny strój. Gdy tylko zobaczyła zbliżający się policyjny wóz, schowała się za zasłoną.

Teresa zastanawiała się, czy to matka Valenta. Odpowiedź otrzymała kilka minut później, gdy zadzwoniła do drzwi wejściowych. Otworzyła jej ta sama staruszka. Miała spuchnięte powieki i zaczerwienione oczy. Powiedziała, że synowa już czeka, i zaprowadziła ich do salonu, szurając filcowymi pantoflami o parkiet pachnący pszczelim woskiem. Teresa złożyła kondolencje, na które staruszka odpowiedziała monosylabami tłumionymi przez szloch, wtulając białą głowę w kościste ramiona. Wyglądała jak kwintesencja kruchości, chociaż musiała być silnej natury, skoro utrata syna nie zwaliła jej z nóg.

– Rozgośćcie się. Marta zaraz przyjdzie – powiedziała, zanim znikła, żeby zaparzyć kawę.

Teresa wybrała sofę, Marini fotel. Tego ranka przyszedł do pracy przed czasem, ubrany w dżinsy i w wygodnych butach, ale z marynarki i eleganckiego płaszcza nie zrezygnował. Patrząc na niego, Teresa pomyślała z rozbawieniem, że przemiana już się rozpoczęła. Pierwsze godziny dnia

spędzili na miejscu zbrodni, oswobodzonym już od sprzętu techników, ale ciągle jeszcze ogrodzonym. Żeby ustalić, kto zabił Roberta Valenta, w pierw musieli się dowiedzieć, jak to zrobił – krok po kroku, aż do ostatniego aktu – i odpowiedzieć na pytanie, dlaczego to zrobił.

Rodzina mogła ułatwić im zadanie, chociaż Teresa w to wątpiła. Przyjechała, żeby wypełnić rutynowe formalności, które miały na celu jedynie zebranie ogólnych informacji i zapewnienie krewnych, że policja robi wszystko, żeby odkryć prawdę.

Pokój urządzono w stylu góralskim, tak samo jak resztę domu: drewno w odcieniu miodu skrzypiało pod nogami i pokrywało ściany oraz sufit. Uzupełniały je cenne tkaniny – brokat, wełna i filc. Dodatki dobrano z dbałością i gustem: intarsjowane pudełka w kształcie serca z szafranowymi ciastkami i kandyzowanymi owocami, stare miedziane i cynowe naczynia, wykorzystane jako pojemniki na aromatyczne zioła i anyż, które wypełniały pomieszczenie przyjemną wonią. Miękkie poduszki ozdobiono ręcznie wykonanymi koronkami. Obok drzwi wejściowych na niskim stoliku umieszczono szopkę w dawnym stylu i kolorystyce. Centralnym miejscem w salonie był murowany kominek, który zajmował większą część ściany i rozłączał miłe ciepło. Obok stała ława z miękkim siedziskiem. Kiedyś to właśnie tutaj gromadzono się wieczorem, po zakończeniu prac w lesie i zagrodzie.

Rodzina zamieszkująca ten dom została osierocona. Wieczory już nigdy nie będą takie same. A następujące po nich godziny – długie i pełne rozpacz. Teresa uważała, że noce w Traveni i tak są aż nadto ciche: ledwie zapadał zmierzch, a ulice natychmiast pustoszały. Na dodatek tego ranka miasteczko obudziło się ze świadomością, że po jego bezludnych zaułkach krąży zabójca.

Wdowa nie kazała na siebie długo czekać. Martę Valent cechował miły wygląd, ale gdy tylko postawiła nogę w salonie, wypełniła go milczącym niepokojem. Policjantów przywitała wiotkim uściskiem dłoni, jakby chciała od razu zniknąć, a wyrazy współczucia przyjęła z opuszczonym wzrokiem. Usiadła na sofie w pewnym oddaleniu od Teresy, tak jakby tylko na niej przycupnęła. Battaglia uznała jej urodę za nijaką, będącą sumą regularnych rysów i wyblakłych kolorów. Nie budziła żadnych emocji, a wystarczyły jeden defekt, jakiś ekscentryczny detal, żeby wyglądała przynajmniej interesująco. Ubrania, które miała na sobie, były równie bez wyrazu co jej

smukłe i kościste ciało. Sprawiała wrażenie, jakby z trudem dźwigała ich przesadny ciężar. Fotografia stojąca na jednej z półek przedstawiała całkiem inny wizerunek kobiety: krągłe kształty i żywe spojrzenie. A wcale nie było to stare zdjęcie. Teresa pomyślała, że może draży ją jakaś ukryta choroba.

Ciszę, która zapadła po okolicznościowych formułkach, przerwała matka Valenta, która właśnie weszła z pobrzękującą tacą. Woń kawy rozniosła się po salonie. Staruszka podała Teresie i Mariniemu dymiące filiżanki; kawa dla synowej pozostała na tacy.

– Nikt Robertowi nie życzył źle. Nie miał żadnych wrogów – powiedziała zmienacka młoda pani domu.

Teresa dopiła swoją kawę, zanim się odezwała:

– Jednego musiał mieć.

– Ten, kto mu to... to zrobił, nie jest wrogiem, lecz szaleńcem.

– A dlaczego nie jednym i drugim?

Marta Valent skuliła się w sobie jak ślimak dotknięty palcem. Ta reakcja była aż nadto widoczna, skłoniła więc Teresę do przypuszczenia, że w jej świecie zbyt bezpośrednie relacje nie były mile widziane. Pożałowała, że nie okazała większej wyrozumiałości. Zaatakowała ją i doprowadziła do słownej utarczki, jakby ta kobieta była czemukolwiek winna. A przecież – przynajmniej na tę chwilę – była tylko ofiarą, tragicznie utraciła człowieka, którego wybrała na towarzysza życia i na ojca swojego dziecka.

– Jak zachowywał się pani mąż tamtego ranka i w poprzednie dni? – zapytała łagodnie, wracając do rutynowych pytań.

– Obojętnie, jak zawsze.

Odpowiedź zaskoczyła Teresę. Zauważyła, że kobieta ma zaczerwieniony serdeczny palec lewej dłoni, jakby przez wiele godzin tarmosiła obręczkę.

– Obojętnie? – powtórzyła.

– Przepraszam, chciałam powiedzieć, że myślami był w pracy. Wszyscy mu mówiliśmy, że za dużo pracuje.

– Zawsze odwoził syna do szkoły?

Kobieta spuściła oczy i wpatrzyła się w swoją spódnicę, którą gładziła drżącymi rękami, od kiedy usiadła.

– Nie, zazwyczaj ja się tym zajmuję – odparła – ale tamtego dnia nie czułam się dobrze. Cierpię na silne migreny. Roberto zostawił w domu telefon komórkowy, wiedziałam jednak, że po niego wróci. Nie może się bez niego obejść.

– Ze względu na pracę?

Wdowa wbiła wzrok w Teresę. Coś się w niej zapaliło.

– Tak, pracę – odpowiedziała. – Ale nie wrócił. Po kilku godzinach zaczęłam się martwić, postanowiłam więc, że pojedę na budowę. Dowiedziałam się, że w ogóle tam nie dotarł.

Teresa zwróciła się do matki Valenta:

– Czy pani zauważyła coś nietypowego u syna? – zapytała.

Oczy staruszki były teraz suche i zgaszone, jak stare, zniszczone kulki.

– U syna? Nie, nic dziwnego. Przepracowywał się, owszem, ale to nie miało już długo potrwać. Za kilka miesięcy, góra rok, budowa miała zostać ukończona. Tak mi mówił, kiedy się o niego martwiłam.

Zebrała puste filizanki i zniknęła w kuchni. Błyskawiczna ucieczka. Z pomieszczenia zaczęły dobiegać szczęk naczyń w zlewie i cicha rozmowa.

Teresa domyśliła się, z kim gadała staruszka.

– Jest tam ktoś jeszcze? – zapytała wdowę.

– Chłopiec.

Chłopiec – powtórzyła w myślach Teresa. Jakby był synem kogoś innego. Mały obcy człowiek mieszkający pod jej dachem. Marcie Valent mimowolnie wymknęło się wyznanie: to przytulne i nieskazitelne gniazdko, o które tak się troszczy, jest być może tylko odpowiedzią na to, czego inni od niej oczekiwali. Teresa pomyślała, że w rzeczywistości ta kobieta może nie być emocjonalnie związana ze swoim dzieckiem.

– Chciałabym się z nim spotkać – powiedziała i nie zabrzmiało to jak prośba.

Kobieta zmarszczyła brwi.

– Czy to konieczne?

Teresa uśmiechnęła się pokrzepiająco i przytaknęła.

Diego Valent był posłusznym chłopcem: przyszedł od razu, na pierwsze zawołanie matki. Buzię miał czerwoną od płaczu, a w oczach kryło się zagubienie.

Zraniona i łagodna istota – pomyślała Teresa.

Dziecko podeszło do matki, a ta położyła mu rękę na ramieniu. To był ich jedyny kontakt fizyczny.

– Cześć, Diego. – Teresa przywitała go miłym głosem. – Nazywam się Teresa Battaglia i jestem komisarzem, ale możesz mi mówić po imieniu.

Chłopiec spojrział na nią bez słowa. Szloch po płaczu ustąpił miejsca

ciekawości.

– Ile masz lat?

– Dziesięć – odpowiedziała za niego matka, nie dając mu nawet czasu na decyzję, czy warto zaufać tej obcej osobie. – Diego ma problem z jękaniem się.

Ostatnie zdanie było dla chłopca jak cios. Teresa zobaczyła, że aż się zatrząsł z upokorzenia. Poczowała złość i jednocześnie współczucie dla tej kobiety, wyzutej z wszelkich emocji. Jej oschłość nie była wynikiem żałoby; miała korzenie w przeszłości.

Weź swoje dziecko w ramiona – pomyślała z poirytowaniem i smutkiem. Obejmij je, obsyp całusami. Przyciśnij do piersi, to jedyna rzecz, do jakiej powinny ci służyć.

Stopniowo wychodziły na jaw relacje panujące w rodzinie Valentów. Teresa wiedziała już, dlaczego Diego wygląda jak mały dorosły, ubrany w ciemnoniebieskie spodnie o klasycznym kroju, beżowy sweterek z dekoltem w serek i wykrochmaloną błękitną koszulę z małym krawacikiem pod kołnierzykiem. Teresa była pewna, że chłopiec traktował go jak smycz na szyi.

Najchętniej uwolniłaby go od niego, rozczochrała mu włosy, pchnęła na sofę i zaczęła łaskotać. Zamiast tego pogrzebała w kieszeni i podała mu krążek lukrecji.

Diego popatrzył na matkę.

– On nie je cukru – powiedziała kobieta.

– Och, ale to specjalny cukierek – Teresa zwróciła się do Diega. – Jest słodki, chociaż nie zawiera cukru.

– Zastępniki sacharozy wcale nie są zdrowsze, pani inspektor – wtrąciła matka.

– Pani komisarz. Ale ty możesz mi mówić po imieniu – powtórzyła do chłopca.

Kobieta zdała sobie chyba sprawę z tego, jak niegrzeczny był jej ton głosu, bo powiedziała:

– Przepraszam. Mój mąż był w tych kwestiach bardzo stanowczy. – I wskazała na całą baterię słodczy. – Diego wie, że nie wolno mu ich tknąć.

Teresa zadała sobie pytanie, jak wielkiej dyscyplinie poddano chłopca. *Oto jak wychować sobie zbuntowanego nastolatka i bezwolnego dorosłego – pomyślała.*

Schowała lukrecję z powrotem do kieszeni. Na ten ruch chłopiec aż rozchylił wargi. Chciał ją dostać, choć prezentowała się dość mizernie w porównaniu z wystawionymi w domu pysznościami. Dla niego jednak miała wielkie znaczenie.

Zaczął wykręcać sobie palce, podobnie jak matka, i wtedy Teresa zauważyła brud pod jego paznokciami. Ta mała skaza na perfekcyjnym wizerunku wywołała u niej uśmiech nadziei: a jednak tliło się w nim życie i odrobina zdrowej niesubordynacji! Diego przechwycił jej wzrok i natychmiast schował ręce za plecami. Teresa mrugnęła do niego porozumiewawczo; miał jej pełną aprobatę.

Potem wstała, a za nią Marini. Inspektor milczał przez cały czas – wreszcie zaczął się uczyć – ale nie umknęło mu nic, co właśnie rozegrało się na jego oczach. Miał bardzo wymowną minę: on też trzymał stronę Diega.

Już w drzwiach policjanci zamienili z wdową ostatnie, rytualne słowa.

– Wkrótce się odezwiemy – powiedziała Teresa. – Jesteśmy do dyspozycji w razie jakichkolwiek pytań czy wątpliwości. A jeśli coś się pani przypomni, nawet najbardziej banalny szczegół, który jednak pani zdaniem mógłby okazać się istotny, proszę od razu dzwonić.

– Dziękuję – odpowiedziała kobieta. – Wiem, że zrobicie wszystko, żeby znaleźć sprawcę.

Diego nabrał śmiałości i stał teraz obok Teresy, z zadartą głową, żeby dobrze się przyjrzeć pani komisarz. W jego oczach musiała wyglądać zabawnie.

Teresa pogłaskała go po włosach. I chyba poświęciła temu zbyt wiele czasu, bo ściągnęła na swoją rękę spojrzenie Mariniego. Gdy je zauważyła, od razu wycofała dłoń.

Przestań się zadrećcać wspomnieniami – rozkazała sobie w duchu.

W samochodzie nie mogła oderwać wzroku od domu Valentów. Wpatrywała się w niego, dopóki nie zniknął z pola widzenia. Spadzisty, matowy w promieniach słońca dach, ciemne okna, cienie, które w jej wyobraźni poruszały się za oknami. Wszystko wyglądało tak, jakby czekało na coś, co uporządkuje życie jego mieszkańców.

Pomyślała o najmłodszym z nich, o małym żołnierzyku z brudnymi paznokciami. Czuła, że on też ją teraz obserwuje. Diego to bystry i ciekawy świata chłopiec. Żywa iskierka, którą rodzice próbowali okiełznać

bezsensownymi regułami, jak zakaz jedzenia słodczy pozostawionych na widoku. Jakby chcieli w ten sposób wystawić na próbę jego silną wolę.

Diego przywykł do tego, że codziennie patrzy na przedmioty godne pożądania i nie może nawet ich dotknąć – pomyślała Teresa. Czy istnieje coś bardziej szkodliwego dla psychiki dziecka?

Tak. Matka zimna jak lód.

Teresa zastanowiła się, czy ojciec też tłumił uczucia wobec syna. Najprawdopodobniej tak, jeśli wziąć pod uwagę to, co powiedziała Marta Valent. Określiła męża słowem „stanowczy”. Co więcej, zdradziła, że był też „obojętny”.

Jak bardzo obojętny? Czy to znaczy, że był pozbawiony uczuć?

To nie twoja sprawa – pomyślała, ale od razu się za to skarciła. Sprawa dziecka powinna interesować każdego.

Poszukała lukrecji w kieszeni, ale ze zdziwieniem stwierdziła, że jej tam nie ma.

W pierwszej chwili ogarnęła ją konsternacja, ale zaraz potem roześmiała się głośno.

Nie doceniła go: mały Valent potrafił sobie poradzić sam.

10

Dni robiły się coraz krótsze. Lucia wiedziała to z obserwacji, bo często popołudnia spędzała zamknięta w swoim pokoju. A wtedy jedynym ciekawym zajęciem – gdy już wyśpiewała wszystkie piosenki, jakich się nauczyła – było patrzenie przez okno na rosnący za łąką las.

Znała każdy liść, każdy cień padający na trawę. Widziała, jak wydłużają się z każdą godziną, dzień po dniu sięgając coraz bliżej domu.

Wiedziała, dlaczego tak się dzieje: to było związane z krążeniem Ziemi wokół Słońca. W szkole uważała na lekcjach, choć nie zawsze rozumiała, co mówi nauczycielka. Nadrabiała wyobraźnią. Lucia przeczuwała, że nie jest tak inteligentna jak inne dzieci, ale znała ruch cieni i wiedziała, że niedługo znowu będą się skracać. Fascynowała ją odwieczna walka światła i ciemności; jak zaczarowana przyglądała się temu przedstawieniu, jednak od jakiegoś czasu do tego zainteresowania dołączyło palące pragnienie, by ta ledwie rozpoczęta zima wreszcie się skończyła, a wraz z nią – zbyt wczesne zimy.

Spojrzała na las. Podniósł się wiatr i rozkołysał czubki choinek. Zdmuchnięte z konarów dębów liście spadały, wirując jak szalone. Popołudnie dopiero się zaczęło, ale światło już zmieniło barwę. Jeszcze parę godzin i nadejdzie mrok, aż w końcu świat zapadnie się w całkowite ciemności.

Lucia bała się tej chwili, bo wtedy duchy wychodziły z lasu. Powiedziała matce, co się dzieje tam, gdzie drzewa się kończą, ale ona jej nie uwierzyła. „Kłamstwo to brzydka rzecz”, odparła karcącym tonem, a potem zamknęła córkę w pokoju.

Ale Lucia nie kłamała. Widziała jednego ducha. Miał twarz białą jak śnieg, który ostatnimi dniami przysypał miasteczko; jak czaszka psa, którą poprzedniego lata Diego i Mathias wyłowili z potoku, a Oliver tylko im się przyglądał.

O tak, ten duch, który ją obserwował z lasu, wyglądał jak gładka biała

czaszka.

Lucia była pewna, że Mathias też go wczoraj widział. To on przewodził grupie, był z nich najodważniejszy, ale na ostatnim zebraniu wydawał się przerażony: wpatrywał się w drzewa, jakby ożyły i mogły odwzajemnić jego spojrzenie.

Pod oknem Lucia zostawiła miskę z mlekiem. Na razie była jeszcze pełna, wiedziała jednak, że rano zostanie ją pustą, jak po kilku ostatnich nocach, chociaż kot od kilku dni nie wracał do domu.

Ktoś inny chyłkiem przemykał z lasu aż pod dom. Ktoś, kto miał czaszkę zamiast twarzy.

Lucia powiedziała to swojej matce, ale ona jej nie uwierzyła.

11

Austria, 1978

„Patrz, obserwuj, zapomnij”.

Tak brzmiała reguła Szkoły. Niepisane przykazanie, które najstarsi spośród personelu przekazywali nowo przybyłym. Panna Braun objaśniła je Magdalenie tak cicho, że prawie szeptem, jakby się bała, że pogwałci świętą tajemnicę. Ale w tym miejscu zawieszonym pośród skalistych szczytów tajemnic było o wiele więcej.

Magdalena szła za przełożoną po korytarzach, które wiły się jak labirynt. Kobieta oprowadziła ją po zapuszczonym budynku i poinstruowała o czekających ją obowiązkach. Szkolenie, które już przeszła, było dość dziwne: cały czas spędziła zamknięta w jednej sali, przepisując na maszynie niezrozumiałe odręczne notatki, nie miała więc jeszcze okazji zobaczyć nic więcej prócz ścian refektarza i czekającego na nią wieczorem dormitorium.

Jak się domyśliła, w Szkole pracowało niewiele osób: dyrektor, którego spotkała tylko raz, w dzień przyjęcia, opiekunka Braun, dwóch wielozadaniowych członków personelu, kucharka oraz Marie, pomywaczka, z którą Magdalena dzieliła pokój. Ale Marie była niema i podczas długich wieczorów spędzanych na lekturze tylko kilka razy obdarzyła ją nieśmiałym i chyba odrobinę przestraszonym spojrzeniem. Magdalena zrezygnowała z zagadywania jej i ograniczyła się do porannego „dzień dobry” i wieczornego „dobranoc” przed zgaszeniem świateł.

Nie każdy nadawał się, by zamieszkać w tak odosobnionym miejscu. Ale, co najważniejsze, o przyjęciu do Szkoły decydowała przede wszystkim cecha właściwa nielicznym – dyskrecja. Milczenie należało zachować przez całe życie.

Tę pracę znalazła Magdalenie ciotka, na dodatek w bardzo trudnej dla jej rodziny chwili.

„Szkoła ma wielkie oczekiwania co do ciebie. Nie rozczaruj jej”, mówiła

panna Braun, gdy wchodziły po zniszczonych schodach. Kroczyła z przodu, wyprężona, z plecami prostymi jak belki krzyża, który spoglądał na nie z antresoli. Purpurowe promienie zachodzącego słońca wpadały przez ażurowe okno, rzeźbiły smutne oblicze Chrystusa i rozpały krew wypływającą z przebitego boku. W tym świetle korona cierniowa rzucała na ścianę ogromny, zdeformowany cień.

Jak macki potwornego stworzenia – pomyślała Magdalena i wtuliła się w wełniany golf.

Panna Braun zawsze mówiła o Szkole jak o żywej i rozumnej istocie, jakby jej mury miały oczy i uszy. Szkoła słuchała i oceniała. Ta sugestywna personifikacja długo napawała Magdalenę przerażeniem.

W końcu dotarły na pierwsze piętro, gdzie znajdował się żłobek – Gniazdo. Wyglądał na opustoszały, tak wielka panowała tu cisza. Ciała kobiet poruszyły powietrze, które sprawiało wrażenie, jakby od stuleci stało w bezruchu, wykorzystując upływający czas, by wchłonąć życie i historie istot, które się przez to miejsce przewinęły. Miało swój ciężar i Magdalena go czuła, na żołądku, w gardle. Dusilo ją, zapierało dech w piersiach.

„Patrz, obserwuj, zapomnij”.

To oznacza, że nic, co dzieje się w Szkole, nie może wyjść poza jej mury. Braun powiedziała, że czasami będzie świadkiem pozornie dziwnych praktyk. Powinna obserwować ich skutki i skrupulatnie odnotowywać je w zeszycie, który otrzymała wraz z ubraniem roboczym.

A potem o wszystkim zapomnieć. O wszystkim.

Magdalena patrzyła, jak opiekunka wyciąga z kieszeni pęk kluczy, wkłada jeden do zamka i nieruchomieje.

– Będziesz się troszczyła o ich higienę i karmienie, ale nigdy, przenigdy nie wolno ci ich przytulić albo zwrócić się do nich choćby jednym słowem – przykazała. – Kontakt fizyczny ma być ograniczony do niezbędnego minimum.

Magdalena przytaknęła głową. Zastanawiała się, czy podopieczni cierpią na jakąś szczególną chorobę, ale nie śmiała o to zapytać.

– I uważaj na obiekt pod numerem trzydziestym dziewiątym – kontynuowała przełożona.

Konsternacja Magdaleny przerodziła się w zaniepokojenie.

– Dlaczego? – spytała w końcu.

Panna Braun odwróciła głowę i odpowiedziała, patrząc przez jedno z okien

na jezioro.

– Sama zrozumiesz. – Potem skinieniem głowy kazała jej założyć kaptur, który trzymała w ręce. Jednocześnie opuściły białe zasłony na twarz.

– I pamiętaj – dodała cicho, zanim nacisnęła klawisk. – Patrz, obserwuj, zapomnij.

12

Coś niecnego kryje się w powrocie do codziennej rutyny po tym, jak oglądało się zmarłego: swego rodzaju godna potępienia radość i poczucie ulgi, że nie jest się na jego miejscu.

Jest coś niesprawiedliwego w rzucaniu się w wir codzienności, podczas gdy zmaltretowane ciało drugiego człowieka zamykają w stalowych ścianach komory chłodniczej.

Ludzie umierają codziennie – powtórzyła sobie Teresa. Śmierć – nieuchronna, okrutna i ludzka – to życie, tyle że pod inną postacią. Ale niewygodnie jest być jej świadkiem. Bo to jakby radować się z własnego oddechu, gdy ktoś inny opłakuje tego, kto już wydał ostatnie tchnienie.

Zamknęła za sobą drzwi do mieszkania, uwolniła ramię od torby i zrzuciła buty. Ciepłe drewno pod stopami przypomniało jej, że to zwykłe rzeczy są dla duszy wytchnieniem: jak wtedy, gdy w dzieciństwie biegła latem boso przez winnice, wzbijając w powietrze pył i śmiech. Ciągłe czuła mineralny zapach spalonej od słońca ziemi i solnych kamieni, cierpkość zielonych pędów i słodycz kwiatów akacji. Pot, gorycz lwich paszcz, skradzione ze szklanki dziadka krople wina na wargach. Esencja szczęścia.

Te zastygłe w pamięci czasy odbijały się echem po pustym domu, w niepogwałconej niczym ciszy, takiej, w jakiej zostawiła go kilka godzin temu. Samotność to dyskretna lokatorka, nigdy nie wchodzi tam, gdzie nie powinna, i wszystko zostawia na miejscu. Nie ma ani zapachu, ani barwy. Jest nieobecnością, bytem, który określa się poprzez kontrast, jak próżnia, z tym że istnieje: bo to ona nocami, gdy sen zwlekał z przyniesieniem ulgi, wprawiała w drżenie filizankę z naparem, którą Teresa trzymała w rękach. Jej brzęk niósł się po pokojach, nie napotykając żadnego ciepłego ciała. Samotność opinała Teresę jak za ciasne ubranie, jak staromodny gorset, który w towarzystwie prostuje plecy, ale w domowym zaciszu zapiera dech.

Nauczyła się ją neutralizować: przyjmowała codziennie w małych dawkach, żeby wyrobić w sobie odporność. Nie unikała jej, nie szukała

ucieczki: stała nieruchomo i pozwalała się kąsać. W ten sposób jej dusza zaczęła wytwarzać przeciwciała i przestała obumierać.

Dom przywitał ją czarno-białymi uśmiechami na ogromnych fotografiach zawieszonych na ścianach: radosnymi, czasami beczelnymi, często z odrobiną melancholii, która tylko nadawała im wyrazu. Należały do przyjaciół, którzy dotrzymywali jej towarzystwa wieczorem, gdy z książką w ręku zanurzała się w sofę: Louisa Armstronga, Elli Fitzgerald, Duke'a Ellingtona, Jeffa Buckleya... Głosy i nuty, które rozkosznie budziły duszę z letargu codzienności. Bezbarwność fotografii górowała nad żywymi i chaotycznymi kolorami salonu, rozpalając go. Teresa kupiła je na targu staroci w czasach, kiedy jeszcze miała ochotę, by pod koniec tygodnia wsiąść do samochodu i jechać gdzieś w poszukiwaniu przedmiotów, które stworzą jej gniazdo.

Gniazdo, które tak naprawdę nigdy nim się nie stało, bo przez większość życia mieszkała tu sama. Dużo czasu zajęło jej uwolnienie się od smutku. Krok za krokiem, Teresa mimo wszystko szła naprzód, oddychała, utrzymywała się na nogach, nie błędząc i przebacząc samej sobie. Życie budzi strach, jeśli spojrzy mu się w oczy i zobaczy, jakie naprawdę może być, ale nadal jest świętą, nietykalną, niesamowitą przygodą, której trzeba stawić czoła z otwartym sercem i gotowością na cud, której nie może zabraknąć nawet w obliczu największego bólu.

Musiała w to uwierzyć, inaczej by zwariowała.

– Nigdy tak naprawdę nie jesteśmy sami – mruknęła.

Nie wiedziała, czy sama w to wierzy, czy to tylko wybieg, żeby nie zboczyć z kursu.

Jej dłonie sięgnęły po pozytywkę stojącą na kufrze, jedyny przedmiot, który z biegiem lat nie zmienił się w tym domu. Z błękitnego fajansu w drobne żółte gwiazdki, ozdobiona figurką śpiącego aniołka, przyjmowała Teresę i jej udręki pod swoje gliniane, wypalone ogniem skrzydła.

Czuła jej zapach pudru i zniszczonych marzeń. Nakręciła ją.

Z wnętrza pozytywki dobyła się melodia przypominająca brzmienie dzwoneczka. Zawsze uważała ją za wzruszająco piękną. Smętna muzyka, która przywodziła na myśl gwiazdy zanurzone w błękitnym morzu, hen za lekkimi obłokami o srebrzystych refleksach: tajemnica wszechświata, pradawna zagadka sprzed miliardów lat. Jakby dochodziła z odległego, niecielesnego świata, jak dusze noworodków.

Teresa nie była religijna, nie wiedziała, w co wierzy, ale gdyby miała wskazać na znak – jeden jedyny – boskiej obecności w swoim życiu, byłby nim ten śpiący anioł, który ranił ją bolesnymi wspomnieniami i jednocześnie przepędzał kojącą słodyczą.

Zastanawiała się, czy kiedy nadejdzie dzień jej śmierci, całe to cierpienie nabierze sensu: czy uściśnie małe paluszki i pocałuje słodkie ciało, spojrzy w oczy ciepłego aniołka i przytuli go do serca.

Nie, tak naprawdę nigdy nie była sama.

Pozwoliła słodko-gorzkiej melancholii rozpląnąć się po pokojach razem ze wzruszającą melodią. W łazience rozebrała się, unikając swojego odbicia w lustrze, by nie patrzeć na starzejące się ciało. Po szybkim prysznicu przygotowała się do wieczornego obrzędu: z szafki wyjęła opakowanie z glukometrem i nakłuwaczem. Włożyła końcówkę i zamknęła kapturek. Wyregulowała niezbędną głębokość nakłucia tak, żeby przebić skórę, i przyłożyła do palca. Kilka kropel ciemnej krwi skapnęło na pasek służący do pomiaru poziomu glukozy. Parę sekund i na ekranie pojawił się zadowolający wynik. Wzięła dozownik insuliny. Znowu te igły. Po latach codziennych tortur stały się jej własną koroną cierniową. Pomacała pośladki w poszukiwaniu najmniej bolesnego miejsca i się wkłuła.

Przez chwilę siedziała nieruchomo na brzegu wanny i wpatrywała się w kafelki na ścianach, a potem uporządkowała pomieszczenie, chowając w szafce dowody swojej choroby. Z trudem się ubrała, jakby nagle ciężar ostatnich godzin sprawił, że jeszcze bardziej przybrała na wadze.

Poszła do kuchni i zabrała się za przygotowanie kolacji, czegoś szybkiego do przegryzienia na sofie, z książką pod ręką. Może pozwoli sobie na lampkę dobrego wina, żeby złagodzić napięcie i przywołać sen.

Otworzyła lodówkę i nagle poczuła się tak, jakby płynęła po morzu przedmiotów pozbawionych tożsamości. Razem ze światłem, które zapaliło się po otwarciu drzwiczek, pojawiło się coś jeszcze: pustka. Nie była w stanie niczemu nadać nazwy. Z przerażeniem rozejrzała się wkoło, ale jej mózg nie przypisywał obrazom żadnego znaczenia, nie łączył kształtów z ich przeznaczeniem i działaniem.

Spróbowała coś powiedzieć, lecz miała zdrętwiały język i zeszywniałą z paniki szczękę.

To było jej otoczenie, z tym że ona go nie rozpoznawała.

Dotarło do niej, że kołysanka dobiegła końca. Jej anioł zapadł w sen

właśnie wtedy, kiedy najbardziej go potrzebowała. Znowu była sama. Sama i przerażona.

13

Massimo nie zmrużył oka. Te kilka godzin, które komisarz Battaglia dała swojemu zespołowi na wypoczynek, spędził nad raportem. Wielokrotnie kasował całe akapity i pisał je od nowa, w końcu jednak doszedł do wniosku, że odwalił kawał dobrej roboty. Dokument wysłał pocztą internetową o godzinie, w której noc zaczyna blednąć. Ku własnemu zaskoczeniu chwilę później otrzymał zwrotne potwierdzenie odczytania.

Teresa Battaglia również nie spała i prawdopodobnie tak jak on rozmyślała nad zabójstwem w lesie, pośród nieprzystępnych gór, ponad sto kilometrów stąd. Massimo wiedział, jak trudno jest uwolnić umysł od psychologicznych pęt okrucieństwa, bo sam tego doświadczał. Kiedyś myślał, że z biegiem czasu, w miarę oglądania kolejnych ofiar będzie coraz łatwiej, ale się przeliczył. Widział ludzi zamordowanych dla kilku groszy, kobiety zgwałcone przez mężczyzn, którzy powinni je kochać, dzieci wyrastające w patologicznych środowiskach, a mimo to jego dusza nadal była jak żywe ciało pozbawione twardego naskórka obojętności i przez to bezpośrednio narażone na cierpienia.

Tego ranka przyszedł do komisariatu dużo za wcześnie i nawet nie zamierzał okłamywać się dlaczego: zrobił to dla niej. Chciał naprawić wrażenie po pierwszym, katastrofalnym spotkaniu, zaimponować tej energicznej kobiecie, która nie uważała go za kompetentnego policjanta.

Czekał na nią w biurze z prezentem i niespodzianką. Był pewien, że to pierwsze ją ucieszy, a co do niespodzianki – raczej mało prawdopodobne.

Komisarz Battaglia weszła w towarzystwie Parisiego i De Carliego, który szedł za nią jak cień. Ze zmarszczonymi brwiami rozprawiła o czymś, co właśnie przeczytała na kartce. Policjanci przytakiwali ze skupieniem, sporadycznie rzucając jakąś uwagę. Tworzyli zgraną trójkę. Massimo wywnioskował to z ukrytej w ich gestach dynamiki. Pani komisarz była jak oś, wokół której obracały się dwa ramiona dobrze naoliwionej maszyny. Teresa wyrażała się krótkimi, często urwanymi zdaniami, bo i nie było

potrzeby ich kończyć, skoro pozostali je rozumieli. Dopowiadali za nią, zapewniając, że to, o co prosi, może już uznać za wykonane. W ich zachowaniu nie było przypochlebiania się, tylko wielki szacunek.

Nagle Massimo poczuł się jak głupiec, trzymając w ręku paczuszkę. Położył ją na biurku pani komisarz i odepchnął od siebie palcem, jakby chciał się od niej odciąć. Już sam fakt, że siedział, wydał mu się wielką nieostrożnością.

Ten drobny ruch i szelest papieru przyciągnęły uwagę całej trójki. Massimo zobaczył, jak twarz pani komisarz ulega zmianie – zupełnie jak u drapieznika spoglądającego na swoje terytorium, które zostało zajęte przez mało wartościową ofiarę – z zaskoczonych w gniewną.

– A ty co robisz w moim biurze? – zapytała, wyraźnie skandując sylaby. To nie był dobry znak.

Massimo nie wiedział, jak ogłosić jej swoją niespodziankę. Wolałby zacząć od podarunku. Ale skoro się nie udało, postanowił załatwić sprawę szybko i bezboleśnie.

– Teraz to także moje biuro – rzucił bez namysłu.

Żadnej reakcji.

– Nie dosłyszałam – odparła.

Massimo był pewien, że usłyszała go doskonale.

– W moim biurze pękła rura – wyjaśnił, wedle jego mniemania odważnym tonem. – Spędzę tu trochę czasu. Z panią. Tak postanowił komendant.

Parisi i De Carli wymienili spojrzenia. Ich miny mówiły wyraźnie, że to się pani komisarz nie spodoba.

– A to co? – zapytała Teresa, tylko wskazując oczami na paczuszkę.

– Dla pani – wyjaśnił Massimo z nadzieją. Może wreszcie zacnie się między nimi układać.

Komisarz usiadła na swoim miejscu. Spojrzała na podarunek. Otworzyła.

– Jasny gwint.

– Pani komisarz... – zaczął Parisi, gładząc swoją doskonale wypielegnowaną bródkę, ona go jednak uciszyła. Porwała jeden z pączków i zanurzyła w nim zęby, z lubością przymykając oczy. Z wnętrza przysmaku wylała się kremowa masa.

– Są też z czekoladą – szepnął Massimo zachęcająco, zapraszając gestem pozostałą dwójkę. Oni jednak z niepokojem wpatrywali się w panią komisarz.

Teresa kiwała głową z zamkniętymi oczami. Była w siódmym niebie.

– Wieki ich nie jadłam – wymamrotała.

Massimo się uśmiechnął. Wreszcie dostrzegł w niej jakiś ludzki odruch inny niż poirytowanie. W gruncie rzeczy nieźle mu poszło.

– I lepiej, żeby dalej ich pani nie jadła – odezwał się nerwowo De Carli.

Komisarz Battaglia spojrzała na Massima przez zmrużone powieki, w których czaiło się wyzwanie.

– Mam cukrzycę.

Sens tych słów dotarł do niego z opóźnieniem, a wtedy zaklął pod nosem i spróbował odebrać Teresie paczkę. Ona jednak stanowczo położyła na niej rękę.

– Próbujesz mnie zabić? – zapytała.

Czuł, jak palą go policzki.

– Inspektorze, naucz się nie rumienić. A kiedy czujesz, że musisz zakląć, zrób to, na miłość boską! – powiedziała, uwalniając pakunek. Skinieniem poleciła Parisiemu i De Carliemu, żeby zabrali paczki i wyszli. Posłuchali, zamykając za sobą drzwi, jakby chcieli w ten sposób zdusić w zarodku ostrą wymianę zdań, na którą się właśnie zanosilo. Massimo już ją sobie wyobrażał: wystrzelone jak pociski słowa, świszczące w uszach i eksplodujące wściekłością.

Czuł się jak struna naciągnięta poza granice wytrzymałości.

– Co mam robić, żebyśmy wreszcie żyli w zgodzie? – zapytał spokojnie, bo wcale nie zamierzał wywoływać kłótni. Chciał po prostu zrozumieć.

Pani komisarz nie zwracała na niego uwagi. Skupiła się na monitorze i wyświetlanych na nim zdjęciach z miejsca zbrodni.

– Masz robić to, co do ciebie należy, jeśli w ogóle potrafisz – odparła. – Przeczytałam w nocy twój raport.

– I jak?

Podniosła na niego wzrok.

– Wylądował w koszu. Musisz napisać go od nowa.

Nagle Massimo poczuł, jak dopada go zmęczenie skumulowane przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny, wieszka się na jego plecach jak bezkształtna, ciężka masa i ciągnie w dół, na podłogę albo jeszcze niżej.

Jednocześnie zdał sobie sprawę, że nie on jeden czuje się jak w piekle. Bo choć początkowo wydawało mu się, że twarz pani komisarz jest napięta, teraz widział, że pod tą maską kryje się coś na podobieństwo bólu i, o dziwo,

chyba strachu.

– W ogóle nie spałem, żeby to napisać – wytłumaczył się. Chciał ją wybadać i zarazem sprowadzić rozmowę na inny tor. To, co właśnie zobaczył, ku jego zdziwieniu wprowadziło go w konsternację.

– Źle zrobiłeś. Powinieneś być odpocząć, żeby napisać raport ze świeżym umysłem.

Najwyraźniej chwilowo zawiesiła broń, bo jej głos brzmiał obojętnie, zupełnie jakby rozprawiali o pogodzie.

– Myślałem, że odwaliłem kawał dobrej roboty – powiedział.

Teresa Battaglia odłożyła długopis, który właśnie gryzła.

– To za mało – odparła. – Nie mogę iść do krewnych ofiary i powiedzieć, że odwalamy kawał dobrej roboty. Oni chcą, byśmy dali z siebie wszystko, rozumiesz? Potrzebują tego.

Przytaknął skinieniem. Naprawdę zaczynał rozumieć.

– Czego pani ode mnie oczekuje? – zapytał.

– Musisz zdobyć wiedzę. O tym, czego nie uczą na uniwersytecie, o sztuce zabijania. – I nie czekając na odpowiedź, wstała i podeszła do tablicy zawieszanej naprzeciwko jej biurka. – Myślałam, że jest młody, ale chyba musimy zrewidować przypuszczenia – wymamrotała. – Może mieć o kilka lat więcej.

Massimo dołączył do niej zaciekawiony.

– Dlaczego?

– Dlatego że wykazuje wysoki poziom sadyzmu – wyjaśniła, notując krzywym charakterem pisma. – Miał wiele czasu, żeby udoskonalić swoje fantazje. Sądzę, że może mieć koło czterdziestu, czterdziestu pięciu lat. I dużo sił. Jest stąd albo po prostu kocha góry. Zna je. Nie przez przypadek jego trop gubi się pośród skał, prawdopodobnie jest myśliwym. Patrząc na sposób, w jaki zabił, wątpię, żeby jeździł samochodem.

Massimo nie zdołał powstrzymać grymasu, który komisarz w lot przechwyciła. Przestała pisać i popatrzyła wyzywająco.

– Coś cię nie przekonuje? – zapytała.

– Ależ skąd.

– Możesz powiedzieć, co ci chodzi po głowie.

– Tak, oczywiście.

Zdjęła okulary i spojrzała na niego uważnie.

– Marini, nie marnuj mojego czasu. Jeśli masz coś do powiedzenia, nie każ

się prosić. A jeśli nie, to oszczędź mi sarkazmu.

Massimo wskazał na tablicę.

– Czy nie wydaje się pani, że to lekka przesada?

Komisarz podążyła za jego wzrokiem i zmarszczyła brwi.

– Przesada? – powtórzyła.

Massimo postukał palcem.

– Te wszystkie szczegóły – wyjaśnił – podane bez cienia wątpliwości. Czy to nie zbytnia zuchwałość? Skąd pani wie, czy jeździ samochodem czy nie?

Teresa Battaglia zmierzyła go z lekkim uśmiechem.

– Zuchwałość? W żadnym razie. A jeśli chodzi o wątpliwości... Cóż, mam ich wiele, taka już natura mojej pracy. Trzeba się martwić, gdy przestanie się je mieć, nieprawdaż?

Massimo skrzyżował ręce na piersiach i nic nie odpowiedział.

– Trudno cię przekonać – zakpiła. Ale zaraz spoważniała, podeszła do niego i zadarła głowę, żeby spojrzeć mu prosto w oczy. – Powiem ci więcej. On nawet nie ma prawa jazdy. Nie jeździ i nie ma prawa jazdy, bo nie jest w stanie go zrobić. Prawdopodobnie próbował, ale mu się nie udało, jak wiele innych rzeczy. Jego obłąkany umysł mu na to nie pozwolił. Z czego wnioskuje? Z tego, co zrobił ofierze i jak. Ktoś, kto wydłubuje oczy paznokciami, ma poważne problemy psychiczne, które niełatwo ukryć. Nie jest w stanie zrobić żadnego kursu. Nawet na prawo jazdy. Nie potrafi na dłuższą metę utrzymać pracy. Brakuje mu wytrwałości i skupienia.

Massimo wstrzymał oddech. Kobieta podała mu pisak.

– Odwagi, pisz – poleciła, a potem zaczęła mówić dalej, nie czekając na jego reakcję. – Żyje samotnie, kilka kilometrów od miejsca zbrodni. Musimy zakreślić obszar poszukiwań.

Massimo posłusznie wykonał zadanie, ale nie wyzbył się wątpliwości.

– Skąd ma pani pewność, że mieszka sam? – zapytał.

– Nikt nie jest w stanie wytrzymać u boku kogoś, kto w ogóle nie dba o higienę osobistą i nie wie, co to porządek. „Psychoza” to w tym przypadku słowo klucz, a jej stopień wiele nam o tym człowieku mówi. Co nam podpowiada fakt, że zabił gołymi rękami, nawet nie związawszy ofiary?

– Że zbrodnia nie została zaplanowana.

– Błąd. Zbrodnia nie została *zorganizowana*, a to co innego. Chociaż liczne szczegóły wskazują na coś całkiem przeciwnego. Trudno będzie wyjaśnić te sprzeczności. Bo coś tu nie gra.

– Na przykład?

– Inscenizacja, czyli sposób, w jaki ułożył ciało. Nie porzucił, a przygotował. I jeszcze te pułapki... W takim razie, inspektorze Marini, opierając się na twojej magisterce z...?

– Z prawa.

– Chryste... I na doświadczeniu zdobytym w wielkim mieście... Odkryj przede mną rąbek tajemnicy i zdradź mi, czy ten zabójca jest zorganizowany czy nie?

Cisza.

Mina na twarzy pani komisarz mówiła jedno: *litości*.

– Tak jak myślałam. Musisz zacząć od zera, tu i teraz.

14

Lucię obudziły głośne hałasy nad głową. Coś skrobało po dachu pazurami, poruszało dachówkami tak, że stukały jedna o drugą.

To były kruki; zносиły tam swoje ofiary do pożarcia albo próbowały rozłupać żołędzie. Tak powiedzieli Mathias i Diego, gdy Lucia wyznała im, że boi się tych tajemniczych hałasów o pierwszym brzasku, kiedy powietrze i światło są zawsze zimne, nawet latem.

Od kilku miesięcy ci dwaj przyjaciele, razem z Oliverem, stali się dla niej całym światem. Lucia zaufała im zupełnie. Dlatego ostatnie wydarzenia przepełniały ją smutkiem i bólem. Ojciec Diega nie żył. Znaleźli go w lesie, po dwóch dniach od zaginięcia.

Dziewczynka znieruchomiła, a jedzenie stanęło jej w gardle, gdy jej tato skomentował tę sytuację podczas kolacji. Jeszcze nie udało jej się porozmawiać z przyjacielem, ale napisała do niego liścik i zamierzała mu go dostarczyć w sposób, w który zawsze przekazywali sobie informacje: wsunąć przez okiennice za stojącą na parapecie donicę z głogiem. Na wyrwanej z zeszytu kartce napisała tylko dwa słowa: *złączeni krwią*.

Diego musi czuć, że jego rodzina – ta, którą sam sobie wybrał – jest przy nim, gotowa ponieść część jego bólu, tak jak Jezus niósł kiedyś krzyż. Lucia lubiła historie, które ksiądz Leandro opowiadał podczas lekcji religii, bo mówiły o przebaczeniu i o raj. Dzięki nim poświęcenie i codzienne życie wydawały się bardziej znośne. Jej życie też.

Pocałowała skórę na przegubie ręki: blizna już zbladła, ale pamięć o przysiędze była nadal żywa.

Przetarła zaspane jeszcze oczy. Tego ranka do pokoju wpadało jakby więcej światła. Naciągnęła kołdrę na twarz i zaraz zlodowaciały czubek nosa owiało ciepło jej oddechu. Szkołę zamknięto na znak żałoby, mogła więc jeszcze trochę podrzemać. Tej nocy dręczyły ją przerażające koszmary. Śnił się jej ojciec Diega: nie miał oczu, jak Święta Łucja, której imię nosiła dziewczynka. Jej ojciec, wgryzając się w kawałek krwistego mięsa,

powiedział, że ktoś mu je wydlubał. Lucia patrzyła, jak różowawa ciecz ścieka na talerz, i poczuła mdłości.

Stukanie się nasiliło. Brzmiało tak, jakby ptaki ogarnęła jakaś okrutna euforia. Lucia obróciła się na bok i wtedy zrozumiała, skąd dochodziło światło: okiennice były otwarte na oścież, chociaż na pewno zamykała je przed snem. Odrzuciła kołdrę i opuściła stopy na zimną podłogę. Pośpiesznie włożyła wełniane skarpety i otuliła się flanelową koszulą – na tyle, na ile się dało – która podczas snu zawsze zwijała się wokół pasa.

Podeksytowane kruki prezentowały powietrzny balet nad ośnieżoną łąką. Krążyły, opadały dziobem w dół, ani na chwilę nie przestając głośno i chrapliwie krakać. Lucia podeszła do okna. Nigdy jeszcze nie widziała tylu ptaków naraz: były ich dziesiątki i najwyraźniej przyciągał je dom. Jeden z ptaków ruszył prosto na nią i z impetem wpadł w szybę. Lucia aż odskoczyła ze strachu. Patrzyła, jak wygrzebuje się ze śniegu ze zmierzwionymi skrzydłami, a potem otrzepuje i znów wzbija do lotu. Na szybie pozostały plamka krwi i trochę puchu, który drżał na wietrze.

Lucia przysunęła twarz i spojrzała przez czerwoną plamę: śnieg wyglądał jak różowy lukier. Przecinała go nierówno biegnąca rysa o ciemniejszej barwie. Podążyła za nią wzrokiem: ślad docierał aż pod jej okno, gdzie stała pusta miska z mlekiem. Z jednej z okiennic zwisał jakiś cień.

Kiedy do dziewczynki dotarło, co to jest, wrzasnęła.

15

Rolę archiwum w komisariacie pełniły piwnice ze zbrojonego betonu, oświetlone jarzeniówkami. Wypełniały je tylko kurz i równe rzędy stalowych półek.

Winda tam nie docierała, jakby podziemia nie należały do budynku, lecz stanowiły odrębny świat. Trzeba było posłużyć się schodami, na których światło nigdy nie działało jak należy: czasem mrugało stroboskopowo, częściej jednak przypominało zgaszone i bezużyteczne źrenice. Człowiek odpowiedzialny za oświetlenie utrzymywał, że winna jest wilgoć, która niszczy żarówki. Byli jednak i tacy, którzy nie wstydzili się twierdzić, że to sprawka nadprzyrodzonych sił, najwyraźniej wrogo nastawionych do archiwizacji.

Pomieszczenie to zwano także Czyścćem, ponieważ zsyłano tam tych, którzy mieli coś do odpokutowania.

Teresa wybrała Massima Mariniego. Przykazała mu, by wśród segregatorów i zdygitalizowanych plików szukał analogicznych morderstw.

Młody inspektor potrzebował dyscypliny, ale co najważniejsze, pani komisarz chciała się go pozbyć na kilka godzin. W jego oczach dostrzegła niepokojący błysk, jakby odgadnął strach, który wziął w niej górę.

To tylko pojedynczy przypadek – wmawiała sobie. Nic nie znaczy.

Przez chwilę, w nocy, nie była w stanie przypomnieć sobie nazw przedmiotów, którymi posługiwała się na co dzień, i przez kilka kolejnych godzin, chociaż doszła do siebie, czuła wielkie zmieszanie, jakby właśnie wydostała się z szalejącego tornada. Nigdy wcześniej nie doświadczyła czegoś takiego, bała się jednak, że to dopiero pierwszy z wielu czekających ją ataków.

Z nikim o tym nie rozmawiała. Zwierzenia nie były w jej stylu, mimo to zastanawiała się z niepokojem, jak długo będzie jeszcze w stanie o sobie zadbać. To przerażało ją najbardziej: zależność od drugiej osoby.

Przepędziła ponure myśli, ostatnie schody pokonała w ciemnościach

i znalazła się w Czyścicu. Jedyne żywe duch siedział w głębi pomieszczenia przy zniszczonym biurku. Oświetlało go błękitne światło monitora.

– Zniszczysz sobie wzrok – upomniała go.

Marini nie oderwał oczu od pracy. Teresa położyła na blacie raport, który wysłał jej tuż przed świtem. Wydrukowała go i naniosła poprawki.

Inspektor spojrział na niego przelotnie.

– Nie wyrzuciła go pani jednak? – zapytał.

Pani komisarz usiadła naprzeciwko.

– Nie odwaliłeś kawału dobrej roboty. Skłamałabym, gdybym ci powiedziała coś innego.

Skrzywił się.

– Nie takich komplementów oczekuję.

– W takim razie czego oczekujesz od tego miejsca?

Marini milczał.

Teresa dalej wbijała mu szpile.

– Myślałam, że uciekłeś przed nieszczęśliwą miłością – rzekła. – Ale się myliłam, prawda? Dążenie do perfekcji i sposób, w jaki zebrzesz o moją akceptację, sugerują raczej wymagającego i wtrącającego się w życie rodzica, i to nawet teraz, gdy już dorosłeś. Uciążliwa obecność. Chodzi o ojca?

– Nie wiedziałem, że studiowała pani psychologię.

– Niewiele trzeba, żeby cię rozgryźć.

Wreszcie na nią popatrzył. Na jego twarzy malowała się wściekłość, ale także uległość, która ją rozczuliła.

– Och, nie rób z tego dramatu – pocieszyła go.

– Jeśli powie mi pani jeszcze, że mogło być gorzej, zmienię o pani zdanie. Takie banały nie są w pani stylu.

– Jasne, że mogło być gorzej, ale nikogo to nie obchodzi. Dobrze robisz, że szukasz przeznaczenia gdzie indziej.

– Oczekuje pani słów wdzięczności?

– Nie ma za co – odparła krótko.

Massimo wskazał na stertę segregatorów.

– Nie zapyta pani, co znalazłem?

– Przypuszczalnie nic.

– I pani o tym wiedziała.

Teresa wzruszyła ramionami.

– Gdyby była podobna sprawa, na pewno bym o niej pamiętała.

Ale nie było. Znała zawartość archiwum tak dobrze, jak jej dziadek znał kajet, w którym odnotowywał wyniki rozgrywek w morę. Setki dat i punktów. Gdy była dzieckiem, siadała mu na kolanach i przepytowała go: dziadek Pietro ani razu się nie pomylił. Archiwum było chlebem powszednim dla Teresy od prawie czterdziestu lat. Jej credo. Pośród tych wszystkich kartek nie było ani jednej, z której by się czegoś nie nauczyła.

Marini uniósł brew.

– Nie spodziewałem się, że będę pracował z profilerką.

– Wyczuwam ironię w twoim głosie. Gwoli ścisłości – dodała, puszczając do niego oko – na razie tylko ja pracuję. Ty wprowadzasz zamieszanie.

Marini przeniósł wzrok na monitor i przesunął myszką. Przed jego oczami zaczęły przelatywać pliki z informacjami o brutalnych zabójstwach. Teresa patrzyła, jak odbijają się w jego ciemnych źrenicach.

– Ja nadal uważam, że sprawę rozwiązuje się, szukając dowodów i śladów, a nie odgadując, jak wygląda zabójca – odparł po chwili.

Teresa pomyślała, że w gruncie rzeczy Marini jest zabawny.

– Patrząc na twoje wypociny – powiedziała – to ty próbujesz odgadywać. – Pochyliła się w jego stronę. – Zgoda, kryminologia to nie nauka ścisła. Nie ma w niej reguł, jak w matematyce, i każdy przypadek należy analizować osobno. Bo kryminologia to sztuka zobaczenia czegoś, o czym ktoś taki jak ty nawet nie ma pojęcia. Ale to nie magia, lecz interpretacja. I prawdopodobieństwo, statystyka, ale nigdy pewność.

Marini przyjrzał się jej uważnie.

– Pani naprawdę w to wierzy – mruknął w końcu.

Teresa westchnęła.

– Myślisz, że bawimy się tu w policjantów? – zapytała.

– Myślę...

– Nie, wcale nie myślisz. To oczywiste. Opowiem ci coś.

– Czy to konieczne?

– Raczej tak.

Rozłożył ręce, a potem opuścił je wzdłuż ciała.

Teresy nie zniechęcił ten brak entuzjazmu. Przyzwyczaiała się do reakcji nowych rekrutów, gdy stykali się z trudną do przetrwania rzeczywistością.

– Nasz bohater mieszka na prowincji – zaczęła opowiadać. – W sumie otacza go ledwo kilkuset mieszkańców. Swoją kryminalną karierę rozpoczął, profanując groby. Miał fioła na punkcie stóp, kolekcjonował je. Jedni marzą

o szafie pełnej butów, a on miał szafę pełną stóp. Wiem, brzmi to może zabawnie, ale kto ją widział, jest innego zdania.

– Pani komisarz...

– W dzieciństwie lubił damskie buty, ale gdy matka przyłapywała go z jej pantoflami na nogach, karała go, zanurzając jego stopy we wrzątku. Gdy dorósł, chciał zmienić płeć, ale zadowolił się zakupem kilkudziesięciu par damskich czółenek. Przestał profanować groby i zaczął zabijać młode kobiety. Wybierał je latem, gdy mógł oglądać ich stopy. Odcinał je i wkładał do butów, które trzymał w domu. Policjanci wielokrotnie prawie go mieli, on jednak zawsze był o jeden krok przed nimi. Ciekawi cię ta historia?

– Dobry pomysł na film.

– Owszem, z tym że wydarzyła się naprawdę, niedaleko stąd, w latach dziewięćdziesiątych. Bohater nazywał się Igor Rosman, a ofiary były prawdziwe.

Sarkastyczny uśmiech spełznął Mariniemu z twarzy.

– Jak się skończyła? – zapytał.

– Aresztowałam go.

Cisza. Teresa bez trudu zniosła jego badawczy wzrok.

– Dzięki zgłębianiu przestępczych umysłów, takich jak Rosmana i setek innych, wiemy dzisiaj, jak działa psychika mordercy – wyjaśniła. – A jeśli wiemy, co myśli sobie kryminalista, wiemy też, w którą stronę spojrzeć, żeby go znaleźć. Dlatego tak ważne jest, by zrozumieć, z jakiego typu zabójcą mamy do czynienia. Jeśli jest niezorganizowany, musimy szukać człowieka z zaburzeniami, nieprzystosowanego do społeczeństwa, żyjącego na marginesie.

– A jeśli nie jest?

– Wtedy mamy problem, bo tacy jak on kryją się za pozornie doskonałymi życiorysami. Rozumiesz? Może być miłym i nieco nieśmiałym nauczycielem albo sąsiadem o nudnej i monotonnej prezencji, zupełnie jak ty. – Teresa wstała. – Chodź. Czekają nas dwie godziny w samochodzie.

– Gdzie jedziemy?

– Wracamy na miejsce zbrodni. Dał nam znak.

Marini popatrzył na nią ze dezorientowaniem.

– Kto taki? – zapytał.

Teresa rzuciła mu kluczyki.

– Zabójca – odparła.

16

– Czy myśli pani, że naznaczył dom?

Marini zapytał szeptem, jakby wstydził się uzewnętrznić niepokój, który go ogarnął na widok nagiego mięsa. Tusza zająca jeszcze wisiała na oknie. Zwierzę miało złamaną kość szyjną i zostało odarte ze skóry. Pozbawiona futra głowa wyglądała groźnie: zęby szczyrzyły się w czaszce opasanej przez twarde i chudy mięsień.

Teresa nic nie odpowiedziała. Tak właśnie myślała, ale było za wcześnie, żeby o tym rozmawiać.

Szef lokalnej policji odciągnął ją na bok.

Hugo Knauss był korpulentnym, niezbyt wysokim mężczyzną i wiecznie wyglądał na uśmiechniętego, nawet gdy zachowywał powagę. Wynikało to ze sposobu, w jaki zaciskał spierzchnięte usta i mrużył oczy, jakby rozciągała je zniszczona przez zimno skóra. Twarz miał typową dla rudowłosych: jasna karnacja i rdzawy zarost.

– Wezwała nas dziewczynka, Lucia Kravina. Była sama w domu – powiedział.

Teresa skinęła głową, z oczami utkwionymi w zwierzęciu.

– Czy wcześniej dochodziło do podobnych incydentów? – zapytała.

– Nic mi o tym nie wiadomo, a pracuję tu prawie całe życie. Czasami jakiś żartowniś kradnie rozwieszane pranie, ale nic więcej. A teraz tylko w ostatnim tygodniu całe miasteczko widziało ofiarę zabójstwa i jeszcze to... – Mężczyzna splunął na ziemię. – Co to ma być, robota kryminalisty? Jakieś ostrzeżenie?

Teresa obawiała się, że chodzi o coś groźniejszego, o ile to w ogóle jeszcze możliwe.

– Nie – odparła. – Wątpię, żeby świątek kryminalny maczał w tym palce. Jaką rodziną są ci Kravinowie?

Mężczyzna prychnął.

– On to nicpoń, który co chwilę zmienia pracę. Ona jest kelnerką w lokalu

w centrum, a wieczorami dorabia w pubie. Nie są święci, ale przynajmniej nieszkodliwi.

Teresa powstrzymała się od stwierdzenia, że pozornie bezbarwne życie, bogate w niezdrową mieszaninę niezadowolenia i złości, bywa często dobrą pożywką dla rodzącego się zła.

– Nieszkodliwi – powtórzyła, jakby obracała językiem gorzkie w smaku sylaby. – Natura żadnego ze swoich dzieci nie uczyniła nieszkodliwym, sierzancie Knauss. Gdyby tak było, marnie by skończyła.

Mężczyzna przestał żuć gumę, którą przerzucał z jednej strony ust na drugą, od kiedy przybył na miejsce.

Wygląda na urażonego – pomyślała Teresa – *jakby odebrał to jako przytyk.*

– Nie jesteśmy bestiami – powiedział. – Tutaj, w Traveni, nikt nie zrobiłby czegoś takiego.

Nagle wszystko stało się jasne. To mylne poczucie przynależności do wspólnoty skłoniło go, by uwolnić wszystkich mieszkańców od jakichkolwiek podejrzeń.

– To nie mógł być nikt stąd, bo jest stąd. Ciekawe spostrzeżenie, sierzancie – odparła, nie mając jednak pewności, czy ten wyczuje ironię.

Knauss pożegnał się skinieniem głowy i Teresa została sama. Wpatrywała się w krwawiącą ścianę domu. Purpurowe łzy spływały po tynku na śnieg. Zdążyły już zamarznąć, chociaż zwierzę zabito tuż przed tym, jak powieszono je na haczyku do zamykania okiennic.

Teresa czuła milczącą obecność Mariniego za plecami.

– Są wszędzie – zwróciła się do niego.

Na murach domu widniały dziesiątki odcisków dłoni, która była odpowiedzialna za ten czyn.

– Z czym ci się kojarzą?

Widziała, że się waha.

– Śmiało, inspektorze. Tak na pierwszy rzut oka. Wiem, że coś ci przyszło do głowy.

– Ze skalnymi malowidłami – rzucił, a po sklejonych wargach widać było, że jest wyraźnie zażenowany.

Teresa przytaknęła.

– Dokładnie.

Odniosła to samo wrażenie, a przed oczami stanął jej widziany kiedyś

obraz – może w telewizyjnym reportażu? – jaskiń pokrytych podobnymi śladami. Oba malowidła dzieliło ponad dziesięć tysięcy lat historii i równie wiele kilometrów, a mimo to było w nich coś podobnego, niezbadanego, coś, w co Teresie trudno było uwierzyć: przez chwilę zastanawiała się nad rytuałem własnego *ja*, nad potrzebą, którą nosi w sobie psychika dziecka, by utwierdzić samego siebie i wkroczyć w dorosłość.

Ale w ręce, która to zrobiła, nie było nic z niewinnej istoty. Teresa przyłożyła swoją dłoń do jednego z prymitywnych odcisków, uważając, żeby go nie dotknąć: był o wiele większy, a palce – grubsze. Poczowała, jak przez jej ciało przebiega dreszcz. Doznała prawie fizycznego kontaktu ze sprawcą.

Podążyła wzrokiem wzdłuż linii wytyczonej przez ślady butów. Wyobraziła sobie postać, która w nocy przemierza pokrytą śniegiem łąkę, z oczami wbitymi w dom i niewielkim martwym zwierzęciem w dłoni.

Dlaczego?

– Trop kończy się pod oknem – zauważyła – ale nie widać, którędy wracał.

Twarz Mariniego nagle zbladła i jednocześnie stężała. Inspektor spojrział na dom Kravinów.

– On ciągle tu jest – powiedział, jednocześnie sięgając do kabury ukrytej pod płaszczem.

– Spokojnie, inspektorze. Przyjrzyj się dokładniej – poleciła Teresa i pochyliła się. – Niektóre są głębsze od pozostałych. Wrócił po swoich śladach.

Wyprostowała się.

– Nie brakuje mu inteligencji. Założę się, że one też gubią się w lesie.

Marini wyglądał jak przygnieciony ogromem szczegółów. Teresa rozumiała, co czuje.

– Nie potrafisz go sobie wyobrazić, prawda? – zapytała. – Ja też nie.

– Dlaczego uważa pani, że autorem tego dzieła jest zabójca Valenta? Mógł to zrobić pierwszy lepszy sadysta.

– Pierwszy lepszy sadysta? W żadnym razie. Ale w jednym masz rację: to jest dzieło. Inscenizacja, jak ciało Valenta. Ma głębokie znaczenie, które prędzej czy później odgadniemy.

– Może to groźba?

Teresa pokręciła głową.

– To tak nie działa. Przemoc na zwierzętach cechuje wielu seryjnych morderców, ale zazwyczaj dokonywana jest w ukryciu. Są pierwszym

krokiem w dręczące ich fantazje, które domagają się zrealizowania.

Marini rozejrzał się.

– Co teraz robimy? – zapytał.

– Chcę porozmawiać z dziewczynką.

Lucia Kravina musiała przedwcześnie dorosnąć. Chociaż miała zaledwie osiem lat, sama przygotowała kawę policjantom, bo matka, która dopiero wróciła z pracy, sprawiała wrażenie bardziej wstrząśniętej niż córka. Nawet nie przytuliła dziecka, by je pocieszyć. Oceniając jej wygląd, Teresa doszła do wniosku, że prawdopodobnie została matką w bardzo młodym wieku, może gdy jeszcze nie była gotowa, by przestać być córką. Z odpryskami czarnego lakieru na obgryzionych paznokciach, różowym kosmykiem pomiędzy odrostami po dawnych pasemkach, w przyciasnych legginsach i skórzanej kurtce, która ledwo sięgała poniżej biustu, przypominała podstarzałą nastolatkę. Przesłuchiwał ją Parisi, ale z miny, jaką posłał w jej stronę, Teresa wywnioskowała, że niczego się od niej nie dowie.

Przestraszonym dzieckiem była ta kobieta, a Lucia sama umiała o siebie zadbać. Teresa była przekonana, że to ona wyręcza matkę w obowiązkach. Dom był biedny, ale panował w nim porządek.

Nie od razu podeszła do dziewczynki; przyglądała się jej z daleka, udając, że pochłania ją wydawanie poleceń. Jednocześnie zastanawiała się, co powiedzieć, żeby jej nie spłoszyć, lecz zdobyć jej zaufanie, nie narażając na kolejny stres. Mała doświadczyła już dzisiaj wystarczająco wiele przemocy: na biednym zwierzęciu zawieszonym na jej oknie, ale także na jej zaciszu opanowanym przez obcych. A Teresa była jednym z nich.

– Lucia jest silną dziewczynką. Wcześniej dorosła, ale nie zatraciła słodczy typowej dla swojego wieku.

Teresa się odwróciła.

Wpatrywał się w nią uśmiechnięty mężczyzna. Jego twarz do połowy zakrywał wełniany szalik w kwadraty, a na głowie miał filcowy kapelusz przepasany sznurkiem i ozdobiony miękkimi piórkami. Przed zimnem chronił go płaszcz z zielonej wełny. Był niewiele wyższy od Teresy.

– Przepraszam – powiedział nieznajomy. – Widziałem, jak pani na nią patrzy, i spróbowałem odgadnąć pani myśli.

– Jest pan wybornym obserwatorem – pochwaliła Teresa.

Mężczyzna podał jej rękę, nie przestając się uśmiechać. Jego tęczy

były w kolorze jasnego błękitu.

– Carlo Ian – przedstawił się. – Jestem tutejszym lekarzem. Dobrze znam rodzinę Kravinów. Zobaczyłem policyjne wozy i się zaniepokoiłem.

Mężczyzna już dobrych parę lat temu przekroczył wiek emerytalny. Teresa uścisnęła mu dłoń.

– Komisarz Battaglia – powiedziała. – Zajmuję się sprawą Valenta.

Ian spochmurniał. Podążył wzrokiem do okna, na którym ciągle wisiało ciało zwierzęcia. Jeden z policjantów fotografował je pod każdym kątem. Lekarz nie widział niczego z miejsca, w którym stał, ale obecność tuszy była dla wszystkich wręcz namacalna.

– Myśli pani, że zrobił to ten sam człowiek, który zabił Roberta? – zapytał.

Teresa nie zdążyła odpowiedzieć.

– Pan doktor!

Lucia Kravina rzuciła się lekarzowi w ramiona. Ten schylił się, żeby dziewczynka mogła wtulić twarz w jego szyję. Przez chwilę szeptali coś między sobą. Wyglądali jak para przyjaciół, która wymienia się zwierzeniami. Teresa odczuła ulgę. Ucieszyła się na myśl, że ta mała kobietka ma kogoś, przy kim może na powrót stać się dzieckiem. Słyszała jej szloch i widziała, jak mężczyzna ociera jej łzy i kradnie uśmiech, wyciągając znikąd kolorowego lizaka.

Poczuła się jak piąte koło u wozu, ale lekarz przyszedł jej z pomocą.

– Lucio – powiedział do dziewczynki – ta pani jest tutaj, żeby odkryć, kto zrobił tę straszną rzecz.

Dziewczynka przyjrzała się Teresie uważnie, ale ani na chwilę nie zwolniła uścisku wokół szyi lekarza.

Pani komisarz uśmiechnęła się do niej.

– Cześć, mam na imię Teresa.

Dziewczynka zagryzła dolną wargę. Najwyraźniej wahała się, czy odpowiedzieć, czy może lepiej uciec.

– Jest tutaj, żeby ci pomóc – uspokajał Ian. – Ufasz mi?

Lucia przytaknęła.

– Jej też możesz zaufać. Ręczę za nią. – Mrugnął porozumiewawczo.

Dziewczynka uśmiechnęła się. Była ładna, może trochę za chuda, ale za to miała tak czarne i świetliste oczy, jakby przeglądały się w nich gwiazdy.

Gdy zaczęła opowiadać o misce z mlekiem, która co rano stała pusta, i o duchach mieszkających w lesie, na twarzy doktora Iana zagościło

zmartwienie. Teresa zauważyła, że Marini przygląda im się z drwiącą miną, jakby chciał jej powiedzieć, że nie ma sensu tracić czasu na dziecięce wymysły.

Ale Teresa wiedziała już, jakie pytanie zadać:

– Gdzie zazwyczaj stoi duch?

Dziewczynka bez wahania pokazała na skraj lasu.

– Tam. Kryje się za drzewami i patrzy na mnie.

Austria, 1978

Kolejny świt wstawał nad Szkołą. Światło było niezdrowe, jakby słońce się pochorowało: nie ogrzewało ani ciała, ani serca. Powoli sunęło po kamieniach małej kapliczki, przeganiając cień, ale samo było cieniem pod fałszywym przebraniem.

Magdalena siedziała w ławce przed skromnym ołtarzem i zastanawiała się nad rosnącym w niej uczuciem wstrętu. W tej Szkole kryło się coś złego, co brukało każdego, kto postawił w niej nogę, a nawet przyrodę otaczającą budynek: każda żywa istota, każdy kamień, każdy mroźny powiew wiatru był skażony surowością. Nawet w położonej na tyłach refektarza kaplicy brakowało ciepła, którego należałoby się spodziewać po miejscu przyjmującym modlitwy i dusze grzeszników. Jedyne wiszący w absydzie Chrystus miał twarz przepełnioną ludzkim smutkiem. Resztę stanowiły tylko poszarzałe kanty.

Magdalena spojrzała na figurę Pana, ale nie była w stanie się modlić. Nigdy jeszcze nie czuła się tak źle. To, co widziała w salach, powracało każdej nocy pod postacią dręczących koszmarów; budziła się z nich cała we łzach.

Jest w tej Szkole coś złego – powtarzała sobie. Ale to zło ulotne, bezkształtne i dlatego tak trudne do zdefiniowania. Nie od razu je sobie uświadomiła i mimowolnie przyczyniła się do zniewagi zadawanej życiu.

Spojrzała na rękę, podniosła je do oczu. Wydawały jej się brudne.

Nikt w Szkole nie rozumiał jej rozterek. Zaczęto podchodzić do niej z podejrzliwością, z większą uwagą śledzić jej poczynania, dlatego Magdalenę dręczyły wątpliwości, że to może ona jest fałszywą nutą w tej doskonałej symfonii.

Znowu podniosła wzrok, dokładnie w chwili, w której promień słońca padł na jeden z witraży. Światło zabarwiło się na czerwono i przeszło

Ukrzyżowanego na wysokości otwartej rany w Jego żebrach. Wypływająca z niej krew nagle jakby ożyła. Już drugi raz widziała ten znak. Pierwszy przydarzył się wtedy, kiedy Agnes Braun wyjaśniała jej regułę ośrodka: „patrz, obserwuj, zapomnij”.

Magdalenę przeszył dreszcz.

W tym krzyżu nie było nadziei na zbawienie. To było tylko przedstawienie męki. Chrystus odwzajemniał jej spojrzenie ze strapioną miną kogoś, kto ma pewność, że nikt mu nie pomoże. Trudno o bardziej bezlitosne oskarżenie od tych zrozpaczonych oczu.

Magdalena wstała. Wiedziała już, co ma robić. Musi wprowadzić zmiany.

Szybkim krokiem przemierzyła opustoszałe korytarze na parterze, aż do holu, jakby nie mogła dłużej zwlekać z naprawieniem tego, co już zostało zniszczone. Potem wspięła się na pierwsze stopnie głównych schodów i stanęła jak wryta.

Agnes Braun obserwowała ją z półpiętra, z rękami założonymi na wklęsłej piersi. Coś w jej uśmiechu zaniepokoiło Magdalenę, jakby czytała jej w myślach, widziała każde pęknięcie w jej duszy i jeszcze je pogłębiała, by zburzyć fundamenty jej istnienia.

– Muszę do nich iść – powiedziała, jakby chciała przekonać samą siebie, że nie może się cofnąć.

Agnes powoli pokręciła głową.

– Pacjenci z pierwszego piętra nie należą już do twoich obowiązków – odparła uprzejmie. – Powierzę ci inne zadania, bardziej odpowiednie dla twojego temperamentu.

Magdalena mocno zacisnęła palce na marmurowej poręczy. Była pewna, że są zimniejsze od martwego kamienia.

– *Pacjenci?* – prychnęła. – Muszę do nich iść – powtórzyła stanowczo.

Uśmiech na twarzy Agnes zgasł.

– Szkoła przyjęła cię jak córkę. Niedobrze jest gryźć rękę, która cię karmi.

– Nie chcę gryźć, chcę im tylko pomóc.

Agnes wzniosła oczy do nieba i zakresliła podbródkiem łuk w powietrzu.

– Czyż my wszyscy nie jesteśmy tu właśnie po to? – zapytała.

Magdalena zrobiła głęboki wdech.

– To, co robimy, wcale im nie pomaga. Jest... *dziwne* – wyznała. – Nie tego potrzebują. Musimy...

Agnes Braun przyjęła jej wątpliwości bez oznak zdziwienia.

– Stosujemy się tutaj do zasad medycyny – odpowiedziała ze spokojem. – Kim ty jesteś, żeby podważać metody naukowe?

Magdalena zamilkła. Spostrzegła, że nie są już same. Pozostali pracownicy Szkoły zgromadzili się w holu i ze srogimi minami przyglądali się, jak Magdalena próbuje sprzeniewierzyć się jej regułom.

– Czy któryś z obiektów nosi ślady nadużyć? – zapytała Agnes.

Magdalena znowu spojrzała w jej stronę.

– Nie, panno Braun.

– Czy troszczymy się o ich sute posiłki i nienaganne warunki higieniczne?

Magdalena przełknęła gorycz.

– Tak, panno Braun.

– W takim razie, na miłość boską, o czym my tu rozmawiamy?

Ton jej głosu wskazywał, że powtarzała to już wiele razy. Była przyzwyczajona do manipulowania ludźmi i Magdalena właśnie zdała sobie z tego sprawę.

– Brakuje jednego. Tylko jednej rzeczy, panno Braun. Miłości – powiedziała.

Na dźwięk tego słowa na twarzy Agnes Braun po raz pierwszy od dnia ich poznania pojawiło się szczere zdziwienie.

– Odosobnienie może wywoływać dziwne skutki u kogoś, kto do niego nie nawykł – odparła kobieta. – Martwię się o stan twoich nerwów. Idź do swojego pokoju i odpocznij. Dzisiaj nie będziemy cię już fatygowali.

Magdalena poszukała wsparcia u kucharki i salowego, ale w ich oczach nie znalazła zrozumienia. Marie zerknęła na nią zza kuchennych drzwi, w fartuchu mokrym od wody.

– Magdaleno? – przywołała ją do porządku Agnes. – Idź już.

Spokój, z jakim wydała to polecenie, zmroził dziewczynę jeszcze bardziej niż otrzymana przed chwilą odpowiedź.

Mury Szkoły nagle zaczęły na nią napierać, chłód stał się bardziej przenikliwy, a silna jeszcze przed chwilą wola spłynęła z niej jak krople wody z dłoni. Mimo to Magdalena nie pokazała po sobie żadnych emocji.

Wycofała się, lecz nie ze strachu. Znalazła się sama i bezbronna przed obliczem fortecy, która wytrzyma każdy atak.

Przypomniała sobie, że Szkoła to żywy organizm, który właśnie odrzucał ją jak obce, potencjalnie groźne dla niej ciało.

Odeszła, unikając wrogich spojrzeń. W pokoju zdjęła z szafy walizkę

i zaczęła wrzucać do niej swoje rzeczy. Będzie jej bardzo brakowało sowego wynagrodzenia, które spadło jak manna z nieba, wiedziała już jednak, że w rzeczywistości było zwykłą zapłatą za milczenie.

Gdy już trzymała płaszcz w rękach, nagle znieruchomiała.

Cisza zawsze sprzyja oprawcy, nigdy ofierze. Czymże byłaby jej ucieczka, jeśli nie kolejnym aktem tchórzostwa?

Odłożyła płaszcz i usiadła na łóżku. Sprężyny zajęczały pod jej ciężarem.

Nie zostawi ich samych, nie ucieknie. Odejdzie ze Szkoły razem z nimi. Potrzebuje tylko czasu. Czasu i dowodów.

18

W tysiącletnich borach Traveni słycać było kapanie wody i osuwanie się płatów śniegu ze świerkowych gałęzi, które aż ugięły się pod jego ciężarem. Poza tym panował spokój. Mróz wstrzymał życie na kilka miesięcy.

Teresa szła po ścieżce wydeptanej przez techników, bacząc, gdzie stawia nogi, żeby nie zatrzeć śladów. Za jej plecami Marini robił to samo. Kilkakrotnie próbował podtrzymać ją, kiedy mogła się poślizgnąć na zdradliwej tafli lodu, ale Teresa przeganiała jego rękę lekkim klepięciem.

– Może to nie ten sam człowiek. Może to jakiś maniak, a nie nasz zabójca – usłyszała jego głos.

Teresa nie zamierzała marnować tchu na odpowiadanie. Była pewna, że jest zupełnie inaczej i że porównanie odcisków palców z tymi znalezionymi na ciele Valenta wkrótce to potwierdzi. Fakt, że obserwuje – a właściwie szpieguje – potencjalne ofiary, nie oznacza seksualnego podtekstu w jego zachowaniu. Zwyczajnie sugeruje tylko, że jego morderczy instynkt się przebudził. W tego rodzaju sprawach zawsze kryje się jakaś forma voyeuryzmu: zabójca sprawdza obszar łowów, zagląda do domów, gdy nikogo nie ma, kradnie drobne przedmioty... Fetysze, które rozpalają jego fantazję. Hugo Knauss sam przyznał, że w miasteczku zniknęło pranie. Teresa uznała to za interesujący szczegół, ale najbardziej alarmującym aspektem był fakt, że Traveni liczyło zaledwie tysiąc mieszkańców. Prawdopodobnie sprawca był znany ofierze, a może także Kravinom. Czuła niepokój na myśl, że Lucia większość czasu spędza sama. Zamierzała wydać polecenie, aby obserwowano zarówno dom Kravinów, jak i Roberta Valenta.

W lesie już zmierzchało, chociaż godzina była popołudniowa. Najkrótsze dni w roku zbliżały się wielkimi krokami: paskudny czas na uganianie się za mordercą, który przemieszcza się po górskich szlakach.

– Musimy ostrzec władze miasta, ale tak, żeby nie wywołać paniki – poleciła Mariniemu. – I uwaga na prasę, nie wolno podsycać zbrodniczego apetytu zabójcy i łechtać jego ego.

– Boi się pani, że zrobią z niego temat na pierwsze strony gazet?

Teresa się nie bała, ona miała pewność. To nie byłby pierwszy taki przypadek; fachowa literatura pęka od zbrodniarzy, którzy wdali się z mediami w chorą grę zaspokajającą głód obydwu stron.

– To nieuniknione – stwierdziła. – Ludzie śledzą kronikę kryminalną z trwogą, ale i z ukrytym podnieceniem. Chodzi o fascynację złem. Z tego samego powodu twoje serce teraz aż chce wyskoczyć z piersi, prawda? Zastanawiasz się, jak by to było, natrafić na niego za tym drzewem. I jak on wygląda, jak by na ciebie patrzył.

– Ja się nie boję.

Teresa zatrzymała się i spojrzała na niego.

– Ale przed chwilą czułam, że twoja ręka drży, inspektorze – nie dawała mu spokoju.

Zignorował ją i wskazał na potok szemrzący pomiędzy pokrytymi bluszczem zaroślami.

– Technicy policyjni twierdzą, że ślady kończą się tam – rzucił.

Zabójca po raz kolejny dał susa. Teresa nie widziała jeszcze czegoś takiego: kiler bez obaw narażał się, rozsiewał swoje DNA, deptał śnieg i zostawiał w nim odciski butów, a nawet demonstrował swoją dłoń, odbijając ją dziesiątki razy na murze. Dłoń, którą wydlubał ofierze oczy. A kiedy dochodził do wniosku, że pora zniknąć, przepadał jak kamień w wodę.

– Trzeźwy i szalony zarazem. Trzeźwy i szalony – powtórzyła szeptem, wpatrując się w krystaliczny nurt strumienia.

– Jeśli jest tak, jak pani mówi, pośród domów krąży bestia – zauważył Marini.

Teresa chuchnęła w przemarznięte dłonie. Na wełnianych rękawiczkach pojawiły się igiełki lodu.

– Ktoś będzie mi musiał kiedyś wyjaśnić, co znaczy bestia – powiedziała. – Tak ich nazywamy, a potem, kiedy oglądamy ich twarze w telewizji, nie potrafimy zmienić kanału, bo wiemy, że są ludźmi jak my. I właśnie to przyciąga naszą uwagę, że dostrzegamy w nich jakąś część siebie.

– Czyli pani zdaniem w każdym kryje się bestia? – zapytał sceptycznie.

– Jestem tego pewna. Jeśli masz to szczęście, że los obdarzył cię godnym życiem, ta druga natura będzie w tobie drzemać, dopóki nie przestaniesz

oddychać. Ale w takich jak oni przemoc i trauma obudziły najgorsze instynkty.

Marini wpatrywał się w jej twarz.

– Uważa pani, że są ofiarami? – zapytał ze zdziwieniem, które mieszało się z odrazą.

Teresa wiedziała, że jej przekonania często budziły niechęć. Niełatwo uczłowieczyć potworność, łatwiej traktować ją jako coś obcego.

– Zawsze nimi są – odparła pewnie. – Zostali skazani na zaspokajanie głodu, który trzyma ich w swoich szponach.

– Czyli?

– Władzy. Władzy absolutnej nad drugim człowiekiem.

Marini zrobił krok do przodu i wtedy pod jego butem pękła gałązka. Gdzieś wyżej, pośród drzew, echo powtórzyło ten dźwięk. Oboje spojrzeli w górę. Ze szczytu schodziła już mgła.

– Jakieś zwierzę – stwierdził Marini.

Teresa uciszyła go gestem. Od kiedy weszli do lasu, mogłaby przysiąc, że ktoś ją obserwuje. Wmawiała sobie, że to tylko złudzenie, ale złudzenia nie wywołują omamów słuchowych. Podniosła patyk i złamała go w rękach. Powyżej, jakieś dwadzieścia metrów na wschód, dźwięk się powtórzył.

– To nie zwierzę – odparła, oddychając szybko. – To imitacja.

Ktoś tam był, ukryty we mgle i coraz dłuższych cieniach. Ktoś, kto dopiero rozpoczął z nimi swoją zabawę i wiedział, że nic mu nie grozi. Wąwozy i przepaście uniemożliwiały pościg w zapadającym mroku.

Dlatego ich obserwował, bezpieczny dzięki górcom i ciemności.

19

Śnieg zmienił oblicze wąwozu Slivy. Gardziel, w której biegł potok, przekształciła się w krainę lodu. Zieleń listowia ustąpiła miejsca śnieżnobiałym i połyskującym kryształkom, zaś strzeliste sylwetki świerków przybrały postać miękkich poduszek. Dźwięk, jaki wydawała woda, też był inny: z przezroczystego koryta nie dochodził już donośny bulgot, lecz przyciszony szum. Mróz spowolnił nurt, skuł lodem progi i zakola.

Znieruchomiał nawet wodospad wypływający z jaskini, którym Sliva wpadała do głębokiego jeziora pomiędzy skalnymi blokami wyrzeźbionymi przez czas; po błyszczących i przejrzystych stalaktytach ciekły tylko cienkie strużki wody.

W oczach Diega widok ten jawił się jak schody do nieba. Zastanawiał się, czy jego ojciec, gdy umarł, szedł po tak pięknych stopniach. Babcia powtarzała mu, że teraz będzie patrzył na nich z raju, ale taka perspektywa wcale chłopca nie pocieszała. Za życia obdarzał go jedynie surowym spojrzeniem. Nigdy go nie uderzył, Diego nie pamiętał też, żeby tata kiedykolwiek podniósł głos. Nie musiał. Wystarczył jeden rzut oka, żeby dać synowi do zrozumienia, jak bardzo go rozczarował.

Diego wiedział, że teraz pozbawione oczu ciało ojca spoczywa w kostnicy. Ale tamtej nocy przyśnił mu się cały, owinięty tylko w białe prześcieradło, wpatrzony w niego ze wściekłą miną. Nawet po śmierci nie potrafił zadowolić taty. Co gorsza dopiero teraz wyjdą na jaw wszystkie jego tajemnice i kłamstwa.

Dołączył do pozostałych, wykonując skok przez powalony stary pień. Mathias i Oliver rzucali kamienie na lód, który skuł brzeg. Na jego widok zeszywnieli. Diego spotykał się z taką reakcją u wszystkich ludzi, z którymi miał kontakt w ciągu ostatnich godzin, z wyjątkiem policjantki o czerwonych włosach. Tak jakby żałoba oddalała ludzi od siebie, zamiast ich zbliżać. Przerazała nieuchwytnym zapachem, niczym myśliwy drażniący zwierzęta.

Dysząc ciężko, spojrzął na nich błagalnie.

– To-to j-ja, t-ten sam – powiedział, potykając się o słowa. Wydostawały się z trudem, chociaż myśli płynęły wartko. Nienawidził się za to.

Mathias położył rękę na jego szyi i przyciągnął go do siebie.

– Bałem się, że nie przyjdiesz – powiedział, mocno go obejmując.

Młodszy od nich o rok i niższy wzrostem Oliver przyłączył się do uścisku.

– Uci-uciekłem – powiedział Diego. Jego matka nie chciała, żeby opuszczał dom.

W kręgu splecionych ramion czuł się jak w gnieździe, które tworzyły bliskie zapachy i wspólny oddech. Ale kogoś w nim brakowało.

– Lu-Lucia? – zapytał.

Mathias wzruszył ramionami.

– Dzisiaj raczej nie przyjdzie – odparł.

Diego zauważył cień na jego szyi. Wyciągnął palec, żeby odchylić kurtkę, ale Mathias powstrzymał go. W jego oczach dało się wyczytać pewność tego, jak zabrzmiało następne pytanie.

– Mama nic nie może zrobić – uprzedził je. – Bo sama dostanie.

Diego i Oliver popatrzyli na siebie smutno.

– Boli cię? – zapytał młodszy.

Mathias otrząsnął się, jakby chciał się uwolnić od bólu, do którego się nie przyznawał.

– Nie o siebie się martwię, tylko o brata – zdradził, uwalniając się z uścisku. Podniósł kamień z ziemi i z mocą cisnął nim w jeziorko. Lód eksplodował, opryskując czerwone policzki chłopców zimnymi kroplami. Mathias podniósł kolejny, tym razem większy, ale jego dłoń zawisła w powietrzu.

Diego zauważył, że przyjaciel zmrużył oczy i wpatruje się w drzewa za potokiem, jakby próbował wychwycić jakiś odległy szczegół.

– Na-na c-co patrzysz? – zapytał.

– Ktoś nas obserwuje z lasu – odparł Mathias.

Diego podążył za jego wzrokiem, ale nikogo nie zobaczył.

– To chyba jeleni – powiedział Oliver. – Mój ojciec mówi, że gdy robi się zimno, schodzą w doliny, w pobliże miasteczka.

– Jeśli to zwierzę – uciął Mathias – to je przegonimy.

Zamierzył się i cisnął kamieniem, który ze świstem zatoczył łuk i wpadł w pokryte śniegiem drzewa.

Chłopcy stali nieruchomo i wpatrywali się w punkt, w którym zniknął.

– To-to n-nic nie by-było – powiedział Diego. Nie wiedzieć czemu, ale odetchnął z ulgą.

Mathias roześmiał się głośno.

– Ale macie miny! Uwierzyliście!

– Głupek! – oburzył się Oliver.

– K-k-kretyn.

Coś wylądowało tuż obok nich. Głuchy brzęk w jednej chwili przerwał śmiechy. Jakiś przedmiot potoczył się po płaskim głazie, z którego latem skakali do wody, i zatrzymał się niedaleko od ich stóp.

Odwrócili się jednocześnie. Ten, kto rzucał, potrafił świetnie celować.

Niewiele większa od pięści kula raziła bielą.

To była czaszka wiewiórki.

20

Posterunek policji w Traveni przypominał górski hotel. Kiedyś pobliskie przejście graniczne było bardzo uczęszczane, a pieczę nad ruchem sprawowało prawie pięćdziesięciu funkcjonariuszy. Wraz ze zniesieniem kontroli granicznej rozpoczął się jego powolny upadek. Większość pokoi ziała teraz pustką, a stołówkę zlikwidowano. Hugo Knauss oraz jego ludzie albo gotowali sobie sami, albo przynosili obiady przyrządzone przez żony. Niektórzy zostawali tu na noc, a do domów wracali dopiero pod koniec tygodnia, o ile nie pełnili wtedy dyżuru.

Teresa postanowiła, że tutaj ulokuje swój sztab. Poleciała przygotować w miarę dużą salę i właśnie odbywało się w niej pierwsze zebranie jej zespołu z lokalną policją. Nie zaczęło się zbyt dobrze.

Teresa spoglądała na Knaussa znad okularów do czytania.

– Twierdzi pan, że istnieje grupa idealnie pasujących podejrzanych, znanych z imienia i nazwiska? – zapytała, akcentując poszczególne słowa. Kto miał z nią do czynienia, wiedział, że to nie rokuje zbyt dobrze.

Knauss wytrzymał jej wzrok z krzywym uśmiechem, który Teresę zaczął denerwować.

– Mamy sytuację pod kontrolą, pani komisarz – zapewnił.

Teresa przetarła oczy pod szklami.

– Cieszę się, sierżancie Knauss, bobym się tego nie domyśliła – odparła.

– To osobista uwaga.

– Jeszcze nie, ale i do takich dojdzie, jeśli się pan nie poprawi.

Knauss przemilczał przytyk.

– To jak jest? – Teresa nie odpuszczała. – Mamy czy nie mamy doskonale pasujących podejrzanych?

Sierżant chwilowo ustąpił.

– Mamy – przyznał.

Teresa zdjęła okulary, złożyła je i położyła na stole.

– Dlaczego, do diabła, nie poinformował mnie pan o tym wcześniej? –

zapytała.

Knauss znów się uśmiechnął, tym razem naprawdę.

– To porządni ludzie. Mogę za nich ręczyć.

Teresa popatrzyła na Parisiego, który stał obok niej, potem na De Carliego i wreszcie na Mariniego. Jej spojrzenia były bardzo wymowne i odpowiadały długiej litanii przekleństw. Miała ochotę wrzeszczeć, zamiast tego schowała tylko głowę w dłoniach i głęboko westchnęła. Czuła się zmęczona, co było czymś nowym. Ciało reagowało na bodźce, ale umysł zostawał w tyle. Z trudem śledziła rozmowę i werbalizowała myśli.

Przepracowujesz się – powtarzała w duchu, usiłując ignorować dreszcze, które przebiegały przez jej ciało. Zebrała myśli i zwilżyła wargi, żeby zdania wartko popłynęły. Zrobiła głęboki wdech i skoncentrowała się na sprawie.

– Mają motyw i byli już oskarżeni o wandalizm i niszczenie dóbr osobistych – powiedziała.

Knauss nieswój, zaczął wiercić się na krześle. Wyglądał, jakby jego potężne ciało nagle się skurczyło pod wpływem egzaminu, jakiemu został poddany.

Teresa nie czekała na odpowiedź.

– Chcę personalia każdego z nich – rozkazała.

Mężczyzna jeszcze raz spróbował wyjaśnić swoje racje.

– Oni są stąd... Niektórych znamy od dziecka.

– Mam gdzieś, czy pije pan z nimi kawę w barze – prychnęła Teresa.

Natychmiast pożałowała swojego tonu. Od rana czuła się rozdrażniona i niewiele było trzeba, by wytrącić ją z równowagi.

– To młodzi idealiści, pani komisarz. Nie chcą, żeby okolicę oszpeciła kolejna stacja narciarska.

– Idealisci śnią na jawie i organizują pokojowe marsze, sierżancie, a nie chodzą z kanistrami pełnymi benzyny i koktajlami Mołotowa – odparła. – Jakież doniesienia?

Knauss skinął w stronę jednego ze swoich ludzi. Ten pchnął teczkę w stronę Teresy. Wystarczyło jej kilka minut, żeby mieć jasny ogląd sytuacji. Budowa stacji narciarskiej przewidywała wycinkę drzew na znacznym odcinku górskiego stoku, dlatego nietrudno było sobie wyobrazić niezadowolenie części mieszkańców. Obszar podzielono na parcele. Te od północy, pokrywające grzbiet góry, zostały poddane wrywkowej inspekcji: badania geologiczne dały pozytywny wynik i budowa miała się rozpocząć na

wiosnę, po roztopach. Parcele południowe, od strony miasteczka, zostały ogrodzone i już przystąpiono do prac. To właśnie one były celem działań obrońców środowiska. Najpoważniejszy akt wandalizmu miał miejsce dwa tygodnie przed zabójstwem Valenta. Zatrzymano trzy osoby należące do grupy protestujących i postawiono im zarzuty podpalenia.

– Parisi, zajmiesz się tym z samego rana – wydusiła z siebie Teresa, pokazując mu kartkę z nazwiskami podejrzanych. – Na początek niezobowiązująca rozmowa.

– Dlaczego wdowa nic nam o tym nie wspomniała? – zapytał Marini.

Teresa podniosła głowę, popatrzyła na niego i nie zdołała odpowiedzieć. Zupełnie jakby ktoś skleił jej usta. Czuła na sobie oczy wszystkich zebranych.

– Pani komisarz?

Twarze. Twarze, z którymi w większości przypadków nie potrafiła skojarzyć nazwiska.

Zażenowanie mieszało się z przerażeniem. Ktoś podał jej szklanekę wody. Nazwał ją panią komisarz, wyglądał na zatroskanego. Teresa domyśliła się, że go zna, ale jego imię nie chciało pojawić się na języku.

Wzięła do ust zauszniki od okularów i zaczęła je przygryzać. Często tak robiła, tym razem jednak w całkiem innym celu: chciała dać sobie czas na opanowanie problemu, licząc, że słowa znowu popłyną.

Jak, do cholery, on się nazywa?

Nie pomogło.

– Przepraszam – powiedziała i wstała, ale zabrzmiało to tylko jak bełkot.

Skryła się w łazience, zamknęła drzwi i przekręciła klucz. Dotarła tu bez niczyjej pomocy, najwyraźniej znała to miejsce.

Wyrównała oddech i spojrzała w lustro: zobaczyła przerażoną, starzejącą się kobietę.

To tylko chwila dezorientacji – pomyślała.

Próbowała się oszukać. Dobrze wiedziała, co się z nią dzieje.

21

W tym okresie roku dolina przypominała gniazdo termitów podczas ulewnych deszczy: buzowała od frenetycznej aktywności, nieustannego ruchu na stokach góry. W przeciwieństwie do owadów, które zimą kryją się w swoich gniazdach, tych istot mróz w żaden sposób nie powstrzymywał. Z miejsca, z którego je obserwował, wyglądały jak kolorowe punkciki przemieszczające się po śniegu.

Podobni do niego, a jednocześnie tacy różni. Często się zastanawiał, jaki z nich pożytek. Termyty posiadały silne szczęki, którymi pożerały żywą materię. W ten sposób robiły miejsce dla nowych pędów: bez ich pracy las by się udusił.

Ale te stworzenia pożerały swoich bliźnich, karmiły się energią słabszych jednostek. Dla członków swojego stada były jak pasożyty, coś, czego natura nie przewidziała i co miało odrażający smak, jak połać trawy, która wyrosła w zacienionej części słonecznego płaskowyzu.

Obserwował ich, słuchał, jak łączą dźwięki z przedmiotami, naśladował, uczył się. Wchodził do ich domów.

Raz jedna kobieta nie zauważyła jego obecności i dalej spokojnie krzątała się po pokojach. Chodził więc za nią, a gdy odwracała wzrok w jego stronę, chował się w kątach, wciągał nozdrzami jej zapach, obserwował ciało.

Kiedy stracił nią zainteresowanie, wszedł na górę. Tam, w łóżeczku, bawiło się małe dziecko. Ich oczy się spotkały i wtedy malec się uśmiechnął. Wyglądał na zdrowego i dobrze odżywionego. Pachniał mlekiem.

Minął go i ruszył w stronę kołder leżących na łóżku. Były grube, miękkie i ciepłe jak owcze runo. Przyciągnął je do siebie, budząc kota, który na nich przysnął. Zwierzę prychnęło i wybiegło z pokoju.

Chłopczyk pisnął radośnie. Matka ze schodów zawołała go po imieniu.

Gdy weszła, wzięła synka na ręce i zaczęła do niego mówić cichym, łagodnym głosem. Usiadła na łóżku. Szelest materiału poprzedził odgłosy łakomego ssania. Matka nuciła jakąś melodię, która brzmiała jak śpiew

ptaków na wiosnę.

Czuł, jak porusza się nad jego głową. Łóżko skrzypiało pod ciężarem obu ciał.

Jakiś przedmiot upadł na ziemię i ona go nazwała.

Za-baw-ka, powtórzył za nią szeptem, zagłuszonym przez płynący wciąż śpiew. Nauczył się nowego słowa.

Cały czas wpatrywał się w skórę kobiety: nogi i stopy zakrywał materiał, z wyjątkiem małego odcinka na wysokości kostek, który był różowy i gładki. Niemalże wyczuwał jego ciepło. Ogarnęło go silne pragnienie, by go dotknąć.

Wystawił palec, ale nie zrobił tego.

Na progu nieruchomo siedział kot, który utkwiał w nim swoje żółte i przestraszone oczy.

22

Zaciśnięta dłoń w zębach. Teresa spędziła wiele lat życia na gryzieniu pięści, by w ten sposób zdusić szloch. Wiedziała, że tak można ukryć rozpacz w momentach, kiedy lepiej się z nią nie zdradzać. I w przeszłości – która nigdy nie będzie zbyt odległa – często tak właśnie robiła. Spaliła swój smutek na pogrzebowym stosie wraz ze starymi zdjęciami, ale nie łudziła się, że to ją od niego uwolni. Liczyła tylko, że nie będzie już tak mocno cierpieć, i życie spełniło jej oczekiwania: ból przestał być wrogiem, stał się częścią jej samej. Traktowała go niemalże jak przyjaciela od serca, brzemię, które trzeba dźwigać, żeby nie utracić wspomnień.

Pięść w zębach. Mocno zaciskała szczęki. Odkręciła kran i puściła wodę, żeby zagłuszyć wściekły szloch. Cały czas patrzyła w lustro, nie chciała stracić ani chwili z tego, co się działo, jakby bezpośrednia konfrontacja mogła w jakiś sposób skrócić atak. Miała nadzieję, że strach i rozpacz szybko przez nią przepłyną i zostawią wycieńczoną, lecz wolną, z dziurą w miejscu serca. Ale cierpienie nie miało końca.

Patrzyła sobie w oczy, by nie czuć się tak samotna. Chciała oglądać się w tym stanie i poczuć litość, której nikt inny jej nie okazywał. Była zdezorientowana. Wiek i dawne doświadczenia nauczyły Teresę, jak kochać samą siebie, ale to uczucie nie mogło jej uratować. Nie tym razem.

Nie chciała nazwać po imieniu swoich podejrzeń, zastanawiała się jednak, jaka przyszłość ją czeka, ile sił będzie trzeba, by stawić jej czoła i ile czasu jej jeszcze zostało.

Ostatni szloch przeszedł w westchnienie. Teresa wyjęła rękę z ust. Miała opuchniętą twarz. Kilkakrotnie zlała ją zimną wodą i długo przecierała chusteczkami. Nikt nie powinien zobaczyć strachu, który ją dorwał w swoje szpony, i się nad nią użalać. Musiała zamaskować swój stan i prosić jakiegoś miłościwego boga, aby ten atak nie powtórzył się zbyt szybko.

Czekało na nią śledztwo i ludzie, którymi miała dowodzić. Czekały ofiary, które domagały się sprawiedliwości, i zabójca, którego trzeba znaleźć.

Chwila słabości, na jaką sobie pozwoliła, dobiegła końca.

23

– Ja bym tego nie robił.

Simone De Carli patrzył na niego z założonymi rękami. Nie wyglądał na swoje trzydzieści lat; miał regularne rysy i bardzo rzadki zarost na brodzie. Tatuaze na ramionach, niski wzrost i szczupła sylwetka w połączeniu z obcisłymi dżinsami sprawiały, że przypominał raczej nastolatka.

Massimo nawet nie zwrócił uwagi na jego radę.

– Może poczuła się źle. Za długo już siedzi zamknięta – stwierdził.

To nie przekonało De Carliego:

– Tym bardziej nie powinniśmy ściągać na siebie kłopotów – odparł. I dodał szeptem: – Zawołałaby, gdyby potrzebowała pomocy. Nie rób...

Massimo zapukał do drzwi. Z drugiej strony dochodziły plusk wody i dźwięk ręcznika papierowego wyjmowanego z dystrybutora. Najwyraźniej Teresa Battaglia jeszcze nie umarła.

– Wszystko w porządku, pani komisarz? – zapytał.

Drzwi otworzyły się nagle i Massimo ujrzał przed sobą parę wściekłych oczu.

– Marini, może byś się zajął swoimi sprawami?

A zatem Teresa i jej paskudny charakter miały się dobrze. Massimo odwrócił się w stronę De Carliego, ale jego już tam nie było.

– Martwiłem się. – Na powrót spojrzał na panią komisarz. – Ale już tego żałuję.

Miała opuchniętą twarz, jak po długim płaczu. Przy uszach, między włosami, zaplątało się kilka kropel wody. Massimo pomyślał o plusku, który słyszał zza drzwi, i stwierdził w duchu, że zimna woda nie zdołała ukryć jej tajemnicy. Zastanawiał się, co takiego doprowadziło ją do załamania, i to tak nagle.

– Powiedziałem Knaussowi i jego ludziom, że zebranie dobiegło końca – zdał relację.

Spojrzała na niego z ukosa.

– Od kiedy to wolno ci wydawać polecenia?

Zmierzyła go od stóp do głów i ruszyła przed siebie korytarzem. Massimowi nie pozostało nic innego, jak iść za nią, choć strasznie go korciło, by posłać ją do diabła. Jednocześnie czuł też dziwny niepokój, którego nie potrafił sobie wytłumaczyć.

– Co ja tym razem źle zrobiłem? – zapytał.

– A co zrobiłeś dobrze?

– Wystarczyłoby, żeby mnie pani ignorowała, zamiast upokarzać.

– Chryste, Marini! Napiszę ci w dzienniczku przeprosiny i pokażesz je mamusi.

– Odpieprz się!

Stała. Massima w jednej chwili ogarnął wstyd.

– Przepraszam – dodał pośpiesznie.

Teresa Battaglia ściągnęła usta z niezadowoleniem.

– Szkoda. Tak ci dobrze szło, dopóki nie padły te tchórzliwe przeprosiny. „Odpieprz się” jeszcze nigdy nikomu nie zaszkodziło. Zapamiętaj to sobie – powiedziała.

Nie wiedział, co ma odpowiedzieć. Teresa, jak widać, wróciła już do formy i znowu była nieznośna i stanowcza. Chociaż trzeba jej było przyznać, że nie wykorzystywała stanowiska, żeby oszczędzać sobie krytyki, a co dopiero obelg.

– Przypomnij Knaussowi, żeby obserwował dom Valentów i Kravinów – poleciła. – Jutro przesłuchamy wdowę.

– A pani gdzie się wybiera?

– Jadę do miasta.

– Zawiozę panią.

– Nie trzeba. Umiem prowadzić, zapomniałeś?

Massimo zamilkł. Otworzyła drzwi na oścież i wyszła na parking. Znowu padał śnieg, grube płatki połyskiwały w świetle latarni.

– Czyli to prawda, że zabójca zawsze wraca na miejsce zbrodni? – zapytał z ironią w głosie, zanim odjechała.

Było ciemno jak w nocy, choć zegar wybił dopiero piątą po południu.

– Tak, jeśli nie ma nad sobą kontroli. Wraca na miejsce zbrodni. Uczestniczy w pogrzebie ofiary i idzie na jej grób. Dzwoni do krewnych. Spotyka się z nimi pod przeróżnymi pretekstami. Rzadko po to, żeby zbadać sytuację, raczej żeby podsycić swoje fantazje. By długo rozkoszować się

zadaną śmiercią i przyjemnością, jaką mu sprawiła.

24

Austria, 1978

Grzmoty zagłuszały wycie syren. Były tak silne, że sprawiały wrażenie, jakby wstrząsały budynkiem od fundamentów po poddasze. Przez wszystkie lata, które Agnes spędziła w Szkole, jeszcze nie widziała takiej nocy i takiej burzy.

Potykając się o długą spódnicę, przebiegła przez pustą kuchnię i sprawdziła, czy drzwi wejściowe są zaryglowane – wedle polecenia. Nagle błysk rozświetlił schody, a potem w jednej chwili pogasły wszystkie światła. Dotarła na pierwsze piętro. Podmuch wiatru rozbił szybę i deszcz zalewał podłogę. Kolejne uderzenie z hukiem otworzyło całe okno i jedno skrzydło przeleciało tuż przed twarzą Agnes, wrywając z jej piersi okrzyk. Kobieta czuła, że traci panowanie nad sobą i nad własnym życiem. Pozornie solidne podstawy usuwały się spod jej stóp, odsłaniając bezdenną nicość. Szkoła, a wraz z nią Agnes, właśnie runęła w przepaść.

Sunąc wzdłuż muru, podeszła bliżej i wyciągnęła szyję, żeby zerknąć na dziedziniec. Syreny wozów policyjnych rzuciły niebieskawe światła na ścianę za jej plecami. Ktoś wrzeszczał przez megafon, aby otwarto drzwi. Pośród obcych i zmoczonych deszczem twarzy Agnes rozpoznała Magdalenę.

Oto zdrajczyni – pomyślała ze złością. Poprawa, jaką dziewczyna okazała w ostatnim czasie, powinna była wzbudzić jej podejrzenia: tylko czekała na odpowiedni moment, żeby zadać cios w plecy tym, którzy jej zaufali. Agnes chciała wyć, wykrzyzczyć swój sprzeciw wobec tej niegodziwości, ale burza i tak zagłuszyłaby jej wściekłość.

Kobiety spojrzały na siebie z nienawiścią, zanim Agnes się pozbierała.

Miała do wykonania jeszcze jedno zadanie.

Cała przemoczona otworzyła drzwi do Gniazda i zdała sobie sprawę, że ktoś ją uprzedził. Przetarła dłonią oczy, żeby zetrzeć oślepiające ją krople

deszczu. W ciemnościach rozdzieranych przez przerażające błyski dobrze jej znana postać pochylała się nad jednym z obiektów. Wzięła dziecko na ręce i uniosła je ponad swoją głowę w geście, który przypominał pogański akt uwielbienia. Jaśniejsza od innych błyskawica zalała pokój światłem i na ułamek sekundy ukazała zachwyconą twarz mężczyzny. Chwilę później rozległ się grzmot, który zatrzęsł szybami w oknach.

Agnes zadrżała i przeżegnała się. Po raz pierwszy, od kiedy wtajemniczono ją w sekrety Szkoły, odczuwała strach.

Cicho zamknęła drzwi. W głowie miała zamęt. Ktoś mocno walił w drzwi wejściowe, najwyraźniej próbowano otworzyć je siłą. Wiedziała, że wszystko stracone, ale może dla niej był jeszcze ratunek. Ścisnęła w kieszeni pęk kluczy i zbiegła po schodach. Chciała dotrzeć do piwnic, a tam podziemnym korytarzem zbiec do starych stajni. Wiedziała, że zostawia je na pastwę losu, ale przecież nie chodziło o zwyczajne dziecko.

Mężczyzna nie pochylał się nad pierwszą lepszą kołyską. To była kołyska numer trzydzieści dziewięć.

25

– Niestety nie dysponujemy jednym konkretnym badaniem. Żeby postawić właściwą diagnozę, musimy wykluczyć inne ewentualności i starannie ocenić twój stan fizyczny i psychiczny.

Teresa słuchała uważnie, siedząc na zbyt małym krześle, które wpijało się jej w biodra, w rozgrzanej przychodni o zbyt agresywnym oświetleniu. Miała sucho w gardle i najchętniej uciekłaby stąd, ale się nie bała. Nie czuła też ani bólu, ani strachu. W ogóle nic nie czuła. Chciała po prostu iść do domu.

– Na początek zrobimy kilka testów. Tak czy inaczej, musisz wiedzieć, że przebieg choroby jest kwestią indywidualną, może to być kilka lat, a może i trzydzieści.

Carmen Mura od dwóch dekad była jej lekarzem, ale Teresa do teraz nie rozumiała, dlaczego posługuje się liczbą mnogą, gdy mówi o nieszczęściach.

Kobieta podsunęła jej kartkę przed oczy i lekko pogłaskała jej dłoń.

– Proszę, podpisz tę zgodę, żeby wszystkie ośrodki zdrowia miały dostęp do twoich wyników. To ważne, zwłaszcza jeśli choroba zostanie potwierdzona. Stan dezorientacji może uniemożliwić ci wyjaśnienie sytuacji, jeśli zajdzie taka potrzeba. Nie zapominajmy też o cukrzycy.

Teresa skinęła głową. Gdy sięgała po długopis, który podała jej Carmen, zauważyła, że jej ręka drży. Może jednak nie była taka spokojna, jak usiłowała sobie wmówić. Nabazgrała coś, co z trudem przypominało jej podpis: to był elektrokardiogram jej wstrząśniętej duszy. Teresa wyobrażała ją sobie jako dziewczynkę o dorosłej twarzy, zmieszaną, jakby dopiero co się przebudziła, rozczochraną i z brudnym nosem. Chciałaby obdarzyć ją jeszcze większą miłością, pocieszyć, ale ona tylko się w nią wpatrywała, jakby wcale do niej nie należała.

Carmen mówiła dalej:

– Zaczęłabym od analizy krwi i moczu, potem zrobimy rezonans magnetyczny. Da nam bardzo szczegółowy obraz twojego mózgu. Za kilka miesięcy powtórzmy go i zobaczymy, czy doszło do zmian. Prześwietlenie

też może się przydać, żeby wyodrębnić ewentualne zmniejszanie się pólkul. Zgadzasz się?

Teresa znowu skinęła głową. Te pytania były całkiem zbędne, ale nie miała sił, żeby zwrócić jej na to uwagę.

– Muszę cię jednak uprzedzić, i wybacz mi, że zrobię to bez owijania w bawełnę. Na dzień dzisiejszy nie ma lekarstwa.

Teresa wbiła paznokcie w torebkę, którą trzymała na kolanach.

Wreszcie to z siebie wydusiła. Potrzebowała sporo odwagi i godzinnej rozmowy.

– Dziękuję, że przyjechałaś mnie o tak późnej porze – powiedziała, podnosząc się z krzesła.

– Masz jakieś pytania?

Na pytanie, które chciałyby zadać, nie było odpowiedzi. Bo dotyczyło życia i śmierci, i tego wszystkiego, co pośrodku, co ona za tydzień, może za miesiąc albo za rok, utraci. Na zawsze.

26

Gdy dzwonek przerwał nocną ciszę, Lucia już nie spała. Czekwała na niego w korytarzu, z oczami utkwionymi w drzwiach. Obudził ją koszmar i definitywnie wytrącił ze snu. Podeszła więc do okna, żeby popatrzeć na padający śnieg, i wtedy zobaczyła zbliżającego się mężczyznę.

W pokoju obok coś trzasnęło o podłogę, potem jej ojciec zaklął. Usłyszała, jak chwiejnym krokiem podchodzi do niej, z otępiałym wyrazem twarzy, przesiąknięty dobrze znanym jej zapachem: to był zapach dymu, który wprawiał go w dobry nastrój i zmuszał do śmiechu, a potem pozbawiał przytomności bez względu na to, gdzie właśnie był tata.

– Co ty tu robisz? – zapytał. – Marsz do swojego pokoju.

– Tato, tam jest jakiś człowiek... – spróbowała mu powiedzieć, ale on nie słuchał, tylko wepchnął ją do środka.

– Twoja matka, jak zwykle. Zapomniała kluczy.

Lucia patrzyła, jak idzie do wejścia, podpierając się o ściany, i po omacku szukając punktu zaczepienia, żeby zachować równowagę. Obserwowała go zza drzwi. Wiedziała, że ojciec uważa ją za dziwadło, bo wierzyła w duchy, i że coraz częściej jej unika. Ale duch, który zamierzał wejść do ich domu, istniał naprawdę.

Znowu rozległ się dzwonek. Krótki i kategoryczny.

Ojciec nacisnął klamkę i w tym momencie zapiął kogut sąsiadów. Ten ptak był jak szwajcarski zegarek: odzywał się zawsze o czwartej nad ranem, bez względu na pogodę i porę roku. *Ale jeśli jest czwarta* – pomyślała Lucia – *to matka już dawno wróciła do domu.*

Gdy drzwi się otworzyły, ujrzała w nich nieznanego, który wypełniał sobą całą framugę. Był ogromny i miał na sobie kozuch sięgający kostek. Spod naciągniętego na twarz kaptura wystawała tylko długa broda.

– Słucham? W czym mogę pomóc? – zapytał ojciec.

Duch podniósł głowę. Miał trupio bladą twarz.

Lucia zamknęła pokój i schowała się pod kołdrą, ale zaraz zmieniła zdanie:

wróciła na paluszkach, otworzyła drzwi i wyjrzała jeszcze raz.

Bała się nieznajomego, ale zarazem budził w niej ciekawość. Zebrała się na odwagę i wyszła na korytarz. Widziała, jak podnosi rękę: coś zwisało z jego dłoni. Duch wybełkotał coś nieskładnie.

– Nie rozumiem. W czym mogę pomóc? – znowu zapytał ojciec. Z trudem utrzymywał się na nogach.

Nieznajomy wpatrywał się w niego uważnie, z przechyloną głową.

– *W czym mo-gę po-móc?* – powtórzył za ojcem, jakby to była jakaś gra.

Ojciec przeklął i próbował zamknąć drzwi, ale duch je przytrzymał. Lucia aż podskoczyła na dźwięk pięści uderzającej w drewno. Potem wszystko zamarło. Jej tata stał jak skamieniały i wpatrywał się w przedmiot, który duch trzymał w ręce. Lucia wyteńczyła wzrok: to był chyba jakiś naszyjnik.

Duch wycofał się i zniknął we mgle, z której przyszedł. Jej ojciec zamknął drzwi i się obrócił, a wtedy Lucia zauważyła, że cały drży.

Teresa wpatrywała się w światło w swoim pokoju. Nie w jakiś przedmiot czy odbicie, lecz w światło. W ostatnich godzinach widziała je takim, jakie jest: pulsującym bytem, który wypełnia powietrze, zmienia barwę, pada na ściany i przedmioty, zalewa je, a potem się wycofuje. Ciemność to czarne światło. To fala o określonej częstotliwości, przypływ i odpływ.

Teraz wdarła się do niej.

Teresa nie spała. Od wielu godzin rozmyślała, kurczowo chwytając się wspomnień.

– Dwudziestego maja tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego ósmego roku – wyszeptała.

Wtedy wszystko się zaczęło. Jej pierwszego dnia na świecie. Czy gdyby wiedziała, jak to się skończy, urodziłaby się z uśmiechem na twarzy?

Matka zawsze opowiadała, że Teresa nie zapłakała akuszerce w rękach, lecz otworzyła oczy i się uśmiechnęła. Z pewnością były to tylko odsłonięte bezzębne dziąsła na pomarszczonej buzi, odruch wywołany powietrzem, które po raz pierwszy musnęło nienawykłe do niego ciało.

Ale matka Teresy lubiła myśleć, że jej córka przyszła na świat z wrodzoną sobie radością. I takie też nadała jej imię, bo była przekonana, że oznacza „skarb”. Teresa nigdy jej nie zdradziła, że w rzeczywistości tłumaczy się je jako „łowczyni”. W pewnym sensie naprawdę została łowczynią.

Gdybyś mnie teraz widziała, mamo – pomyślała.

Złożyła broń, schowała się w swojej norze. Lizała niewyobrażalnie głębokie rany, które nigdy się nie zagoją.

Przyzwyczała się do tego, że ciało ją zdradza. Sama też niejedną raz się mu sprzeniewierzyła. Pogodziła się ze zmieniającą się sylwetką, coraz cięższą i bardziej przysadzistą; ze zmarszczkami na twarzy, której nie podziwiała już męskie oczy; z cukrzycą i skokami ciśnienia, z głodem i ze zmęczeniem, które czasami dopadało ją zaraz po przebudzeniu; z obolałymi stopami w połowie dnia i ze wzrokiem, który z każdym rokiem był coraz

słabszy, a nawet z blizną przecinającą brzuch, która codziennie przypominała jej o tym, co straciła.

Wszystko mogła znieść, ale nie ten ostatni cios. Nie da rady samotnie udźwignąć tego ciężaru.

Noc spędziła skulona na łóżku, w pozycji embrionalnej, z pragnieniem, by na powrót stać się czyjąś córką, i to nie tylko we wspomnieniach; by otrzymać pocieszenie, zamiast płakać tak, żeby nikt nie usłyszał. Wyobrażała sobie, że jakaś dłoń głaszcząc ją po mokrych od łez włosach i opuchniętej twarzy. Próbowała sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz ktoś ją pocałował. Bezskutecznie.

Świt był już blisko. Przez dziurki w opuszczonych roletach widziała, jak czerń przemienia się w granat.

Światło znowu zmieniło barwę. Ciemność odchodziła w dal, a Teresa po raz kolejny musiała zebrać w sobie siły i przegonić ją również z własnego wnętrza. Byłoby łatwiej, gdyby miała kogoś u swojego boku. Nie była typem romantyczki, ale po kilku dekadach samodzielnego radzenia sobie z życiem zaczęła marzyć o wybawicielu.

Na szafce nocnej zawibrował telefon komórkowy. Musiała dobrze się przyjrzeć literom na ekranie, żeby odczytać imię. Usiadła, odchrząknęła i wydusiła z siebie:

- Nie ciebie się spodziewałam.
- Wszystkie tak mówią, ale potem zmieniają zdanie.
- Ten Marini przynajmniej miał zawsze gotową ripostę.
- Co się dzieje? – zapytała.
- Nowiny w sprawie Valenta. Jadę po panią.

Na posterunku w Traveni aż wrzało: zatrzymano jednego z podejrzanych. Aresztowano go przed domem wdowy po Valencie, gdy próbował otworzyć drzwi frontowe. Cristian Lusar nie wiedział, że jest śledzony. Był jednym z trójki oskarżonej o podpalenie placu budowy, na którym pracowała ofiara.

To ten, który najbardziej pasuje do profilu zabójcy – pomyślała Teresa.

Drugą z oskarżonych osób była kobieta drobnej budowy ciała, nie miałyby więc żadnych szans w starciu z Valentem; trzecią zaś – pan w średnim wieku dotknięty stwardnieniem rozsianym.

Hugo Knauss po raz kolejny przemilczał zasadnicze dla śledztwa informacje: kiedy Teresa zapytała o trzech podejrzanych, nawet nie wspomniał, że dwoje z nich w ogóle nie nadaje się na zabójcę. Nie rozumiała, czy jego zachowanie wynika z lekkomyślnego traktowania pełnionej funkcji, czy jest raczej przejawem obstrukcjonizmu ze strony małej górskiej wspólnoty. W obydwu przypadkach Teresa nie zamierzała tego tolerować.

Lusar był trzydziestopięcioletkiem o atletycznej sylwetce wytrenowanej przez lata wspinaczek i narciarstwa wysokogórskiego. Jego muskularne ciało wyrzeźbiły wysiłek, pot i ostre powietrze. Liki w kolorze cynamonu okalały kwadratową twarz o błękitnym i nieufnym spojrzeniu. Nie wyglądał na przestraszonego.

Siedział w małym pokoiku i czekał. Teresa przyglądała się mu od dłuższej chwili zza przymkniętych drzwi. Nie powiedziano mu, dlaczego został zatrzymany, była jednak pewna, że się tego domyśla.

Ten piroman kręcił się wokół domu ofiary. Jego masywne i żyłaste ręce zdradzały nadzwyczajną siłę. Z pozoru był idealnym podejrzany, ale Teresa dałaby sobie rękę uciąć, że porównanie jego odcisków z tymi znalezionymi na ciele Valenta – które odpowiadały także śladom na domu Kravinów – oczyści go z zarzutów. Wcale nie oznaczałoby to, że Lusar jest niewinny; mówiłoby jedynie, że to nie on fizycznie zabił ofiarę.

– Wypuść go – zwróciła się do Mariniego.

Spojrzał na nią z zaskoczeniem.

– Dlaczego? – zapytał.

– Wypuść go i poślij do pokoju, w którym czeka Marta Valent. A ją przyprowadź do mnie, ale zrób to tak, żeby się zobaczyli.

– Jak mniemam, wyjaśnienia są całkiem zbędne?

– Jeśli nie rozumiesz, powtórzę po raz trzeci: wypuść go.

Marini w końcu wykonał polecenie, a Teresa razem z De Carlim i Parisim poszła do biura Hugona Knaussa. Ekran komputera przekazywał obrazy z monitoringu: wdowa po Valencie chodziła tam i z powrotem, obgryzając paznokcie. Była zaniepokojona, bo ktoś – ten sam człowiek, który groził jej mężowi – próbował wdrzeć się do jej domu. A może wcale nie dlatego.

Drzwi się otworzyły. Pojawił się Marini, a za nim – Cristian Lusar. Twarz kobiety stała się jeszcze bardziej spięta, niemal przerażona. Gdy Marini poprosił, żeby wyszła, uciekła wzrokiem w bok i spuściła oczy. Minęła Lusara, nawet na niego nie patrząc, z rękami założonymi na piersiach w postawie całkowitego zamknięcia, on zaś nerwowo włożył dłonie do kieszeni.

Nie wie, co z nimi zrobić, żeby się nie zdradzić.

Lusar popatrzył na Martę Valent, a potem odwrócił się do ściany.

Parisi oparł się o krzesło Teresy.

– Widziała pani? – wyszeptał.

Podniosła rękę, żeby go uciszyć. Tak, widziała wszystko, ale odpowiedź na to, czego chciała się dowiedzieć, kryła się w innym szczególe.

– Proksemika – wyjaśniła dwójce policjantów, pokazując na ekran. – Nauka, która pomaga nam zrozumieć znaczenie odległości, jaką ludzie zachowują między sobą. Każdy centymetr posiada konkretną wymowę psychologiczną. Ten przypadek nie jest wyjątkiem.

Popatrzyła na nich i dodała:

– Marta Valent i Cristian Lusar nie są sobie tak obcy, jak twierdzą.

Świadczył o tym zaledwie dziesięciocentymetrowy odstęp, który pozostawili między swoimi ciałami i który w pewnej chwili mimowolnie zmniejszyli do zera. Odstęp nie wynikał z okoliczności, lecz z podświadomej trajektorii, którą oboje wybrali przy zmianie pozycji. Tak małą odległość zachowuje się wobec znanego, zaufanego człowieka, a nie nocnego włamywacza, a już na pewno nie potencjalnego zabójcy. Jest to odległość rąk, które się obejmują, i oddechów, które się wymieniają.

Teresa przypomniała sobie, w jak natrętny sposób wdowa obracała obrączkę na serdecznym palcu podczas ich pierwszego spotkania. Teraz już wiedziała, że ten krążek był symbolem tylko pozornej więzi.

Chwilę później Marini przyprowadził Martę Valent. Parisi i De Carli wyszli, a Massimo zamknął za nimi drzwi.

– Jesteście kochankami? – Teresa zapytała bez ogródek.

Kobieta otworzyła usta, żeby zareagować, ale zaraz je zamknęła. Zastanawiała się, czy skłamać.

– Proszę się nie pogrążyć, i tak już o wszystkim wiem.

Teresa w końcu zrozumiała, dlaczego na tamtym zdjęciu w salonie Marta Valent wyglądała kwitnąco, teraz zaś była cieniem samej siebie. W pierwszym momencie Battaglia przypisała tę przemianę jakiejś nieznaney chorobie, ale teraz odkryła jej nazwę: poczucie winy.

Oczy kobiety zaszkliły się od łez.

– Cristian go nie zabił – rozpłakała się. – Ja też nie.

– Jak mogę pani zaufać? Już raz mnie pani okłamała.

– W domu byli mój syn i teściowa, jak miałam się przyznać?

– Po mojej wizycie na pewno nadarzyła się jakaś okazja, wystarczyło chcieć. Mogła pani do mnie zadzwonić o każdej porze.

Kobieta mięła w palcach zużytą chusteczkę higieniczną. Teresa podała jej świeżą i pozwoliła się wypłakać. Gdy wdowa już się uspokoiła, spojrzała na policjantkę z rezygnacją.

– Teraz pewnie wszyscy się o tym dowiedzą? – zapytała. – Martwię się o syna.

Komisarz miała nadzieję, że do tego nie dojdzie.

– Na razie wiem o tym tylko ja – powiedziała, choć sama nie rozumiała, dlaczego ją pociesza.

– Zatrzymacie mnie?

– Potrzebuję pani zeznanie. Muszę prosić o podanie wszystkich szczegółów romansu, które mogą dotyczyć sprawy.

– To nie my go zabiliśmy!

– W to nie wątpię, muszę jednak ustalić, czy nie poprosiliście kogoś, żeby was w tym wyręczył.

– Na miłość boską!

– Kolega zada pani kilka pytań.

– A co z Diegiem? Niedługo wyjdzie ze szkoły.

– Myślałam, że zamknęli ją na kilka dni.

– Dzisiaj była msza za duszę jego ojca, którą zorganizowała szkoła. Kto go odbierze?

Teresa przywołała w pamięci małego złodziejaska cukierków.

– Ja pojedę – powiedziała. – Będę dyskretna.

Natężenie ruchu przed szkołą podstawową w Traveni niczym nie ustępowało korkom w centrum dużego miasta w godzinach szczytu. Samochody na wyścigi próbowały zaparkować jak najbliżej bramy, opryskując rozjeżdżonym śniegiem co bardziej nadopiekuńczych rodziców, którzy wysiedli z aut i czekali na dzieci pod parasolami.

Teresa zastanawiała się, czy to strach jest źródłem ich nerwowości, czy może zła pogoda. Temperatura podniosła się o kilka stopni i z ciężkiego nieba padał marznący deszcz.

Ona i Marini też stali przed bramą. Massimo trzymał parasol – czarny jak jego humor; Teresa wsunęła ręce do kieszeni i wyciągała je tylko po to, żeby odwinąć z papierka kolejny cukierek, który wkładała powoli do ust, świadoma dezaprobaty w oczach podwładnego. Najwyraźniej młody inspektor był nie tylko potwornym nudziarzem, ale i miłośnikiem zdrowego trybu życia. Tego dnia był wyjątkowo milczący, więc dręczenie go nie sprawiało Teresie przyjemności.

– Utraciłeś swoją fundamentalną rolę – odezwała się do niego w pewnym momencie.

– Słucham?

– Już nic.

Dzieci wybiegły ze szkoły jak rozpedzone stado żądne wolności. Za nic miały deszcz i czarną breję na ulicy: skakały i biegały, wrzeszcząc wniebogłosy. Zapomniały już, dlaczego rano tutaj przyszły: msza za zmarłego ojca kolegi odeszła w przeszłość.

Dzieci potrafią być tak okrutne jak sama natura. Pcha ich do tego nadzwyczajny pęd do życia. Choć brzmiało to mało sensownie, Teresa zawsze uważała, że dzieci każdą chwilę traktują jak niewiarygodną przygodę, dlatego nie mogą sobie pozwolić na marnowanie czasu jałowymi formalnościami, których nawet nie rozumieją. Były żywe, więc cóż innego, poza życiem, mogły robić?

Diego Valent wyszedł jako jeden z ostatnich. Nie był sam, obok niego szedł młodszy chłopiec o mizernym wyglądzie. Rozmawiali ze sobą, a gdy się zegnali, Diego pogłaskał kolegę po policzku. Gest ten wydał się Teresie nietypowy jak na ich wiek. Jakby młodym Valentem kierował instynkt opiekuńczy. Gdy Diego zobaczył panią komisarz, przystanął niepewnie.

Teresa podeszła do niego, a tuż za nią – Marini, który usiłował nie wypuszczać jej spod parasola.

– Cześć, Diego – przywitała się. – Pamiętasz mnie?

Chłopiec nie odpowiedział, tylko na zmianę spoglądał to na nią, to na mężczyznę, a w jego oczach czaił się strach. W końcu zaczął się trząść z przerażenia. Teresa przykucnęła przy nim, żeby jej twarz znalazła się na wysokości jego wzroku.

– Nie martw się, nic się nie stało – zapewniła. – Przyjechaliśmy, żeby zabrać cię do domu. Twoja mama miała coś do zrobienia i poprosiła, żebyśmy ją zastąpili. Zgadzasz się?

Strach zamienił się w zdziwienie:

– N-nie ch-chodzi o cu-cukierek? – zapytał.

Silne emocje pogłębiały jękanie. Teresa miała ochotę go przytulić.

– Był dla ciebie – powiedziała. – Dobrze zrobiłeś, że go sobie wziąłeś.

Diego uśmiechnął się tylko przez moment, ale Teresa nawet nie liczyła na tak wiele.

Podążyła mu ręką, a on ją chwycił.

– Co się stało twojemu przyjacielowi? – zapytała, idąc w stronę samochodu. – Był wyraźnie przygnębiony.

– O-oliver cze-często p-płacze w-w sz-szkole.

– Nie lubi do niej chodzić?

– Wo-woźny ź-źle go t-trakt-tuje.

Teresa stanęła. Spojrzała na Mariniego i zrozumiała, że jego też zdziwiło nieoczekiwane wyznanie chłopca. Dla Diega stan przyjaciela był czymś normalnym, co oznaczało, że takie incydenty musiały się często powtarzać.

– Jak bardzo źle? – zapytała i od razu pożałowała swoich słów, typowych dla dorosłych, obojętnych: co za różnica, czy mniej, czy bardziej źle, skoro dziecko cierpi?

Diego powoli wysunął dłoń z jej ręki: skurczyło się zaufanie, którym ją obdarzył. Nie odpowiedział i Teresa zrozumiała, że już nic więcej nie powie, przynajmniej nie tego dnia.

Nagle z dużą prędkością nadjechał czarny samochód terenowy, który w ostatniej chwili zahamował przed pasami, o mały włos nie potracając matki z córką. Ze środka dobiegały głośna muzyka i śmiechy. Pasażerami, sądząc po twarzach, byli chłopcy, którzy ledwo co skończyli osiemnaście lat. Drzwi i maskę pojazdu oblepili białymi czaszkami. Jakiś przechodzień, który pojawił się ni stąd, ni zowąd, z gardłowym krzykiem rzucił się na auto.

Mężczyzna wyglądał jak stary góral sprzed wieków: spod kaptura wystawała jedynie długa broda. Był wysoki i korpulentny, ale jakby zgięty pod ciężarem ubioru. Dłonie odziane w rękawiczki bez palców waliły w karoserię. Z samochodu wychyliło się dwóch wyrostków, którzy obrzucili mężczyznę obelgami.

– Co on wyprawia? – zapytał Marini.

Nieznajomy wymierzył ostatni, silny cios w auto, po czym odwrócił się i odszedł, torując sobie drogę przez grupkę gapiów.

Teresa podążyła za nim wzrokiem.

– Chcę go sprawdzić – powiedziała. – Zostań z chłopcem.

– Ja?

– Tak, ty.

Ruszyła szybkim krokiem, żeby go nie zgubić. W padającym deszczu ze śniegiem nawet z dużej odległości postać mężczyzny wyglądała jak wielka czarna plama. Był nad wyraz zwinny jak na swoją posturę, a lód na ulicy w ogóle go nie spowalniał. Teresa za to ciągle ślizgała się na gładkiej powierzchni.

Zostawili za plecami centrum Traveni i weszli na drogę prowadzącą do starej stacji kolejowej. Dalej był już tylko las.

Mężczyzna nie zwalniał kroku, a Teresa cały czas zastanawiała się, dokąd on zmierza. Przyspieszyła. Marznący deszcz nasilił się i zaczęły pojawiać się grubsze płatki śniegu. Gdy minęli dworzec, Teresa postanowiła go zawołać.

– Stać! – krzyknęła głośno, żeby przebić się przez podmuchy wiatru.

Zaskoczyło ją, że nieznajomy nie kazał sobie dwa razy powtarzać. Dotąd była pewna, że nawet nie zauważył jej obecności, ale najwyraźniej wiedział o niej cały czas.

Ona też stanęła, nie spuszczając oczu z pleców mężczyzny. Jej serce nagle przyspieszyło.

Nie odwrócił się ani nie poruszył, ręce trzymał spuszczone wzdłuż boków. Czekał. W całej tej sytuacji, w nim samym, było coś niepokojącego

i okrutnego.

Teresa rozpięła kurtkę.

– Proszę się odwrócić – powiedziała. – Słyszał mnie pan?

Mężczyzna skoczył w bok i zaczął biec.

– Hej!

Teresa otrząsnęła się z pierwszego zaskoczenia i ruszyła za nim, walcząc z chęcią sięgnięcia do kabury po pistolet. Widziała, jak przeskakuje przez ogrodzenie i się oddala. Po raz kolejny odniosła wrażenie, że się z nią bawi: mógł ją w każdej chwili zgubić, a zachowywał się tak, jakby tylko na nią czekał. Teresa przeszła pod żerdkami, nie rezygnując z pościgu.

Biegli wzdłuż starej linii kolejowej. Drewniane podkłady pod szynami dawno zniszczyły czas i pogoda. Po obydwu stronach stały opuszczone i zarośnięte kaskadami bluszczu budynki w stylu austro-węgierskim. Natura stopniowo wdzierала się w ludzką przestrzeń, odzyskując ją metr po metrze i zawłaszczając korzeniami i drobną roślinnością. Las zaczynał się kawałek dalej, ale za parę lat i on odbierze sobie to, co wieki temu zostało mu zagrabione.

Nieznajomy odbiegł od torowiska, jednym skokiem pokonał rów i już był z powrotem na drodze do miasteczka.

Teresa zakłęta; brakowało jej sił. Stanęła, dłońmi oparła się o kolana i próbowała złapać oddech. Widziała, jak jej podejrzany się oddala, ale każdy jej staw błagał o litość.

Jesteś stara – mówiło jej ciało.

– Pieprzyć to! – zakłęta.

Wyprostowała się i podbiegła do rowu.

– Stój! Do ciebie mówię! – wrzasnęła, ale nagle dywan z paproci rozstąpił się pod jej ciężarem i obnażył urwisko.

Nawet nie krzyknęła. Pustka, która otworzyła się pod jej stopami, zatkała jej usta. Bezlładnie machała rękami, usiłując chwycić się roślin wokół, ale wszystko sunęło w dół razem z nią. Poczuła przeszywający ból w prawej ręce i oczami wyobraźni ujrziała rozrywające się ciało.

Nagle szarpnięcie zahamowało upadek i odebrało jej dech. Kolejne wciągnęły ją do góry. Teresa na powrót znalazła się na torach. Leżała na kamienistym podłożu, czując pod sobą każdy kant.

Otworzyła oczy i wtedy go zobaczyła. Nieznajomy pochylał się nad nią, ale twarz wciąż miał ukrytą pod kapturem. Długa cienka broda sięgała aż do

brzucha. Mogła być równie dobrze siwa, co płowa. Między jej pasma wplątało się kilka sosnowych igieł.

Teresa spróbowała się podnieść, ale ból w plecach zmusił ją do przewrócenia się na bok. Gdy wreszcie udało jej się usiąść, była już sama. Ślad po nieznanym zaginął. Nie wiedziała, czy wrócił do miasteczka, czy może skrył się w lesie. Była oszołomiona; odgarnęła włosy z twarzy i rozejrzała się. Chyba uderzyła w coś głową. Obmacała się pobieżnie i stwierdziła, że jest cała. Dopiero wtedy przypomniała sobie o bólu i spojrzała na dłoń: krwawiła obficie. Teresa zaklęła, bo nagle poczuła się stara i głupia. Zdjęła szalik i zawinęła nim ranę.

– Chciało ci się bawić w bohaterkę, to dostałaś po tyłku – wymamrotała do siebie.

Oparła się łokciami o kolana. Nie miała sił, by wstać. Zastanowiła się, dlaczego nie posłała za tym człowiekiem Mariniego. Był od niej młodszy, szybszy, silniejszy.

Czyżby bardziej się nadawał do tej roboty?

Teresa nie wyobrażała sobie, że miałyby wydawać rozkazy zza biurka, zamiast stać na pierwszej linii frontu; że miałyby tworzyć teorie i profile, nie sprawdzając ich w terenie. Nie dopuszczała do siebie myśli, że jej ciało nie jest w stanie służyć jej tak, jak by tego chciała. Oto dlaczego nie kazała Mariniemu biec za mężczyzną. Desperacko broniła się przed zadaniem sobie pytania, czy potrafi jeszcze być policjantką.

– Pani komisarz!

Marini nagle wyrósł koło niej, chociaż nie słyszała, by nadbiegał. Przykląkł i objął ją ramieniem.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

Teresa uwolniła się od jego ręki z niezadowoloną miną.

– Co za durne pytanie – odparła. – A jak uważasz?

Widziała, że się waha.

– Chce pani dalej tu siedzieć czy pomóc pani wstać?

– Pomożesz mi, jeśli się zamkniesz.

Teresa otrzepała się z ziemi i wyjęła z włosów zaplątane w nie liście.

– Gdzie Diego? – zapytała. Ze strachem zdała sobie sprawę, że prawie o nim zapomniała. – Mówiłam, że masz z nim czekać.

– Zostawiłem go z nauczycielką.

Teresa zaklęła.

– Nie wykonałeś rozkazu. Zrób tak jeszcze raz, a skończysz w archiwum.
Marini przemilczał jej uwagę.

– Czy to on? Czy ten mężczyzna panią zepchnął? Widziałem, jak biegliście.

Teresa milczała przez chwilę. Nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– Nie, to nie on. Chyba raczej mi pomógł – wyznała w końcu.

– Chyba?

Spiorunowała go wzrokiem.

– Trudno zorientować się w sytuacji, gdy twoja głowa obija się o ziemię.

Marini wstał i wpatrzył się w las.

– Dlaczego uciekł? Może to on jest zabójcą, którego szukamy? – zapytał.

Teresa też się podniosła, ale wolniej i z mniejszym wdziękiem.

Przynajmniej ból w plecach minął.

– W takim razie po co by mi pomagał? Mógł pozwolić, żebym się roztrzaskała – powiedziała, zaglądając w urwisko. – Zabójca, którego szukamy, pozbawiony jest empatii. W takiej sytuacji stałby tylko i patrzył z rozkoszą.

– Czyli jak sądzę, chodzi o zwykłego górala, który nie miał ochoty odpowiadać na pytania.

– Cóż, otoczenie kształtuje ducha mieszkańców, a te góry nie są przyjaznym miejscem. Moje lędźwie coś już o tym wiedzą.

Marini zrobił kilka kroków; wzrok miał wbity w ziemię.

– Nie ma śladów – stwierdził. – Pewnie szedł po nasypie. Każę to zbadać, ale...

Teresa spojrzała na niego.

– Każesz? – zapytała.

Zacisnął powieki; zorientował się, że znowu popełnił gafę.

– Nie chciałem przez to...

– Daruj sobie, Marini.

– Rzecz jasna to pani wydaje rozkazy.

– Rzecz jasna.

– To co robimy?

Teresa otrzepała spodnie.

– Każesz to zbadać, prawda? – odparła, ruszając w stronę drogi. – Wszystko mam ci podpowiadać?

Gdy Diego znów zobaczył ich pod szkołą, pożegnał się z nauczycielką

i podszedł do nich.

– Idziemy? – Teresa zapytała z uśmiechem i wyciągnęła do niego zdrową rękę.

Chłopiec z ciekawością przyjrzał się jej brudnej odzieży, ale o nic nie zapytał i również podał jej dłoń. Wtedy zauważyła na swoim rękawie białą plamę. Przejechała po niej palcem.

– Co to jest? – zapytała Marinięgo.

Wzruszył ramionami.

– Nie mam bladego pojęcia.

– Ku-kupa.

Oboje odwrócili się w stronę chłopca.

– Ma rację – stwierdził Marini, wąchając jasny kleks. – Wygląda mi to na ptasie odchody.

Teresa popatrzyła na Diega i puściła do niego oko.

– Perfekcyjne zakończenie perfekcyjnej pogoni – roześmiała się.

30

Lucia przyzwyczała się do tego, że jest sama. Cisza jej nie przerażała. Tego ranka co innego było powodem do smutku: nie mogła zobaczyć się z przyjaciółmi. Zanim ojciec wyszedł o świcie, rozkazał, że ma wysprzątać i uporządkować dom i pod żadnym pozorem z niego nie wychodzić. Tata nie wróci szybko, może dopiero za dwa dni.

– A gdzie jest mama? – zapytała.

Odparł, że odeszła. Lucia przyjęła to ze spokojem; zdarzało się już, że matka ich zostawiała, ale zawsze potem wracała.

Nie zadała więcej pytań, bo wiedziała, że ojciec się zdenerwuje. Odgadywała, kiedy ma milczeć, po tym, jak na nią patrzył. I tak powoli przemieniała się w małą samowystarczalną kobietkę, która traktowała swój dom jak pałac.

Miniona noc była dziwna. Lucia słyszała, jak po wizycie nieznanego jej ojciec przeszukuje wszystkie szuflady i szafy. Rano wszystkie były pootwierane, a ich zawartość leżała na podłodze. Wiele godzin zajęło jej zbieranie i odkładanie rzeczy na miejsce.

W ten sposób znalazła prezent: leżał pod poduszką, którą jej ojciec wyrzucił na korytarz.

Długo mu się przyglądała, zanim w końcu ośmieliła się go podnieść. Wiedziała, że jest dla niej. Wiedziała, że nieznanomy zostawił go pod drzwiami jej pokoju. Musiał zakraść się tam niepostrzeżenie, gdy jej ojciec jak szalony przetrząsał pozostałe pokoje.

Szmaciana lalka siedziała na ganku i patrzyła na Lucię, gdy dziewczynka sprzątała. Była dziwna i właśnie dlatego przypadła jej do gustu. Jedyna taka lalka na świecie. Ktoś zszył dratwą – grubym, widocznym ścięciem – kawałki juty. Zrobione z końskiej szczeciny włosy miały taki sam zapach jak ten, który zostawił w ich domu nieznanomy: zwierzęcy, kłujący w nozdrza, ale nieodpychający. Był to zapach natury, cyklu życia i śmierci. Dziki, ciepły. Lucia długo się nim napawała, zastanawiając się jednocześnie, czym

zasłużyła na podarunek. Gładziła strój lalki zrobiony ze szmatek i suszonych bławatków: duża i łagodna dłoń – tak ją sobie wyobrażała – przyszyła cienkie niebieskie płatki na spódniczce. Ten sam odcień ujrzała w spojrzeniu nieznajomego, gdy przyglądała mu się zza niedomkniętych drzwi.

Na buzi lalki była tylko para jagodowych oczu. Nic więcej. Jej twórca nie pomyślał o ustach. Nie miała żadnego wyrazu twarzy, dokładnie tak jak on. Może dlatego, że bełkotał. Lucia słyszała go przecież zza drzwi.

Dziewczynka wzięła pisak i domalowała uśmiech w kształcie serca. Gdy patrzyła na swoje dzieło, zapragnęła, żeby także twórca zabawki mógł się tak uśmiechać.

Wiatr zmienił kierunek i podwinął lalce spódniczkę. Do Lucii dotarł powiew, który przyniósł zapach podarunku. Był jak wezwanie.

– Szybko się z tym uwinę – powiedziała dziewczynka – i zaraz się pobawimy.

Zaczęła z mocą szorować deski. Krew wsiąkła w drewno i nawet deszcz ze śniegiem nie zdołały jej zmyć.

31

Za każdym razem gdy Massimo wracał do miasta po dniu spędzonym w Traveni, w otoczeniu dzikiej, majestatycznej przyrody, czuł się dziwnie. Wieczorny, nasilony ruch dezorientował go, a światła reflektorów sprawiały, że czuł się jak oślepienie zwierzę pośrodku drogi.

To wina przemęczenia, wmawiał sobie, masy pracy, która pozwalała tylko na kilka godzin wypoczynku.

Ale takie wyjaśnienie nie do końca go przekonywało. Miał wrażenie, jakby jego ciało odnalazło tam, w górze, nową równowagę i z trudem utrzymywało się w pionie, gdy zjeżdżał do miejskiej codzienności. Przywykł do zawrotnych wysokości i do otwartej przestrzeni, wiatru, który smaga twarz, i ciepła z sypiących iskrami kominków. Piękne, ale i brutalne środowisko, które wstrząsało zmysłami uszpienymi przez udomowione życie.

Massimo wszedł do wynajętego mieszkania, którego nie nazwałby swoim domem, tylko po to, żeby wziąć prysznic i zjeść kanapkę z czymkolwiek, co znalazł w lodówce. Przebrał się w wygodną odzież, włożył sportowe buty i znowu wyszedł. Bibliotekę zamykano dopiero późnym wieczorem. Postanowił skorzystać z okazji i przejść się po centrum, którego nie miał jeszcze sposobności zwiedzić. Choć uliczki wyglądały jak żywcem wzięte z małego, prowincjonalnego miasteczka, nie brakowało tu niczego z prawdziwej metropolii – negatywnych aspektów nie wykluczając. Wszystko było jednak odtworzone jakby w mniejszej skali, i w tej dawce miejskie życie jawiło się całkiem znośnie.

Massimo czuł się samotny, ale wolny. Zimowy wieczór, ze szkieletami drzew na tle nieba, był jak jego życie w tym momencie: ogołoczone ze wszystkiego, co niepotrzebne, sam nagi pień, strażnik limfy gotowej we właściwej chwili wydać nowe pędy. Massimo sam czuł się jak szkielet. Zostawił za sobą wszystko, bezpieczny teren obwarowany rutyną, poczuciem kontroli i samymi pewnikami.

Teresa Battaglia w mig go rozgryzła. Zajrzała w niego tak głęboko jak nikt

dotąd. Świadomość, że wcale nie jest taki skomplikowany, jak myślał, była niemą i nieco deprymująca.

Nie wiedział, dlaczego ciągle o niej myśli. Stała się dla niego kryterium, do którego odnosił każdy zamiar i czyn. Jego udręka, ale równocześnie silnym bodźcem do działania. Od początku widział, jak cały zespół orbituje wokół niej, i wreszcie pojął, co ich tak do niej przyciąga: energia. Ludzie dostrzegali w niej energię i lgnęli do niej. Teresa Battaglia miała tę niezwykłą zaletę, że u jej boku każdy czuł się silniejszy. A Massimo dodatkowo czuł się też przy niej potwornie nie na miejscu.

Powodem jego przechadzki na mrozie była zarówno pani komisarz, jak i poczucie nieadekwatności, które w nim rozbudzała. Massimo zamierzał jakoś zaradzić buzującym w nim sprzecznym emocjom, i to w sposób, który ona sama mu zasugerowała.

Biblioteka mieściła się w szesnastowiecznym budynku pełnym marmurów i śnieżnobiałych stiuków. Wnętrze było ciepłe i pachniało drewnianymi boazeriami. Pośrodku sal ustawiono stoły. Massimo pomyślał, że woń papieru, lekki szmer przewracanych kart i dyskretne oświetlenie to wspaniały środek uśmierający dla duszy.

Chodził między półkami, a w rękę trzymał kartkę, na którą co rusz zerkał.

– Może w czymś panu pomóc?

Odwrócił się i ujrzał przed sobą ładną buzię. Dziewczyna miała przypięty do bluzki identyfikator pracownika biblioteki.

– Myślałem, że łatwiej będzie mi się tu odnaleźć – wyznał.

– Dlatego właśnie tu jestem – odparła. – Mamy ponad milion książek, czasopism i materiałów multimedialnych.

Massimo uznał, że dziewczyna wysławia się jak aktorka w reklamie, ale i tak sprawia wrażenie sympatycznej. Zauważył, że nie nosi ani obrączki, ani pierścionka zaręczynowego.

Uśmiechnął się.

– W takim razie jestem ocalony – odpowiedział i wysilił się na zalotne spojrzenie.

Dziewczyna odwzajemniła je i Massimo bez trudu zrozumiał, że jest nim zainteresowana. On też chyba nią był. Nie znał nikogo w tym mieście. Za rogiem widział miły lokal; może któregoś wieczoru zaprosi ją na drinka po pracy.

– Nie jesteś stąd, prawda? – zapytała dziewczyna. Zdziwienie w jego

oczach wywołało u niej uśmiech. – Akcent – pospieszyła z wyjaśnieniami.

Massimo skrzywił się i przytaknął.

– Bardzo służyć? – zapytał.

Pokręciła głową, a wtedy jej jasne loki zatańczyły wokół ładnie zarysowanych skroni.

– Niezbyt – odparła.

Massimo liczył, że nie zapyta go o dawne życie, bo nie miał ochoty rozmawiać o tym z nieznaną, a przede wszystkim nie chciał, by ktokolwiek go oceniał.

Dziewczyna skinęła na listę, którą ciągle trzymał w ręku.

– Długa – powiedziała. – Chyba nie jesteś studentem, który nie zaliczył sesji? – zapytała prowokacyjnie.

Massimo się roześmiał.

– Nie, nie jestem.

– Czyli chodzi o pracę?

Zawahał się. Czy naprawdę chce jej opowiadać o ofiarach? I może jeszcze o oczach, które gdzieś zaginęły?

– Powiedzmy, że zbieram informacje – odpowiedział.

Zamrugła długimi złotymi rzęsami.

– Aha, czyli zamiłowanie – mruknęła. – Pokaż.

Massimo nie zdążył nic powiedzieć: nim się zorientował, wyjęła mu kartkę z ręki i zaczęła ją studiować.

Na twarzy dziewczyny zastygł uśmiech. Massimo pomyślał, że nawet się sobie nie przedstawili.

– Znajdę tutaj te książki? – zapytał. – Większość tytułów ściągnąłem z sieci i...

Nie dała mu dokończyć ani nie odpowiedziała na pytanie. Zbyła go krótko:

– Usiądź na górze, a ja poszukam i ci je przyniosę – powiedziała.

– Pójdę z tobą, sporo tego będzie – zaproponował Massimo.

Dziewczyna popatrzyła na niego poważnie.

– Nie możesz wypożyczyć wszystkiego. Mamy ograniczenia. Proszę, zajmij miejsce, samej szybciej mi pójdzie.

Massimo wiedział, skąd ta nagła niechęć: *Zabijam gołymi rękoma, Cielesne fetysze, Smak krwi...* To było tylko kilka z tytułów wypisanych na jego liście.

– Nie zamierzam nikogo zabijać – zapewnił, ale ona już zniknęła między

półkami.

Nagle poczuł się nieswojo. Dziewczyna nic dla niego nie znaczyła, a mimo to ubodła go jej otwarta niechęć. Wystarczyło wymienić kilka podręczników z psychologii kryminalnej i psychopatologii sądowej, żeby stwierdziła, że nie jest typem godnym zaufania. Pewnie uznała go za groźnego.

Myśli Massima znowu poszybowały w stronę pani komisarz. Wiedział, że na nią też nikt w domu nie czeka. Ciekawe, czy ciąży jej ta samotność, czy, jak on, szuka przychylnego spojrzenia w tłumie, z którym codziennie ma do czynienia.

Jedno było pewne: nie przestawała walczyć, bez względu na to, z czym toczyła sekretny bój, który tak rozpałał jej oczy.

Massimo zerknął na korytarz. Po młodej bibliotekarce ślad zaginął. Może rzeczywiście z ponurą miną biegła za książkami, o które prosił.

Nagle przyszło mu do głowy, że chyba szukał towarzystwa nie tam, gdzie trzeba. W mieście jest już kobieta, która przyciąga jego uwagę i bez wątpienia nie przeraża jej jego zainteresowania. Ale przecież nie może pojawić się u niej bez podarunku, bez ofiary dla niszczycielskiej bogini, która uciszy gniew i zaskarbi mu jej przychylność.

Ten pomysł wywołał na jego twarzy uśmiech. Spojrzał na zegarek; może ogród botaniczny będzie jeszcze otwarty.

32

Ten rodzaj przędzy był błyszczący i wytrzymały, zrobiony z materiału, którego nigdy nie spotkał w lesie. Mieszkańcy miasteczka używali jej do łowienia. Początkowo, gdy ich obserwował, myślał, że to cud – nagle ryby wyskakiwały z wody i wiły się jak zawieszony w powietrzu. Potem zobaczył, że coś połyskuje w słońcu, i wtedy zrozumiał, że to przędza pozbawiona barwy, jak powietrze w jasne dni.

Zwilżył końcówkę między wargami, żeby łatwo przeszła przez dziurkę, i pociągnął. Związane kości zabręczały. Tak szerniały ze starości, że przypominały kawałki suchego drewna. Wyczyścił je z brudu i wygładził ślady po szczurzych zębach. Na długo o nich zapomniał, ale cisza, jaka zapanowała zimą, rozbudziła w nim potrzebę, by jakoś zaradzić samotności.

Czasami czuł się jak lis. Wtedy myślał, że potrzebuje partnerki albo stada. Miał wiele wspólnego z tym rudym i zwinnym zwierzęciem: potrafił przystosować się nawet do najbardziej ekstremalnych warunków i przetrwał tak już wiele zim. Nie był bojaźliwy, lecz czujny. Podchodził blisko ludzi i często śledził ich w poszukiwaniu jedzenia, gdy w lesie go brakowało.

Bywało jednak, że uważał siebie za rysia – wolnego samotnika. Ten kot został obdarzony niezwykle ostrymi pazurami i był w stanie zadrapać drzewo, po którym bez trudu się wspinał.

Spojrzał na swoje ręce. Jego paznokcie wyrastały ze skóry stwardniałej do tego stopnia, że przypominała korę. Były długie i twarde. Codziennie ostrzył je osełką, jak wieśniacy ostrzą kosy na polach złoconych przez letnie słońce.

Jego dłonie od niepamiętnych czasów nie ścisnęły innych dłoni.

Pogłaskał kości związane zgodnie z ich pierwotnym ułożeniem. Pod opuszkami jego palców zdawały się jedwabiste i pachniały suchą ziemią. Trzymał je w swojej ręce i czuł się tak, jakby znowu pieścił to, co kiedyś było dłonią.

33

– Kolejna próba, żeby mnie udobruchać?

Teresa Battaglia wpatrywała się w kubek z kawą, który Massimo właśnie postawił na jej biurku. Massimo nie spieszył się tym razem. Powoli docierało do niego, że pani komisarz lubi szczebrać, ale nigdy nikogo tak naprawdę nie ugryzła.

– A mam jakieś szanse? – zapytał.

Rzuciła torbę na podłogę i wepchnęła ją nogą pod stół. Eufemizmem byłoby stwierdzenie, że całkowicie brakowało jej wdzięku.

– Żadnych – odparła. – Z cukrem?

– Nie wolno pani.

– Można wiedzieć, czego ty, kurwa, ode mnie chcesz?

Massimo czuł się urażony jej doborem słownictwa.

– Nie potrafi pani sformułować pytania bez...

– Cholera! Poplamiałam się. W takim razie: czego chcesz? – przerwała mu, szukając chusteczek. Massimo podał jej od razu całą paczkę. Pani komisarz popatrzyła na niego, a potem wyrwała mu je z rąk.

– Czy ty nie masz życia towarzyskiego? – zapytała.

– Skąd takie przypuszczenie?

– Bo usługujesz starej babie. Pamiętaj, że to nie ja tutaj rozdaję awanse.

Massimo wiedział już, co powiedzieć. Zrozumiał, czego przełożona od niego oczekuje: bezpośredniego starcia, próby nerwów, która rozładuje napięcie. Począł, aż dokończy kawę.

– Zastanawiałem się, dlaczego opracowała pani profil seryjnego zabójcy, skoro mamy tylko jedno morderstwo – rzucił. – Nie od razu połączyłem te fakty.

Teresa wyglądała na zaskoczoną. Po raz pierwszy spojrzała na niego z uwagą, a nie jak na kretyna. Oparła się wygodnie na krześle.

– Widzę, że sięgnąłeś do literatury – mruknęła, szukając w szufladzie cukierków. Rzuciła mu jednego.

– Czyż nie tego pani chciała? – odpowiedział pytaniem na pytanie, łapiąc zawiniątko w locie.

Teresa się roześmiała.

– Ja niczego nie chcę. Sama potrafię rozwiązać sprawę. To była tylko dobra rada.

Marini pomyślał, że nie ma już dla niej nadziei; nie potrafi być miła nawet przez kilka sekund.

– A ja jej posłuchałem. Odpowie mi pani? – naciskał.

Machnęła ręką.

– Rytualność. Okaleczenia. Inscenizacja. Mam mówić dalej? Wygląda mi to na... początek.

– Początek czego?

Jej spojrzenie mówiło, że to przecież oczywiste.

– Serii – odparła.

Massimo usiadł naprzeciwko.

– Uważa pani, że będzie dalej zabijał?

Widział, że się waha. Może zastanawiała się, czy jest godzien jej zaufania.

– Tak, spodziewam się tego – odpowiedziała w końcu. – Dlatego w nocy nie mogę zmrużyć oka i podskakuję na każdy dźwięk telefonu. Bo to w końcu się stanie.

Massimo spodziewał się takiej odpowiedzi, a mimo to zabrzmiała groźnie.

– To co my tu jeszcze robimy? – zapytał.

– A gdzie zamierzasz iść? Na obławę, żeby przetrzepać dwadzieścia tysięcy hektarów dzikiego lasu? Chcesz przeszukać setki domów i przesłuchać jakieś tysiąc osób? Bo właśnie z tym musielibyśmy się zmierzyć.

Massimo poczuł się jak głupiec.

– Nie uda nam się zapobiec kolejnemu morderstwu – odparł tylko.

– Może się uda, jeśli popełni błąd.

– A popełni?

– Pytasz mnie, jakbym miała szklaną kulę i mogła to przewidzieć.

– Pytam, na ile jest przebiegły.

Pokręciła głową.

– Nie jest przebiegły, tylko okrutny. Chociaż czy to jakaś różnica? Sama nie wiem. Bo czy wilk, który pożera swoją ofiarę, jest przebiegły czy po prostu jest sobą?

Massimowi przypomniała się rozmowa, którą odbyli w lesie za domem Kravinów.

– Twierdzi pani, że on już taki jest i niczego nie zmienimy – zaryzykował. – To źle rokuje, bardzo źle.

Uśmiechnęła się. Wyglądała na zmęczoną, a może była zwyczajnie znudzona paplaniną niezbyt rozgarniętego neofity.

– Może oni widzą świat lepiej od nas – powiedziała szeptem. – Widzą piekło, które mamy pod nogami, podczas gdy my podziwiamy kwiaty, które nad nim rosną. Przejycia pozbawiły ich danego nam wszystkim filtra. Oczywiście nie twierdzą, że wolno im zabijać. Nie usprawiedliwiam ich.

– W takim razie co chce pani powiedzieć?

– Że w dalekiej przeszłości spotkało ich cierpienie, które sprawiło, że stali się tacy, a nie inni. Nie wolno nam o tym zapominać.

Teresa po raz pierwszy wyznała mu coś osobistego; coś, co pozwoliło mu jak przez mgłę spojrzeć na jej doświadczenia. Massimo uchwycił się liny, którą rzuciła mu ze swego świata, pewny, że ona zaraz tego pożałuje i zabierze ją z powrotem.

– Nie wolno pani zapominać? W jakim sensie? – zapytał, chociaż obawiał się, że brnie już za daleko. Nie potrafił się jednak opanować.

Teresa była zamyślona.

– Bo ja, tak jak oni, widzę to, co pod kwiatami. Widzę piekło – mruknęła.

Słowa przebrzmiały w ciszy. Za plecami policjantów na ścianie tykał zegar, jakby oznajmiał, że czas na zwierzenia dobiegł końca.

Massimo zrozumiał, że nadeszła pora, by wręczyć podarunek. Wyjął go z kieszeni i położył na biurku.

Widział, jak Teresa marszczy brwi, a potem bierze okulary i przysuwa twarz do gałązki o twardych lancetowatych liściach i czerwonych jagodach.

– W Japonii mówią na tę roślinę *nan-ten*, czyli święty bambus. Używany jest w buddyjskich świątyniach podczas uroczystości. U nas zwie się nandiną domową. To roślina zimozielona, często uprawiana w ogrodach.

Pani komisarz spojrzała na Massima.

– A zatem nie rośnie w lesie.

Przytaknął, odgadując jej myśli.

– Czy kukły pochodzą z któregoś z ogrodów w Traveni – przyznał Massimo. – Jeśli odkryjemy z którego, być może dowiemy się, którądy chodził zabójca.

– I kogo obserwował – kontynuowała Teresa. – Kogo pragnął.

34

Lucia nie lubiła sprzeniewierzać się poleceniom, ale było coś, co jeszcze bardziej ją męczyło: rozłąka z przyjaciółmi.

Otrzymała potajemny sygnał, żeby dołączyć do nich nad potokiem: dwa dzwonki telefonu, potem przerwa i jeszcze jeden dzwonek. Sygnał zarezerwowany dla sytuacji wyjątkowych.

Ubrała się i wyszła, nie myśląc zbyt o tym, co będzie, jeśli ojciec wróci do domu i jej nie zastanie. Tuż za drzwiami pochłonął ją bajkowy i nieco straszny pejzaż: mgła była tak gęsta, że zmieniła świat nie do poznania. Wdzierała się do ust i sklejała je wilgotnym posmakiem. Lucia pomyślała, że nawet jeśli ktoś ukrywa się w tej bieli, ona go nie zauważy, dopóki nie poczuje jego oddechu na twarzy.

Dziewczynka szybkim krokiem dotarła do centrum Traveni. Ulice były puste, ledwo widziała światła w oknach. Pogoda nie sprzyjała turystycznym eskapadom, a mieszkańcy woleli siedzieć w ciepłe czterech ścian. Ruszyła dalej wzdłuż głównej drogi, która przecinała miasteczko, aż do placu z kościołem parafialnym i średniowieczną wieżą. To stąd rycerze odparli tureckie oblężenie. Gdy nauczycielka im o tym opowiedziała, Mathias zapytał, czy w ziemi leżą jeszcze pogrzebane kości poległych. Klasa się roześmiała, a nauczycielka odparła, że taka ciekawość jest perwersyjna. Lucia nie wiedziała, co to znaczy, musiała zapytać Diega. Mathias zwierzył się później, że jego ojciec też z odrazą patrzy na jego zainteresowanie dla żywych i martwych ciał i że któregoś razu nazwał go psychopatą, czyli kimś, kogo umysł nie działa tak, jak powinien. Ale według Lucii Mathias nie był na nic chory.

Teraz jednak myśl, że pod jej stopami znajdują się resztki po dawnej bitwie, przeraziła ją.

Przyspieszyła kroku i skręciła w ulicę, która z centrum prowadziła prosto nad bliźniacze jeziora Flais, a potem do granicy. Zatrzymała się na rozdrożu, w pobliżu dworca. Gdzieś we mgle musiała być ścieżka prowadząca do

pomnika austro-węgierskiego grenadiera.

Żeby na nią trafić, Lucia musiała wsłuchać się w odgłos własnych kroków. Gdy usłyszała skrzypienie żwiru pod butami, ruszyła pod górę. Im wyżej się pięła, tym bardziej mgła się przersedzała. W końcu z bieli wyłonił się gigantyczny posąg. Po drugiej stronie cyplu rozpoczynał się las, a ścieżka zbiegała do wąwozu.

Pośród siwych oparów Lucia dostrzegła szalik w nieokreślonym kolorze, owinięty wokół szyi grenadiera, i w jednej chwili uleciał z niej cały niepokój. Ostatnie metry pokonała biegiem i z palącym gardłem dotarła na górę. Świat u jej stóp przypominał teraz białą chmurę.

Kształty wokół dziewczynki stały się bardziej wyraziste. Jeden z nich się poruszył i sfrunął na ramię grenadiera. Pozostałe trwały w bezruchu na skraju królestwa szarości i mgieł, niczym otaczający dziewczynkę krąg strażników.

I wtedy w powietrzu coś zastukało, jakby garść kamyków rzucona na żwir, po czym znowu zapadła cisza.

Lucia nie była sama. Odwróciła się i wbiła wzrok w dym, który cały czas zmieniał formę i konsystencję. Stukanie powróciło, tym razem głośniejsze i zaledwie kilka kroków od niej, by zaraz znowu ucichnąć. Dochodziło od strony posągu.

To były zęby. Uderzające o siebie zęby.

Lucia przyjrzała się pomnikowi i nagle dostrzegła jakąś postać skuloną u jego podstaw.

– Mamo! – zakrzyknęła, podbiegając do niej. Kobieta leżała na ziemi, brudna i wychudzona, jakby przepadła kilka tygodni temu, a nie wczoraj. Była zupełnie zimna i pachniała jakoś inaczej. Dziewczynka przycupnęła przy niej i przytuliła się.

– Mamo? – powtórzyła, ale matka milczała. Tylko jej zęby stukały o siebie.

Lucia odgarnęła jej włosy z twarzy i nagle otworzyła usta w niemym krzyku. Głos uwiązał dziewczynce w gardle.

Kilka metrów niżej, w wąwozie, jej przyjaciele też krzyknęli, ale Lucia nie miała czasu zastanawiać się dlaczego.

35

Placówka medyczna w Traveni była otoczona wozami policyjnymi. Teresa i Marini otrzymali telefon od Hugona Knaussa chwilę po tym, jak przyjechali do miasteczka. Policjant powiadomił ich o odnalezieniu poranionej na twarzy kobiety w stanie ciężkiego szoku.

Ofiarą agresji była matka Lucii Kraviny. Ojca nie udało się namierzyć. To córka znalazła kobietę.

Przywieziono ją tu karetką, ale ze względu na charakter ran lekarz dyżurny postanowił wezwać śmigłowiec i przetransportować ofiarę do większego miasta. Właśnie czekali na przylot.

– Kobieta wyszła z domu dzień wcześniej, ale nikt nie złożył zawiadomienia – wyjaśnił Knauss Teresie. – W przeszłości rodzina była pod opieką ośrodka pomocy społecznej ze względu na problemy z narkotykami. Wygląda na to, że udało się ich z tego wyciągnąć. Przynajmniej kobietę.

– Co z dziewczynką? – zapytała Teresa.

– Zajmuje się nią doktor Ian.

Teresa przypomniała sobie starego lekarza. Poczowała ulgę na myśl, że to on zatroszczył się o małą.

– Czy matka coś wam powiedziała?

– Nic. Gdy ją widziałem, była w stanie katatonicznym i wcale mnie to nie dziwi. Przeżyła piekło i patrzyła w oczy samemu diabłu. Chryste.

Teresa musiała się z nim zgodzić.

– Tak, Melania Kravina widziała twarz diabła – przyznała. – Właśnie dlatego musimy z nią porozmawiać. Tylko ona może pomóc w stworzeniu portretu pamięciowego.

Knauss podrapał się pod czapkę. Nietrudno było się domyślić, że nie chce podejmować tego tematu w obawie, że Teresa naprawdę zameczy ofiarę.

– Dostała silne środki odurzające – wymamrotał. – Lekarz, który ją opatrzył, powiedział, że po przetransportowaniu do szpitala zostanie wprowadzona w śpiączkę farmakologiczną. Na wiele dni, a może nawet

tygodni. Mamy tyle czasu?

Nie, nie mieli.

Hałas nadlatującego śmigłowca stał się ogłuszający. Plac oświetlono silnymi reflektorami, które wyłoniły z ciemności wirujące spirale mgły. Teresa spojrzała w stronę wyprowadzanych z budynku noszy. Całą twarz Melanii Kraviny pokrywał opatrunek, z którego sterczał podłączony do ust respirator. Widziała, jak kobieta znika w helikopterze i jak maszyna unosi się w powietrze, zanim jeszcze zasunięto drzwi.

Wtedy zauważyła, że Marini jej się przygląda.

– Wiedziała pani, że to się powtórzy – powiedział.

To nie było pytanie. Tak, Teresa wiedziała i czuła się winna.

– Jest tu sporo nieścisłości – odparła. – Od początku postępował jak seryjny zabójca, ale ją zostawił przy życiu. Dlaczego?

– Może mu uciekła.

Spojrzała na niego, żeby sprawdzić, czy naprawdę w to wierzy.

– Odgryzł jej nos i uszy – powiedziała szeptem, żeby nie usłyszeli jej gapie, którzy zdążyli już zebrać się przed przychodnią. – Takiemu zwierzęciu nie da się uciec. Działa z rozmysłem, a mimo to zostawia ślady. Atakuje jak bestia, ale ciało pierwszej ofiary ułożył z wielką dbałością. Tym razem tego nie zrobił. Roberto Valent był czterdziestotrzyletnim mężczyzną, ale matka Lucii ma tylko dwadzieścia pięć lat. Seryjni zabójcy wybierają ofiary według ściśle określonych fantazji, dlatego zawsze coś je łączy. Tutaj jednak nie widzę żadnego *modus operandi*. Albo go nie ma, albo jest tak głęboko ukryty, że nie mogę go dostrzec. Tak jakby kierował nim przypadek, choć przecież tak nie jest. Nie może być.

– Dlaczego nie? Ze względu na statystyki?

Teresa wyczuła sarkazm w głosie Mariniego, była jednak tak zmęczona, że odparła mu obojętnie:

– Bo podświadomość chodzi wytyczonymi ścieżkami.

– A jeśli tym razem jest inaczej? Jeśli mamy do czynienia z umysłem, który różni się od innych?

Teresa słuchała go w zamyśleniu.

– Byłby to nieludzki umysł, inspektorze. Gdybyśmy tylko znaleźli jakiś wspólny mianownik, szablon...

– Kradnie zmysły.

– Co proszę?

– Wzrok. Węch. Słuch. To zabrał ofiarom.

Teresa wyglądała na zaskoczoną. Nie dostrzegła tego powiązania. Zastanowiła się, czy teoria Mariniego może wyjaśnić ostatnie wydarzenia w Traveni; czy potwór – jak już dziennikarze i mieszkańcy nazwali zabójcę – szuka tego, czego nie ma, czyli zdolności *odczuwania*.

Ta hipoteza wydała jej się przerażająca: pośród domów krąży istota zdolna wypracować złożony plan morderstwa w jednym konkretnym celu. Jeśli naprawdę tak jest, to zabójca nie zatrzyma się, dopóki go nie osiągnie.

Wzrok. Węch. Słuch. Wyrwał je i zabrał ze sobą. Co chce z nimi zrobić? Po co mu organy zmysłów?

Znowu popatrzyła na Mariniego.

– Wreszcie twoja intuicja wydała na świat coś przyzwoitego – odparła.

Massimo wytrzeszczył oczy.

– Intuicja? Zgrabna dedukcja, jeśli już.

Jego uwaga nawet nie dotarła do Teresy, bo umysł pani komisarz opracowywał już gorliwie nowe elementy układanki, żeby złożyć z nich spójny obraz.

– Zmysły. Części twarzy. Identyfikacja? – zapytała bardziej siebie niż Mariniego.

– Myślę, że „złodziej zmysłów” bardziej pasuje do naszego przypadku – odpowiedział urażony.

– Według psychoanalizy identyfikacja to prymitywna forma przywiązania emocjonalnego. Pierwotna miłość – wyjaśniła Teresa.

Marini roześmiał się gorzko.

– Czyli on kocha ofiary i dlatego je pożera – stwierdził.

– Nie kocha. Nie tak to działa. On czegoś pragnie. Identyfikacja zawsze jest dwubiegunowa, zorientowana zarówno na czułość, jak i na chęć likwidacji.

– Nie nadążam za panią.

– Jako przykład podam oralną fazę libido u dzieci. Zdaniem Freuda maluchy przyswajają sobie upragniony przedmiot, wkładając go do ust i tym samym go likwidując.

Podszedł do nich Knauss i przerwał wywód.

– Doktor Ian twierdzi, że możemy porozmawiać z dziewczynką.

Lucia była wyraźnie nieufna wobec policjantów. Potrzebowała czasu,

a Teresa chciała go jej poświęcić. Nie zamierzała od razu zasypywać małej pytaniami, żeby jej nie przestraszyć, bo wtedy dziewczynka z pewnością całkiem zamknęłaby się w sobie.

Trzymała Lucię na kolanach tak długo, aż jej ciało przestało drżeć. Dopiero wtedy odwróciła jej buzię w swoją stronę.

– Nie martw się. Ze mną możesz być szczera, to będzie nasza tajemnica – zapewniła ją. Wiedziała, że Lucia boi się zdradzić ojca.

– Przyrzeknij!

Teresa nawet się nie zawahała.

– Przyrzekam – powiedziała z ręką na sercu.

Wtedy Lucia opowiedziała o nieznanym, który minionej nocy zadzwonił do drzwi, o krwi, która rano pojawiła się na werandzie, i o tym, jak jej ojciec wyrzucił dom do góry nogami.

Teresa miała nadzieję, że dziewczynka nigdy się nie dowie, że krew należała do jej matki. Podejrzewała, że mężczyzna kazał córce dokładnie posprzątać dom, żeby zatrzeć ślady po czymś, co nie dawało mu spokoju.

– Jak myślisz, kto mógłby chcieć skrzywdzić twoją mamę? – zapytała w końcu.

Lucia nie miała wątpliwości.

– Duch, który mieszka w lesie – odparła.

– Aha, duch. Rozmawiałaś z nim kiedyś?

Dziewczynka pokręciła głową.

– Obserwuje mnie, ale nigdy nie podchodzi. Może nie chce rozmawiać, bo nie umie. Ale wczoraj w nocy przyszedł do domu. Bo to on zadzwonił do drzwi.

Coś aż drgnęło Teresie w środku.

– Duch, który obserwuje cię z lasu, to ten sam nieznanomy, który przyszedł wczoraj do domu? – upewniła się.

Dziewczynka przytaknęła.

– Jak wygląda? – zapytała. – Możesz go opisać?

– Ma czaszkę zamiast głowy.

36

Nowe zwierzę pędem przemierzało las, rycząc okrutnie. Miało czarne błyszczące ubarwienie, a na bokach – czaszkę i skrzyżowane piszczele. Łamało gałęzie i drobne krzewy, wyrывało kamienie z ziemi. Zniszczone gniazda spadały na ziemię przy akompaniamencie przerażonego trzepotu skrzydeł. Z wnętrza bestii dochodziły wrzaski i kakofonia dźwięków.

Samochód terenowy jak szalony pruć naprzód po ledwo widocznych ścieżkach. Przedzierał się przez ciasne przesmyki, buchając dymem z rury wydechowej. Pokonując płyciznę, skruszył lód, wznosząc fontanny wody. Jechał przez zarośla, co jakiś czas mijając ślady ludzkiej działalności: polany z powalonymi drzewami i wyrwanymi krzakami, na których wypoczywały maszyny do robót ziemnych. Przypominały uśpione metalowe słonie. Na spustoszonej wycinką terenie powoli wyrastała nowa stacja narciarska.

Czworo upojonych alkoholem i dziką ekscytacją młodzieńców wydzierało się wniebogłosy i piło piwo.

– Szybciej! – wrzasnął jeden z nich przez otwartą szybę i wymierzył zaciśniętą pięść w niebo.

Czuł się jak gniewny i niszczycielski bóg, silny, bo młody. Taki, który gardzi wszelkimi ograniczeniami i za nic ma piękno.

Samochód wściekle ruszył pod górę, ślizgając się i warcząc. Gdy koła wyrwały mech i złapały przyczepność, terenówka skoczyła i wylądowała na leśnej drodze.

Młodzieńcy zarechotali i wyrzucili zgniecione puszki po piwie przez okno. Ten za kierownicą wrzucił niższy bieg i silnik zwiększył obroty. Droga pięła się serpentynami, które pokonywali z szaleńczą prędkością.

Za jednym z zakrętów jakaś przeszkoda sprawiła, że wpadli w poślizg i wylecieli z trasy. Młodzieńcy wrzasnęli. Samochód uderzył w zbocze, obrócił się o dziewięćdziesiąt stopni i stanął. Silnik zgasł.

Zapadła cisza przerywana przyspieszonymi oddechami.

– Co to, kurwa, było? – zapytał jeden z chłopaków, szarpiąc jednocześnie

za drzwi. Karoseria wygięła się i musiał porządnie naprzeć barkiem, żeby je wyważyć. Wyturlał się na drogę, ale był tak pijany, że ledwo stanął. Przez rozerwane dzinsy sączyła się krew.

Reszta śmiała się, tylko jeden z nich milczał.

– Ojciec mnie zabije – wybełkotał i otworzył kolejną puszkę piwa.

– Muszę się wyszczać – oznajmił jego kolega.

Ktoś stał na drodze i ich obserwował. Minęła dłuższa chwila, zanim dostrzegli w oddali ciemną nieruchomą postać, potężną nawet w otoczeniu imponującej natury. Przypomnieli sobie, co widzieli chwilę przed zderzeniem: mężczyznę z wyciągniętymi w ich stronę rękami, najwyraźniej próbującego ich zatrzymać. Tak jakby dało się zatrzymać pociąg w biegu.

Miał na sobie kapotę jak ze starych fotografii. Twarz, ukryta za materiałem, którym owinięta była cała głowa, wyglądała jak ciemna plama pozbawiona żywego, ludzkiego spojrzenia.

Ci chłopcy, którzy zostali w samochodzie, zdołali zapalić silnik i teraz trąbili na nieznajomego, krzycząc, żeby się odsunął. Ten tylko zakrył sobie uszy, jakby nagły hałas zadał mu ból.

Chłopak na drodze roześmiał się.

– Ktoś ty, kurwa? – zapytał, plując w jego stronę. – Ej, mówię do ciebie! – Podszedł do postaci i spróbował wymierzyć kopniaka.

Mężczyzna złapał go za szyję i ścisnął. Chłopak zachwiał się i uchwycił ogromnej, twardej i bezlitosnej dłoni. Ledwo docierały do niego wrzaski kolegów. Ręka, która go uwięziła, była silna, podobnie palce zaciskające się na jego gardle, które mocno napierały na skórę i odcinały drogę powietrzu.

Materiał zakrywający nieznajomemu twarz przesunął się odrobinę, ale to wystarczyło, żeby zdradzić jego sekret.

Chłopak zatopił wzrok w trupim obliczu. Powieki były pomalowane na czarno, a reszta skóry – na biało. *Tak wyglądają oczy wojownika* – pomyślał i przestał stawiać opór. To były złe, hipnotyzujące oczy. Nastolatek wyciągnął rękę w stronę obcej twarzy, dotknął jej i wtedy zdał sobie sprawę, że to nie halucynacje. Mężczyzna otworzył usta, obnażając silne, szerokie zęby jak u bestii, i ryknął wściekle.

Łzy pociekły ofierze po policzkach. Wiedział, że zaraz umrze, że ten człowiek, który trzyma go tak, jakby był tylko kruchą gałązką, chce go zabić.

Ale zamiast tego nieznajomy zwolnił ucisk na gardle i puścił go wolno. Pchnął jak szmacianą lalkę, ale nie zrobił mu krzywdy.

Wreszcie mógł odetchnąć. Kaszląc, z załzawionymi oczami, spojrzał jeszcze raz na obcego. Zobaczył, że ten uważnie przygląda się jego twarzy. Jakby dostrzegł w niej coś, co kazało mu zmienić pierwotny zamiar. Coś, co go poruszyło.

37

Samochód Melanii Kraviny stał zaparkowany w zatoczce przy drodze biegnącej od jezior Flais w dół, do Traveni. Droga wyglądała jak asfaltowy wąz wijący się w księżycowym krajobrazie. Ta naturalna kotlina między miasteczkiem a Alpami była jednym z miejsc, gdzie odnotowywano najniższe temperatury. Lodowe kryształki pokrywały całą naturę, tę martwą i tę ożywioną.

Zanim zaginęła, kobieta odwiozła jeszcze do domu koleżankę z pracy. Nocne opady śniegu całkowicie pokryły auto.

Technicy właśnie kończyli pobieranie próbek, ale ich przełożony już zapowiedział Teresie, że nie znaleziono odcisków palców. Ani jednego. Oznaczało to tylko jedno: że ktoś wymył samochód.

– Mąż? – zapytał Marini.

Teresa pokiwała głową, wypatrując wzrokiem śladów, które zamazał śnieg.

– Wywrócił dom do góry nogami, a potem kazał córce posprzątać – powiedziała. – Sam wyszedł, żeby zrobić to samo z autem. Wiedział, gdzie je znaleźć, ponieważ znał drogę, którą żona wieczorem odwozi koleżankę. Coś musiało go bardzo zaniepokoić.

– Jakaś tajemnica.

Śnieg na poboczu pełen był różnorodnych zwierzęcych śladów. Ptaki, drapieżniki, kopytne... Las pulsował jak żywy organizm, gdy nikt na niego nie patrzył. Każda forma istnienia odciskała na nim swoją obecność.

Na asfalcie, pod wydrapanym przez techników lodem, widoczny był czarny tor hamowania.

– Tutaj złapał ją zabójca – mruknęła Teresa, mając przed oczyma całą scenę. – Wyszedł z ciemności. Ona zahamowała, żeby w niego nie wjechać, i skończyła w zatoczce. W ten sposób zdobywa ofiary. Żadnego uwodzenia.

Marini przykucnął, żeby przyjrzeć się śladom opon.

– Uwodzenia?

– W grze, którą seryjny zabójca prowadzi z ofiarą, zawsze istnieje jakiś powtarzający się schemat – wyjaśniła Teresa. – Na początku jest etap przebudzenia, wtedy kiler stopniowo wycofuje się ze świata rzeczywistego i zanurza w coraz wyraźniejsze, bardziej określone fantazje, które wcześniej czy później skłonią go do działania. Etap orientacji to początek polowania na ofiarę: zabójca już ją zobaczył i zapragnął ją mieć. Trzeci etap to właśnie *uwodzenie*, czyli zbliżanie się do ofiary. Ale w tym przypadku go nie ma. Sprawca przeszedł bezpośrednio do kolejnego, czyli pojmania i agresji. Ostatni etap to zbieranie trofeów. Zabójca stara się maksymalnie wydłużyć odczuwaną przyjemność.

– W jaki sposób? – zapytał inspektor, podnosząc się i stukając obcasami w lód, żeby go skruszyć.

– Fotografuje ciało. Albo je rozczłonkowuje. Czasem mumifikuje... Zbiera trofea, bo kiedy przeminie złudzenie dostarczone przez fantazje, zda sobie sprawę, że wszystko jest jak dawniej, a wtedy poczucie wszechmocy zastąpią frustracja i brak satysfakcji. To błędne koło. Będzie musiał znowu zabić, żeby uciszyć wewnętrzną udrękę.

– Ale on nie zabił Melanii Kraviny – zauważył Marini. – Technicznie nie jest jeszcze seryjnym zabójcą.

Teresa uśmiechnęła się.

– Mylisz się. Jest. Chociaż dopiero się uczy.

Jeden z techników zawołał zza drzew o pomoc. Teresa i Marini pobiegli w jego stronę.

Przez chwilę cała trójka stała w milczeniu. Krew zafarbowała śnieg i zmrożoną kałużę. To tutaj ktoś odgryzł Melanii części twarzy.

De Carli podszedł do Teresy.

– Pani komisarz, otrzymaliśmy telefon z Traveni. Grupa młodych mężczyzn zgłosiła się na pogotowie, ktoś na nich napadł. Są w szoku.

Przez całą drogę Teresa nie powiedziała ani słowa. Coś na podobieństwo strachu związało jej usta. Strachu, że nie zdążą na czas, jeśli zabójca postanowi znowu zabić. A z pewnością zrobi to raz jeszcze, tylko nie wiadomo kiedy.

Czworo wyrostków wyszło prawie bez szwanku z wypadku spowodowanego przez, jak go określili, „szaleńca”. Jeden z nich, ten, który został zaatakowany, stwierdził, że o włos uniknął śmierci. Nieznajomy chwycił go za szyję i zaczął dusić, potem jednak z niewiadomego powodu puścił wolno. Chłopak został przyjęty na oddział ze względu na odniesione rany. Miał na imię David i był synem Hugona Knaussa.

Teresa od razu chciała przesłuchać jego kolegów. Siedzieli w poczekalni pod baczny okiem sierżanta Knaussa.

Podeszła do niego i powiedziała:

– Bardzo mi przykro. Jak się ma pański syn?

Mężczyzna podziękował skinieniem.

– Cierpi, bo doznał szoku – odparł.

Teresa zauważyła, że uśmiech znikł mu z twarzy. Zastanawiała się, czy oprócz troski czuje też wstyd: on był szefem miejscowej policji, a jego syn – lokalnym rozrabiaką.

– Jeśli chce pan być przy nim... – zaproponowała.

– Wolę szukać sprawcy, pani komisarz.

Teresa pokiwała głową i odwróciła się do chłopców. Dopiero wkraczali w dorosły świat. Byli przerażeni. Z twardzieli zamienili się w ofiary. Pomyślała, że to dla nich nowe, wstrząsające doświadczenie. Przyjrzała się ich twarzom. Dzisiejsze przeżycia nadały im dziecięcy wyraz, rozszerzyły źrenice i ściągnęły kąciki ust w dół. Ale w ich oczach było w coś jeszcze, co nie od razu zdołała zdefiniować. Coś, co nie paraliżowało – jak strach – lecz wprawiało chłopców w nerwowość, odbierało ich ruchom koordynację, sprawiało, że wyginali palce i nieustannie zerkali jeden na drugiego. Starali

się scalić grupę.

Zastanowiła się, co może być silniejsze od przerażenia. Odpowiedź przyszła od razu: poczucie winy. Sama cierpiała na to w przeszłości.

Przypomniała sobie, że widziała ich przed szkołą Diega, w terenówce, która o mało co nie potrafiła dziewczynki. Wtedy udawali chojraków, teraz wyglądali jak zatrwożone dzieci.

– Jestem komisarz Battaglia – przedstawiła się – a to moi współpracownicy.

Młodzieńcy popatrzyli na nią błagalnie. Teresa domyśliła się, skąd u nich tak wielki niepokój: cały dzień pili i wyniki badania krwi na obecność alkoholu były pozytywne.

Mimo to sprawiali wrażenie trzeźwych. Najwyraźniej strach przegnał resztki upojenia.

Przeczytała ich zeznania, złożone, gdy byli jeszcze w szoku. Nie zamierzała marnować czasu na pytania, na które już znała odpowiedzi. Przebieg wydarzeń był oczywisty, a oględziny terenu wszystko zweryfikują. Chciała dowiedzieć się tylko jednej rzeczy. Niecierpliwość aż podniosła jej tętno.

– Twarz. Jak wygląda jego twarz? – zapytała z oczami wbitymi w śmierzdzącą lękami i alkoholem grupę.

Młodzieńcy mieli niepewne miny. Ich oświadczenia były sprzeczne, ale Teresa nie zamierzała wyjść z pokoju, nie uzyskawszy jednoznacznej odpowiedzi. Mogła ich podzielić i przesłuchać pojedynczo; uważała jednak, że to nic nie da. Oni muszą być razem, bo w pojedynkę nie poradzą sobie z napięciem.

Przesłuchiwanie świadka to sztuka, która wymaga samokontroli. Nie należy niczego sugerować i oddalać się w ten sposób od prawdy. Teresa czekała cierpliwie, aż któryś z nich odważy się zabrać głos. Obok niej Marini aż trząsnął się z napięcia. Gdyby mógł, podszedłby do chłopaków, chwycił ich za fraki i potrzasał nimi tak długo, aż wydobyłby z nich informacje.

– Ja go nie widziałem – odezwał się w końcu jeden z chłopaków. Miał cienki głos, a na zębach nosił aparat, który gryzł się ze skórzaną kurtką i wyszytym na niej demonicznym obliczem.

– Miał zasłoniętą twarz – wyjaśnił drugi, zachęcony przez śmiałość kolegi.

– W jaki sposób? – zapytała Teresa.

Chłopak zatoczył ręką wokół głowy.

– Owinął się jakimś jasnym materiałem. Jego końcówka opadała na plecy.

– Może to był bandaż?

– Nie. Wyglądał jak...

– Turban – odpowiedział pierwszy.

– Skąd, jaki turban – wtrącił się trzeci. – Owinął sobie głowę szalikiem.

Tylko oczy było widać – wyjaśnił, obrazując wszystko gestami.

Koledzy przytaknęli.

– Jesteście pewni? – zapytała Teresa.

– Tak – odpowiedzieli chórem.

Opis pasował do *tagelmust*, tradycyjnego okrycia głowy Tuaregów – długiego bawełnianego szala owiniętego tak, by została tylko szpara na oczy.

– Ale w pewnej chwili usta też były odkryte – dodał chłopak z aparatem na zębach. – I wyglądał tak... Tak jakby chciał ugryźć Davida. Przysięgam!

Młodzieniec rozpłakał się, ale żaden z kolegów nie pospieszył z pocieszeniem. Tylko sierżant Knauss położył mu rękę na ramieniu i przyciągnął do siebie.

Teresa zastanawiała się nad opisem i nad portretem, który się z niego wyłaniał; próbowała zinterpretować surowe jeszcze detale. Mężczyzna z zakrytą twarzą ubrany w kapotę sięgającą łydek. Stopy w grubych skarpetach i wysokich butach. Wiek nieokreślony.

Nie wiedziała, co myśleć. W jej głowie pojawiła się postać nieznanego, którego goniła po starym torowisku. Nie miała jednak pewności, że to ten sam człowiek, i nawet ona nie była w stanie dokładnie go opisać. Być może zawiniły okoliczności, a może to umysł ją zawodził.

– Czy taki portret pasuje do kogoś z Traveni? – zapytała Knaussa bardziej z przyzwyczajenia niż w nadziei, że otrzyma pozytywną odpowiedź.

Policjant pokręcił głową.

– Nie, nikogo takiego nie spotkałem.

– Na pewno?

– Wzrok mi jeszcze dopisuje, pani komisarz.

– Nie pański wzrok budzi moje wątpliwości.

Knauss nerwowo wypuścił powietrze z płuc, jakby chciał wydmuchać nagromadzone w nich napięcie.

– Mój syn leży w szpitalu – odparł. – To chyba wystarczająca gwarancja, że będę współpracował.

Teresa nie była taka pewna, ale nie powiedziała tego głośno.

– W porządku. – Skinęła głową na Mariniego. – Przesłuchamy pana syna.

David leżał na łóżku; jedną nogę umieszczono mu na wyciągu. Obok stał doktor Ian, który zakładał mu opatrunek. Uśmiechnął się na widok Battaglii i Mariniego.

– Co z nim? – zapytała Teresa.

– Kilka szwów i środek znieczulający. Za parę godzin odeślę go do domu.

Ian dokończył bandażowanie, przymocował zapinkę i pożegnał się skinieniem głowy.

Teresa podeszła do chłopaka. Głowę miał odwróconą do okna i ani razu nie spojrzał na przybyszy.

– Jestem...

– Wiem, kim jesteś – przerwał. – Całe miasteczko wie.

Przysunęła sobie krzesło i usiadła przy łóżku. Marini stał w drzwiach.

– Boli? – zapytała.

– Co? Noga? Nie.

Chłopak miał krwiaki na szyi, ale nie one były powodem jego cierpienia.

– Niełatwo uciec przed śmiercią i zachować nietknięte wnętrze – powiedziała. – Coś zawsze pęka.

W końcu na nią popatrzył.

– A co ty o tym wiesz?

Teresa miała świadomość, że Marini stoi za jej plecami. Odwróciła się do niego i skinęła, żeby wyszedł. Odpowiedział spojrzeniem, w którym dało się wyczytać rozczarowanie, a może rozdrażnienie. Rozumiała jego reakcję, ale nie miała ani czasu, ani ochoty bawić się w wyjaśnienia, że w ich pracy trzeba wiedzieć, kiedy się ulotnić. Poczekała, aż zamknie za sobą drzwi, po czym znowu skupiła całą uwagę na Davidzie.

– No, powiedz. Co ty o tym wiesz? – chłopak powtórzył pytanie. Wyczuł, że pani komisarz nosi w sobie ranę. Nie zamierzał jej odpuścić.

Teresa usiadła na łóżku. Materac ugiął się pod ciężarem jej ciała i zmniejszył dystans między nimi. Ręka chłopaka dotykała jej nogi, ale pani komisarz się nie odsunęła. On też nie.

– Dawno temu ja również zajrzałam śmierci w oczy – wyznała. – Wiem, jak to jest.

David przyjrzał się jej badawczo.

– Wypadek?

Teresa ściągnęła usta i pokręciła głową.

– Ten wypadek miał bardzo silne ręce i nogi – odparła. – Potrafił przywalić.

– Kto? Ktoś, kogo chciałaś aresztować?

– Mój mąż.

Chłopak patrzył uważnie. Wyglądał na zaskoczonego, a może po prostu jej nie wierzył.

Teresa zastanowiła się, czy będzie skłonny jej zaufać.

– Jak to się skończyło? – zapytał szeptem.

Teresa się uśmiechnęła.

– Bardzo źle, ale przeżyłam – odpowiedziała.

Spuścił wzrok.

– To, jak się teraz czujesz, ma też pozytywną stronę – zaryzykowała. – Pozwala zobaczyć wszystko w rzeczywistym wymiarze.

– Jakie „wszystko”?

– Radości i smutki.

David wrócił do oglądania śniegu za oknem.

– Doktor Ian powiedział, że miałem szczęście – dodał – ale ja tak nie uważam. To nie było szczęście.

– Więc co to było?

Chłopak milczał.

– Co to było, Davidzie?

– On tak zdecydował. To nie był przypadek. Żyję, bo on mnie oszczędził. Widziałem w jego oczach, że umrę, a potem nagle coś się stało.

– Co?

Wzruszył ramionami. Teresa czuła narastające w nim napięcie, które wypełniało już cały pokój.

– Rozpłakałem się – wymamrotał. – Zacząłem ryczeć, a wtedy on pozwolił mi żyć.

Teresa nie spodziewała się takiego wyznania.

– Skąd masz pewność, że właśnie dlatego cię oszczędził? – zapytała.

– Bo wpatrywał się w moją twarz, patrzył na łzy i... I nagle zmienił swój zamiar, coś w nim jakby pękło, dlatego żyję.

Teresa nie wiedziała, co o tym myśleć, ale jednego była pewna: David głęboko wierzył w to, co mówił.

Położyła mu na brzuchu raport z zeznań kolegów.

– Zgadza się? – zapytała. Nikt nie mógł tego lepiej ocenić. Patrzyła, jak czyta z uwagą, a potem odwraca wzrok.

– Tak.

– Jest coś, co mógłbyś do tego dodać?

– Ma niebieskie oczy... A może zielone... Boże, nie pamiętam! – Chłopak schował twarz w rękach. – Patrzyłem na niego, a mimo to nie potrafię sobie przypomnieć!

Wyglądał na skołowanego. Teresa poklepała go po dłoni.

– Nie przejmuj się – uspokoiła. – To z powodu wstrząsu. Byłeś zszokowany. Jak myślisz, ile może mieć lat?

– Trzydzieści, może czterdzieści. Miał pomalowaną twarz.

– Pamiętasz coś jeszcze? To ważne. Tylko ty oglądałeś go z tak bliska.

– Nie, nie tylko ja. Ty też go widziałaś – odparł. – Przed szkołą. Był inaczej ubrany, ale jestem pewien, że to on.

Teresa pomyślała o góralu, który rzucił się na terenówkę i walił pięściami w karoserię. I o pościgu w lesie. Czyli jednak to był on.

Teraz już rozumiała, skąd wzięła się plama na kurtce. Mężczyzna malował twarz odchodami.

– To tylko środek, a nie cel – mruknęła do siebie. – On chce wyglądać jak kościotrup.

39

Szperacze załąły las światłem niczym nienaturalny, przedwczesny świt. W powietrzu, w którym wirowały pojedyncze płatki śniegu, rozległy się trele jakiegoś ptaka.

Na drodze widoczne były jeszcze ślady kół samochodu terenowego. Odłamki szkła z rozbitych reflektorów dokładnie wskazywały miejsce, w którym auto zderzyło się ze skałą.

Odciski butów potwierdziły relację młodzieńców. Wystarczyły pobieżne oględziny, by stwierdzić, że te należące do nieznanego pasowały do śladów zostawionych na miejscu zabójstwa Valenta.

– Może to ten sam człowiek – odezwał się Marini.

Teresa nie miała co do tego wątpliwości. Za taśmami rozciągniętymi wokół miejsca zdarzenia zauważyła komendanta i zastępcę prokuratora, Gardiniego. Przywitała się skinieniem głowy.

– Chłopcy go wystraszyli. Dlaczego? – zastanawiała się na głos.

– Uderzył na nich w gniewie, bo sam został zaatakowany – stwierdził Marini.

Teresa uważała inaczej. Z zeznań nastolatków wynikało, że nieznamy wyciągnął ręce tak, jakby chciał powstrzymać auto. On coś chronił.

– Nie. Zaatakował w obronie, bo czuł się zagrożony – odparła.

– Czy to możliwe, żeby mieszkał w lesie?

– A jak ci się wydaje?

– Nie. Nie w całkowitym odosobnieniu.

– Chcę zobaczyć mapy geodezyjne wszystkich chat pasterskich w okolicy. Może ma w nich swoje bazy.

Tuż przed ich oczami przez górską drogę przebiegło stado kozic w zwinnych i szybkich podskokach. Ktoś z zespołu aż krzyknął z zadziwienia. Był to fascynujący, ale zarazem złowrogi widok, bo zachowanie zwierząt odbiegało od naturalnego.

– Coś je przeraziło i zmusiło do zejścia w dolinę – Knauss głośno wyraził

to, co inni pomyśleli.

Teresa wpatrzyła się w czerń między drzewami.

– On tu jest. Obserwuje nas. Znowu – mruknęła.

Po raz kolejny skrywały go las i ciemności. W tych warunkach nie dało się ruszyć w pościg.

– Kto wie, gdzie będzie jutro.

Traveni posiadało tylko jeden pub, „Pod Śpiącym Niedźwiedziem”, który zajmował parter w średniowiecznym budynku tuż przy głównym placu. Do lokalu o grubych murach i łukowym sklepieniu, pokrytego nierówną warstwą tynku, schodziło się po kilku stopniach wyciętych ze skalnych bloków. Ściany z kamienia były dziedzictwem wiejskiej przeszłości budynku. Małe kwadratowe okna, umieszczone prawie pod sufitem, ozdobiono witrażami o żywych barwach. Po widocznych pęcherzykach powietrza Teresa wywnioskowała, że albo są stare, albo zgrabnie stylizowane. Pomyślała, że pewnie nawet w środku dnia światło słoneczne wpada do wnętrza tylko pod postacią jaskrawej tęczy. Nad sosnowym barem wisiła kolekcja kufli o różnych kształtach i wymiarach. Z kąta klientom przyglądał się diabeł o ogromnych zakrzywionych rogach i żółtych, złych oczach. Miał czarną grzywę i ostre kły.

Teresa utkwiała w nim wzrok. Siedziała na niewygodnym krześle, sącząc nieśpiesznie piwo i od czasu do czasu chrupiąc bez przekonania orzeszki z ustawionej przed nią miseczki. De Carli i Parisi grali w bilard, a Marini tylko przyglądał im się ze swojego stołka. Pozostali chłopcy z zespołu, których ściągnięto z miasta do pomocy, zajmowali aż dwa stoły i jako jedyni byli w stanie cokolwiek zjeść. Nad miasteczkiem tej nocy mieli czuwać Hugo Knauss i jego ludzie.

Lokal był w połowie pusty. Teresa wiedziała, że to po części jej wina, a sądząc po spojrzeniach, które karczmarz rzucał w jej stronę zza baru, on musiał myśleć podobnie. Teresa hardo stawiała mu czoła i za każdym razem wychodziła zwycięsko z ich wzrokowego starcia. Nie rozumiała, dlaczego jeszcze sobie nie odpuścił.

Wzmógł się gwar zapowiadając przybycie nowych klientów. Grupa czterech mężczyzn podeszła do Teresy. Jeden z nich miał szczególnie bojową minę, która rozdrażniła panią komisarz. Znała tego człowieka, spotkała go już przy innych okazjach i domyślała się powodu jego niezadowolenia.

– Dobry wieczór, burmistrzu – przywitała się, gdy stanął przed jej stolikiem.

– Seryjny zabójca? – prychnął mężczyzna, nawet nie odpowiedziawszy na powitanie. – Czy wie pani, co to oznacza dla miasteczka? Bankructwo.

Cały aż trząśł się ze złości. Teresa nie dała niczego po sobie poznać. Rozumiała jego obawy, ale komunikat prasowy wydany przez komendanta za jej radą miał na uwadze przede wszystkim bezpieczeństwo publiczne.

– Ani razu nie padło takie sformułowanie – odparła. – Nie możemy jednak ukrywać, że sytuacja jest niebezpieczna.

Burmistrz oparł ręce na stole i groźnie przechylił się w jej stronę.

– Chce pani wiedzieć, co jest *naprawdę* niebezpieczne? – zapytał, pąsowy na twarzy. – Obcy, który mówi nam, czego mamy się bać!

Teresa przeniosła wzrok z piwa na mężczyznę.

– Ten obcy to niby ja? – zapytała, choć dobrze znała odpowiedź. Dla ludzi z doliny reszta świata, zamieszкана wyłącznie przez nieudaczników i pozbawionych skrupułów oszustów, pełna była zagrożeń. Ich mała ojczyzna była ucieleśnieniem doskonałości, którą należało chronić nawet kosztem czyjegoś życia. Z tym że na tafli tej perfekcji pojawiły się pęknięcia, i jak zauważyła Teresa, dało się przez nie dostrzec drugie, bynajmniej nie dobrotliwe oblicze.

– Traveni nie potrzebuje ani was, ani waszych nauk o tym, jak mamy żyć – wysyczał mężczyzna. – Przetrwaliśmy całe wieki bez pomocy miasta. I dalej damy sobie bez niej radę.

Teresa sięgnęła po orzeszek i włożyła go sobie do ust. Miał gorzki smak, ale może to była wina żółci, która podeszła jej do gardła.

– Wiecie, jak przetrwać? – powtórzyła za nim. – Niech pan to powie wdowie po Valencie, bo jej mąż najwyraźniej nie posiadał takiej umiejętności.

Burmistrz zaklął i wściekłym ruchem ręki zmiotł ze stołu wszystko, co na nim stało. Kufel roztrzaskał się o podłogę, rozpryskując wokół piwo i pianę, a orzeszki potoczyły się pod ławy.

Teresa skoczyła na równe nogi i jednym spojrzeniem odwiodła swoich ludzi od działania.

– Niech się pan więcej na to nie waży – wyartykułowała dobitnie. – Jeszcze jeden taki wyskok, a nie będę pobłażliwa. Czy wyraziłam się jasno?

Coś w jej głosie, a może w twarzy, dało mężczyźnie do zrozumienia, że lepiej ustąpić. Teresa potrafiła być o wiele bardziej surowa, niż ludzie mogli

przypuszczać. A najbardziej nie znosiła przemocy.

Mężczyzna opanował się, choć jego oddech nadal był przyspieszony.

Koledzy, którzy z nim przyszli, przytrzymali go za ramiona i zaczęli szeptać, że pora już iść.

– Sezon narciarski dopiero się zaczął, zbliżają się święta Bożego Narodzenia – wysyczał.– Zniszczony wizerunek naszej miejscowości to puste hotele i wyludnione stoki.

Najwyraźniej starał się usprawiedliwić swój wybuch. Wycofywał się. Teresa pozwoliła mu się wygadać.

– Do piątego grudnia już blisko, a tego wieczoru w Traveni obchodzimy noc Świętego Mikołaja. Z gór zejda przebrani za diabły statysci. To ważne święto, na które zjeżdżają setki turystów. Ale niech mi pani powie, na co komu parady, jeśli nikt się na nich nie pojawi?

Teresa cierpliwie słuchała. Niepokój burmistrza był uzasadniony, ale śledczym zależało przede wszystkim na bezpieczeństwie mieszkańców. Właśnie dlatego chcieli zniechęcić ciekawskich turystów.

– W biały dzień zabito człowieka, i to na jednym z bardziej uczęszczanych szlaków – odparła. – Ofiara była silna, a mimo to nie zdołała się obronić. Nie miała nawet na to czasu. Zabójca palcami wydłubał jej oczy, których zresztą do teraz nie znaleźliśmy. Napadnięto także kobietę wracającą po pracy do domu. Ona również nie ma już części twarzy.

W lokalu zapadła cisza.

– Czy wie pan, co to znaczy? – mówiła dalej. – Że napastnik ją zjadł, a może włożył sobie części jej ciała do kieszeni i poniósł nie wiadomo gdzie. To miejsce ma już swojego diabła, na dodatek z krwi i kości. Pytam więc, panie burmistrzu, czy to miasteczko woli z nami współpracować, czy czekać na kolejne nieszczęście?

Wzrok burmistrza i trójki towarzyszy przeniósł się na piekielną maskę wiszącą przy dystrybutorze piwa. Innymi już oczami spojrzeli na jego żarłoczny grymas.

– Nikt nie zamierzał wam przeszkadzać – odparł pierwszy obywatel.

Teresa pokręciła głową.

– Na wszystkich patrzycie jak na intruzów, nawet na nas, choć jesteśmy tu po to, żeby znaleźć sprawcę. Zamykacie się na innych, bo myślicie, że to was ocali, ale wy tylko skazujecie się na zagładę.

Burmistrz nic nie odpowiedział. Wyszedł z kolegami bez słowa, już nie

tylko wściekły, lecz także wystraszony.

Teresa usiadła pośród szkła i rozsypanych orzeszków. Karczmarz ze spuszczonej oczami pospieszył, by wytrzeć stół i podłogę. Chwilę później kelnerka przyniosła pełny po brzegi kufel piwa i z zażenowaniem oznajmiła, że to na koszt firmy.

Stopniowo znowu zaczął się podnosić szmer głosów, ale już nie tak głośny jak wcześniej. Teresa wypła łyk. W tym momencie dostrzegła mężczyznę siedzącego z drugiej strony lokalu. Doktor Ian podniósł kufel, wznosząc toast, a Teresa odpowiedziała mu tym samym. Lekarz wstał, wziął swój kapelusz i piwo i przysiadł się do niej.

– Czy mogę? – zapytał.

– Jasne.

Doktor usiadł.

– Proszę się nie obrażać – powiedział. – Burmistrz to dobry człowiek, chociaż jego zachowanie bywa kontrowersyjne. W tych stronach brak turystów oznacza dla wielu rodzin problem z dotraniem do pierwszego. Tutaj nie ma innych możliwości zarobku.

– Doktorze, nie lubię straszyć ludzi ani szerzyć paniki, ale tym razem nie dało się inaczej. Często od strachu zależy, czy ktoś umrze, czy będzie żył. To uczucie bywa zbawienne.

– Oczywiście. Rodzi się w najbardziej prymitywnej części naszego mózgu, gady też ją posiadają. Miliony lat ewolucji, a ośrodek strachu nadal w nas siedzi, w małym kawałku ciała o kształcie migdała – powiedział, pukając się w głowę. – Najwyraźniej Bóg uznał go za fundamentalny dla naszego jestestwa, skoro postanowił niczego w nim nie zmieniać.

Teresa uśmiechnęła się. Rozbawił ją fakt, że człowiek nauki w kwestiach anatomii odwołuje się do Boga, a nie do ewolucji.

– Jeszcze kilka dekad temu miasteczko pozostawało w całkowitej izolacji, a ludzie przyzwyczaili się do tego, że muszą o wszystko walczyć, nawet o codzienny ciepły posiłek – opowiedział lekarz. – Mieszkali tu przede wszystkim drwale, którzy żyli dzięki drzewom i łowiectwu, ale chłopcy też się zdarzali. Nierzadko bywało, że podczas surowej zimy kobiety traciły ciężce albo porzucały przed klasztorem noworodki zbyt słabe, żeby przeżyć. To były inne czasy, smutne. Na szczęście teraz to tylko wspomnienie, ale mimo wszystko myślę, że głód został wpisany w DNA mieszkańców tych ziem.

– Nie przypuszczałam, że sytuacja była tutaj aż tak dramatyczna –

przyznała Teresa.

– Była. Skomunikowanie regionu pomogło pokonać biedę, a turystyka poprawiła warunki życia wielu ludzi. Ale nie wszyscy godzą się na zmiany.

– Ma pan na myśli grupę aktywistów, którzy bojkotują nową stację narciarską?

Doktor przytaknął.

– Zmiany nigdy nie są łatwe – odparł.

Teresa obracała w dłoniach kufel.

– A jeśli chodzi o dzieci – powiedziała – chciałabym zapytać pana o jedną rzecz.

– Słucham.

– Czy Robert Valent, pierwsza ofiara, był ojcem raczej chłodnym w uczuciach?

Ian zmarszczył brwi.

– Nie, absolutnie – odpowiedział szybko. – Skąd takie podejrzenie? Natrafiła pani na coś?

Teresa pokręciła głową. Nie wiedziała, dlaczego go o to zapytała.

– To tylko przypuszczenie, doktorze. Bez znaczenia dla śledztwa. Na nic nie natrafiłam. Próbuję tylko lepiej wyobrazić sobie, kim był Valent.

– Roberto był szanowanym fachowcem i wzorowym mężem. Nigdy nie widziałem, żeby czas wolny spędzał bez żony. A jeśli chodzi o relacje z synem, uważam, że były doskonałe. Diego to wspaniały chłopiec.

Teresa zaczynała rozumieć, na czym bazują opinie doktora Iana. Raczej nie na jego osobistych przekonaniach.

– Wspaniały – powtórzyła, kiwając głową. – Taki, jak chciał tatuś.

– Wie pani, że Roberto był też wolontariuszem?

Teresa zignorowała tę informację. Zapytała za to, czy ktoś w miasteczku przejawia oznaki zaburzeń psychicznych, które nasiliły się w ostatnich miesiącach. Ian zaprzeczył.

– Pani komisarz, izolacja może zachwiać umysłem, ale zabić kogoś to całkiem inna rzecz. Byłem przy porodach prawie wszystkich mieszkańców i jestem pewien, że żaden z nich nie byłby w stanie dopuścić się czegoś takiego.

Teresa spojrzała na krzyż, który miał na szyi. Nie powiedziała mu, że zabójcy to też dzieci jego Boga, tak samo jak święci, i mogą przyjść na świat wszędzie, nawet w Traveni.

41

– Nawet się nie waż – rzucił Parisi w stronę Mariniego, nie patrząc na niego, i kontynuował partyjkę bilardu z De Carlim. Wygrywał bez większego wysiłku, ale kolega nie zamierzał tak łatwo oddać zwycięstwa i co jakiś czas również zdobywał punkt.

Massimo zastanowił się, skąd Parisi wie, co zamierzał zrobić. Policjant wyczuł jego wątpliwości.

– Sama sobie poradzi – powiedział z uśmiechem. – Jeśli do niej podejdziesz, tylko ją wkurzysz.

– A ona i tak się wkurza o byle co – podkreślił De Carli, szukając właściwej pozycji dla kija. Źle wyliczył i chybił.

Massimo popatrzył na Battaglię. Właśnie wyszła ze starcia z burmistrzem, które przyciągnęło uwagę wszystkich gości pubu. Żałował, że nie dał temu facetowi do zrozumienia, że pani komisarz nie jest zdana sama na siebie.

– Nawet nie drgnąłem – odparł. – Jak odgadłeś?

Parisi wzruszył ramionami. Właśnie wbił do luzu kolejne bile.

– Bo nie jesteś pierwszy. Wszyscy przez to przechodziliśmy, ale ona nauczyła nas, że nie tego potrzebuje. – Spojrzał na Mariniego. – Jeśli my będziemy ją traktować jak słabą istotę, czego się spodziewać po tych, którzy jej nie znają?

– Kobiecie nie jest łatwo – przyznał De Carli. – Musi bez ustanku udowadniać, że nie jest na skraju załamania i potrafi utrzymać wszystkich w ryzach.

Massimo wypił łyk piwa.

– Z mojej strony nie musi się obawiać lekceważenia – odparł. – Jeździ po mnie codziennie jak po łysej kobyle.

Parisi wybuchł śmiechem.

– Od razu widać, że jesteś jej ulubieńcem. Dwa lata jej zajęło, zanim w końcu zapamiętała moje nazwisko.

– Pewnie dlatego, że on przynosi jej ciastka – zakpił De Carli.

Massimo skrzywił się.

– Przecież to kobieta – rzucił. – One lubią prezenty.

– Nie! – zakrzyknął Parisi. – Właśnie tego nie wolno ci robić. Nie patrz na nią jak na kobietę, bo ona odbierze to jako przejaw dyskryminacji. Rozumiesz?

Marini był już i tak wystarczająco skołowany wszystkim, co dotyczyło komisarz Battaglii.

– Jeszcze nigdy nikt mnie nie uznał za mizogina z powodu miłego gestu – zaprotestował.

Koledzy spojrzeli po sobie i roześmiali się.

– Ona jest twoim komisarzem – wyjaśnił De Carli. – A komisarz to istota wyższa, bezpłciowa, która może bardzo skomplikować ci życie. Nawiasem mówiąc, chętnie by to zrobiła.

– Zauważyłem. Nie ma rodziny?

Twarze kolegów nagle spowaźniały, jakby coś ich zmieszało.

– Kiedyś miała – odpowiedział De Carli, ale Parisi spiorunował go wzrokiem.

Massimo nie rozumiał, skąd ta powściągliwość.

– To wszystko? – zapytał.

Parisi wbił kolejną bilę.

– Kiepsko się to dla niej skończyło – mruknął De Carli. – Nie dopytuj się.

– Dlaczego? – Massimo był coraz bardziej zdziwiony. – Czy to jakieś tabu? Jej związek chyba nie rozpadł się bez powodu, więc może powinna rozważyć sposób, w jaki traktuje innych.

Parisi odłożył kij na stół.

– Komisarz Battaglia ma rodzinę. My nią jesteśmy.

– Chociaż nigdy jej tego nie powiemy, pójdziemy za nią choćby w ogień – dodał De Carli.

Takie wyznanie zrobiło duże wrażenie na Massimie. Spojrzał na panią komisarz, zastanawiając się, w jaki sposób zaskarbiła sobie tak wielką lojalność wśród podwładnych? Wyglądała, jakby w ogóle nie była świadoma wzbudzonej przez siebie reakcji. A może po prostu jej to nie interesowało. Mariniemu jednak wydawała się samotna. I to go najbardziej dziwiło, bo czuł, że jej samotność nie jest stanem, któremu się poddała, lecz który uparcie podtrzymywała, a Parisi i De Carli stali na straży jej tajemnicy. Właśnie dali mu do zrozumienia, że nie powinien zadawać więcej pytań. On

jednak nie mógł przestać się zastanawiać, co stało się z jej rodziną. Abstrahując od kąśliwych uwag i nieznośnego charakteru, dostrzegał w niej niezwykle współczucie i wrażliwość: tę ludzką stronę jej osobowości ujrzął po raz pierwszy, gdy przejęła się Diegiem Valentem, i dostrzegał za każdym razem, gdy miała do czynienia z ofiarą – jak z tym chłopakiem, którego przesłuchiwała w szpitalu. Tak wielka empatia musiała być dla niej źródłem cierpienia.

Parisi położył mu rękę na ramieniu.

– Jeszcze jedno piwo? – zapytał z uśmiechem.

Marini skinął głową.

– Kiedyś zrozumiesz – odezwał się De Carli, znowu skoncentrowany na bilardzie.

– Co? – zapytał Massimo.

– Dlaczego tak bardzo nam na niej zależy. Tobie też będzie zależeć.

Późnopołudniowe słońce ogrzewało powykrzywiane bale chaty pasterskiej i wyzwalało woń starego drewna – mieszaninę miodu i siana. Poruszana lekkimi podmuchami wiatru puszcza mieniła się głęboką zielenią. Między źdźbłami traw krzątały się świetliste punkciki: pracowite owady i mikroskopijne pyłki. Śpiew ptaków, przetykany melodią wygrywaną przez świerszcze, rozlegał się od wschodu do zachodu słońca.

Chłopczyk uczył się świata przez szparę w ścianie. Powstała w wyniku zmian temperatur: wysokich w gorące lata i niskich w surowe zimy. Małe palce przesmykiwały się przez szczelinę między balami i tańczyły, wolne, w powietrzu. Leśne zwierzęta nauczyły się je rozpoznawać i nie czuły już strachu. Podchodziły czasami, by je polizać albo przytulić się do nich futrem. Chłopiec szukał tego drżącego kontaktu, by czuć bicie serca tak podobnego do własnego. Gdy stało się to po raz pierwszy, dwie wiosny temu, był bardzo zaskoczony. Napał z mocą na ścianę, żeby wyciągnąć ramię przez szparę najdalej, jak się dało. Jedną dłoń na piersi sarny, a drugą na jego własnej, by czuć życie. Słyszał, jak pulsuje wraz z nocą, przy akompaniamencie pohukiwania sów i szumu potoku. Stał tak, patrząc w niebo, podczas gdy zwierzę po drugiej stronie ściany spokojnie skubało trawę.

Znał ruch gwiazd i księżycy, geografie świata ponad głową, przemijanie czasu i pór roku, koleje życia i śmierci w lesie.

Przez szparę widział, jak zwierzęta rodzą się i jak zasypiają na zawsze, rozkładają i stapiają z ziemią. Obserwował, jak samice wybierają samców, i rozmyślał, skąd on wziął się na świecie.

Zwinał sznurek między palcami, zrobił węzeł i przełożył przez dziurę. Przyłożył ucho do bali i wsłuchiwał się w delikatny tupot jaszczurek, które przychodziły, żeby ogrzać się w słońcu. Trzeba było czasu, żeby trafić na odpowiedni moment, ale on miał go bardzo dużo, a od lisa nauczył się

cierpliwości. W końcu pociągnął za sznurek i pętla zacisnęła się wokół gibkiego ciała. Przeciągnął je przez szparę. Zwierzątko wiło się w jego rękach, lekkie jak piórko. Ścisnął je delikatnie i wyciągnął dłonie w stronę najciemniejszego kąta w pomieszczeniu.

Istota, która od jakiegoś czasu dotrzymywała mu towarzystwa, kryła się zawsze tam, gdzie słońce nie docierało. Świat zewnętrzny przerażał ją, choć nie było ku temu powodu. On ją ochroni, tak jak matki chronią swoje młode.

Zawołał ją cicho, ale nie wyszła z kryjówki. Rzucił w jej stronę kilka kawałków jedzenia, ale nawet to nie nakłoniło jej do opuszczenia ciemności.

Wtedy postawił jaszczurkę na ziemi i pozwolił jej biegać tam i z powrotem. Coś wreszcie zaszeleściło.

Z ciemności wysunęła się mała rączka.

Teresa otrzymała pozwolenie od komendanta, by przenieść swój zespół na posterunek policji w Traveni. Koordynowanie śledztwa bezpośrednio z miasteczka miało zaoszczędzić i czas, i środki. Ale prawdziwy powód tego zabiegu był całkiem inny: Teresa czuła, że wkrótce znowu coś się wydarzy. Była pewna, że śmierć jeszcze nie odpuściła tej miejscinie.

Przewietrzyła pokój i przygotowała łóżko. Sierżant Knauss zatroszczył się o pościel dla wszystkich. Wzięła ciepły prysznic, wstrzyknęła sobie insulinę i włożyła do szafki kilka niezbędnych przedmiotów, które zabrała z domu.

Za oknem, na dziedzińcu, latarnie oświetlały najbardziej obfite opady śniegu, jakie Teresa miała okazję oglądać w ciągu kilku ostatnich lat. Długo wpatrywała się w lecące z nieba grube płatki, próbując odszukać w sobie spokój, jakiego od dawna nie doświadczała. Przypomniały jej się zimy z czasów dzieciństwa, domy zasypane po dach miękkimi pierzynami śniegu uformowanymi przez wiatr na kształt fal, jazdy saneczkami, wojny na śnieżki i lekki dotyk kryształków lodu, które opadały na wzniesioną do nieba buzię.

Przez ostatnie godziny wielokrotnie zastanawiała się nad tym, czy powinna prowadzić tę sprawę. Czuła, że nie może wyciskać siódmych potów ze swojego organizmu, choć tego właśnie wymagało śledztwo. Wiedziała, że ciało zachowa posłuszeństwo mimo wszystko: mimo nierozsądnych żądań, zachwianych wyników krwi, zmęczenia i strachu. Pomimo obolałych mięśni, zimna, ciepła, braku snu. Ale nie chciała więcej stawiać siebie przed takimi wyzwaniem. Niestety ta decyzja nie należała tylko do Teresy. W jej uszach ani na chwilę nie milkło wołanie ofiar, które nasilało się szczególnie w nocy. Ich głosy nie pozwolą jej odpocząć, dopóki winny nie zostanie znaleziony, a krąg śmierci – zamknięty.

Niczym wycieńczona heroina, Teresa opuściła kurtynę na swoje wspomnienia i potrzeby. Czuła się jak wojownik, który podnosi broń i wstaje. Z torby wyciągnęła notatnik. Kupiła go rano, był jeszcze zapakowany. Zerwała folię zabezpieczającą, otworzyła zeszyt i dotknęła

czystych stronic.

Musiła przeorganizować swój dzień, być jeszcze bardziej metodyczna i czujna. Zamierzała spisać najważniejsze chwile ze swojego życia, i to jeszcze tej nocy. Zacznie od przeszłości, żeby któregoś dnia dotrzeć do przyszłości: chciała utrwalić nawet marzenia, których jeszcze nie udało jej się zrealizować, ambicje, plany oraz wszystko, na co jeszcze w życiu było miejsce, bez względu na to, ile czasu jej zostało. To było również wyzwanie dla jej pamięci, sprawdzian, czy w nadchodzących dniach nie umknie jej coś z tego, co się wydarzy. Nie zamierzała poddać się myśli, że jest chora.

Na pierwszej stronie wykaligrafowała słowo, którego nie miała jeszcze odwagi głośno wypowiedzieć: nazwę choroby, która chyba – chyba – zbyt szybko opanowała jej ciało.

Niełatwo było je napisać, bo i niełatwo było je wpuścić do własnego życia, choć stało się już jego częścią, postacią z jej historii. Usta nadal odmawiały nadania mu dźwięku, jakby pozostawienie go w stanie uśpienia między stronicami mogło odwlec w czasie wyrok. Całą duszą chciałyby w to wierzyć.

Pukanie do drzwi przerwało te rozmyślenia. Zamknęła notatnik, ale zaraz otworzyła go na nowo i szybko zamazała zapisek. Nie była jeszcze gotowa, by spojrzeć chorobie w twarz. Poszła otworzyć.

Marini opierał się o framugę, z uśmiechem na twarzy i paczką ciastek w rękach. Chyba weszło mu to w krew.

– Nic pani nie jadła – stwierdził.

Teresa wzięła ciastka i przeczytała etykietę. Spodziewała się tego.

– To dla cukrzyków – zaprotestowała.

– Jeśli pani nie smakują, zabiorę z powrotem.

Teresa zatrzymała je.

– Wysłałam cię do domu na kilka godzin, a ty zamiast zająć się swoimi sprawami, kupujesz mi ciastka? – zapytała.

Nic nie odpowiedział.

– Kiedy wreszcie przestanie ci zależeć na mojej akceptacji? Nie jestem twoją matką – dodała bez urazy w głosie. Spojrzała na niego przychylniejszym okiem. Był uciążliwy, ale miły.

– Jest pani moją szefową. Dobrą szefową – dodał.

– Czyżbym awansowała? Do wczoraj byłam jarmarczną wróżbitką.

– O nie, nigdy tak nie myślałem.

– Naprawdę? A powinieneś, bo śledztwo utknęło w martwym punkcie.

Wtedy na twarzy Mariniego zakwitł uśmiech, którego Teresa miała nigdy nie zapomnieć. W jednej chwili przekreślił trud i napięcie minionych dni.

– Mamy nazwisko, pani komisarz. Zgadza się z pani profilem.

44

Lucas Ebran, trzydzieści dziewięć lat. Mieszkający z matką w wiosce położonej w dolinie, przy drodze prowadzącej do Traveni. W wieku trzynastu lat podpalił szkolną ubikację, a niedawno pokłócił się z sąsiadami, którzy twierdzili, że zabił im kota. Zaginął również pies, ostatni raz widziany właśnie w jego towarzystwie. Podejrzenia padły na Ebrana, ponieważ ludzie uważają go za dziwaka, boją się jego opętanego wzroku i milczenia, jakim reaguje na ich powitania.

– Piromania i domniemana przemoc na zwierzętach. Dobra robota, Parisi – powiedziała Teresa.

– Jego ojciec był myśliwym – kontynuował policjant. – Gdy syn był nastolatkiem, odebrał sobie życie strzałem w usta. Lucas znalazł ciało w piwnicy.

Teresa spróbowała wyobrazić sobie traumę, jaką przeżył chłopak w tak trudnym okresie dorastania, gdy młody człowiek zbliża się do dorosłości, ale jego emocje i strach są jeszcze uczuciami dziecka. Zobaczyła, jak schodzi po schodach prowadzących do piwnicy, jak czuje zapach śmierci, otwiera drzwi i w ciemnościach znajduje zmasakrowane ciało ojca.

– Gdzie pracuje? – zapytała.

– Jest bezrobotny. Znał pierwszą ofiarę, pracował przy budowie stacji narciarskiej jako murarz. Zwolniono go dwa tygodnie przed śmiercią Valenta, bo nie potrafił wykonać powierzonych mu zadań, nawet tych najprostszych.

Teresa poczuła, jak przez jej ciało przebiega mrowienie. Musiała zapanować nad rosnącą ekscytacją.

– Psychoza mu na to nie pozwalała – powiedziała w zamyśleniu.

Parisi mówił dalej:

– Widziano go, jak kręcił się na skraju lasu. Obserwował domy. Jeden z mieszkańców przestraszył się, bo podejrzewał, że czyha na jego dorastającą córkę. Szukamy go.

Teresa wiedziała, że cały zespół patrzy na nią i czeka na odpowiedź. Musiała podjąć decyzję, która wywróci życie tego człowieka do góry nogami. Ebran mógł być zarówno brutalnym mordercą, jak i niegroźnym odludkiem nieprzystosowanym do życia w społeczeństwie.

Może kota otruł ktoś inny, a pies po prostu uciekł – pomyślała. Może Lucas Ebran był trudnym nastolatkiem, bo czuł się porzucony przez ojca i to sprawiało mu cierpienie, a sąsiadów nie znosił, bo został przez nich napiętnowany. Może obserwuje rodziny, bo zazdrości im ciepła, którego chciałby dla siebie, a młode dziewczyny podgląda dlatego, że jeszcze nigdy z żadną nie chodził.

Istniało pewne prawdopodobieństwo, że Ebran nie jest zabójcą. Ale Teresa nie mogła pozwolić sobie na wątpliwości. Nienawidziła siebie, gdy musiała działać bezkompromisowo. W takich chwilach pomagało jedynie powtarzanie sobie, że wkrótce znów ktoś może zginąć, ktoś, kto właśnie przeżywa swoje ostatnie chwile, nieświadomy tego, że jest o krok od śmierci.

– Dobrze – powiedziała. – Połączcie mnie za pięć minut z zastępcą prokuratora. Teraz muszę rozwiązać jedną sprawę.

45

Teresa znalazła Hugona Knaussa w kuchni. Właśnie przygotowywał herbatę. Czajnik mrucał na palniku, a na stole stał talerzyk z torebką i plasterkiem cytryny.

– Niech pan odłoży kubek i odwróci się do mnie – poleciła oschle.

Knauss był tak zaskoczony, że posłusznie wypełnił rozkaz.

– Coś nie tak? – zapytał. Światło padało na jego twarz. Ogorzała i zniszczona przez mróz skóra wyglądała jak drewniana maska, żart jakiegoś artysty: za duże uszy, za mały nos, zbyt blisko osadzone oczy...

Teresa nie dała się zwieść dobrotliwej minie. Była pewna, że ten uśmiechnięty grymas nie zszedłby mu z twarzy nawet w obliczu największej tragedii. To był jego znak firmowy, cecha twarzy. Musiała natychmiast sprowadzić go do porządku, w przeciwnym razie ten człowiek już nigdy nie poczuje respektu do pełnionej przez nią funkcji.

– Coś? Właściwie wszystko, co pan robi, od kiedy się tu pojawiliśmy, jest nie tak – odparła. – Czy mówi coś panu nazwisko Ebran?

Knauss spuścił na chwilę wzrok, zanim odpowiedział. Wiedział, że popełnił błąd. Teresa chciała jednak odkryć, czy świadomie rzucał jej kłody pod nogi.

– Ebran – policjant westchnął, wyłączając gaz. – To nie może być on.

Teresa miała ochotę go spoliczkować. W ogóle nie dotarło do niego, o co jej chodzi.

– Problemem nie jest Ebran. Chyba. Problemem, sierżancie Knauss, jest to, że muszę ufać swoim współpracownikom – wyjaśniła. – Muszę mieć pewność, że oczy i uszy tego, kto ze mną pracuje, to moje oczy i uszy, a w pana przypadku takiej pewności nie mam. Domyśla się pan dlaczego?

Przechyliła głowę i czekała na odpowiedź.

Knauss zwilżył wargi; jego oczy błędziły po pokoju, jakby szukał w głowie właściwych słów. Nadaremnie. Teresa nie przyszła do niego po wyjaśnienia ani przeprosiny. Przyszła, żeby przywrócić właściwą hierarchię,

zaprowadzić porządek, być może nieprzyjemny, ale konieczny. Czasami czuła się jak stary jelen, który bodzie porożem młodszych członków stada, walcząc o zachowanie terytorium i pozycji przywódcy. Z tą różnicą, że ona urodziła się kobietą i nie miała ochoty na żadne zapasy. Uważała to za zbędny trud i marnotrawstwo energii. Ale jeśli to miało pomóc w lepszym wykonywaniu pracy, gotowa była uderzyć mocniej niż ktokolwiek inny.

– Czekam – nie odpuszczała.

Knauss znowu westchnął. Powoli zaczęło do niego docierać, że tak łatwo jej nie spławi.

– To się już nie powtórzy – wydusił w końcu. – O wszystkim będę panią informował.

Teresa pokiwała głową, wcale nie była pewna, że Knauss naprawdę stoi po właściwej stronie. Mimo tego, że w sprawę został wplątany jego własny syn.

– David skończył w szpitalu, bo najprawdopodobniej miał do czynienia z zabójcą, którego szukamy, a pan dalej bawi się ze mną w kotka i myszkę – odparła. – Pański syn przeżył wyłącznie przez przypadek. Proszę pamiętać o tym następnym razem, gdy przyjdzie panu do głowy, by samodzielnie decydować o śledztwie.

Zauważyła, jak przełyka ślinę.

– Ebran to nieszczęśnik – powiedział – i ma chorą matkę.

– Nie ma żadnych przyjaciół, a jego ojciec nie żyje – dokończyła Teresa. Podeszła bliżej i podniosła głowę, żeby spojrzeć mu prosto w oczy. – Mam gdzieś, że pańskim zdaniem to wystarczający powód, żeby uznać go za niewinnego. Mam gdzieś, że nie nadaje się pan do tej pracy. Ale niech pan mi już więcej nie utrudnia śledztwa.

Knauss wstrzymał oddech.

– Nigdy nie zamierzałem utrudniać śledztwa – wydusił z siebie.

Teresa nie cofnęła się ani o milimetr.

– Jeszcze raz przemilczy pan istotną informację albo powie choć jedno zbędne słowo, a przysięgam, że odsunę pana od sprawy.

46

Na świecie nie istniał teraz żaden dźwięk oprócz przytłumionego skrzypienia świeżego śniegu opadającego na zaspy. Noc przekształciła pierwsze, nieśmiałe płatki w cichą śnieżną burzę. To była naprawdę surowa zima. Puszcza zamieniła się w kryształową połąć z ciepłymi norami skrywającymi zwinięte w kłębek zwierzęta i z objuczonymi ciężką bielą konarami, które od czasu do czasu ugiwały się aż do ziemi i strząsały ją z siebie. Pojedyncze stworzenia włóczyły się jeszcze w poszukiwaniu pokarmu. Miały błyszczące w ciemnościach oczy, pobieloną sierść i oszronione pyski. Z ich nozdrzy buchała para.

Obserwował las z ukrycia, spod stuletniego świerku, z założonymi rękoma, żeby nie tracić ciepła. Czekał cierpliwie.

Polował na ofiarę, którą śledził od tygodni. Poznał jej zwyczaje, drogę, którą pokonywała, podobne jej istoty, z którymi się spotykała. Wiedział, że tej nocy przejedzie tędy wcześniej czy później, i przygotował się na jej przyjęcie. Nawet śnieżycy nie odwiedzie jej od tego zamiaru, bo nigdy nie zmienia nawyków.

Zobaczył ją chwilę później. Światła metalowego pojazdu, którym się przemieszczała, przebiły leśną gęstwinę i na pierwszym zakręcie na ułamek sekundy oświetliły jego kryjówkę.

Wstał i pochylony ruszył jej śladem. Pojazd piął się powoli coraz wyżej. Ciemności zaskoczyły go na trudnym odcinku, gdzie góra nikogo nie oszczędza, a lód jest tak gruby, że nie roztopi się aż do wiosny. Ślizgał się, z trudem łapiąc przyczepność i wypuszczając w powietrze drażniący dym.

Ofiara była zdenerwowana. Odgadywał to na odległość, po jej spiętym profilu. Miała zapadnięte i zmrużone oczy, najwyraźniej usiłowała skupić uwagę. Przygryzała wargi. Wiedziała, że wpadła w tarapaty, prawdopodobnie ogarnął ją strach. Czuła się nie na miejscu, a on był tutaj królem. Należała już do niego.

Na trzecim zakręcie metalowy pojazd zatrzymał się, zgodnie

z przewidywaniami. Stał długo na środku drogi, w końcu drzwi się otworzyły i ofiara wysiadła. Widział, jak w kontakcie z mrozem skuliła się i poprawiła czapkę.

Przed nią, w żółtym świetle reflektorów, leżał jakiś ciemny kształt. Śnieg jeszcze go nie przykrył, więc sztywna sierść błyszczała w ciemnościach.

Ofiara podeszła do martwego dzika, którego sam niedawno tam ułożył. Może zastanawiała się, jak go zabrać ze sobą, żeby nasycić się jego mięsem.

Popatrzył na nią, gotowy do ataku. Wyszedł z lasu i zmierzał w jej kierunku. Śnieg stłumił odgłos kroków. Wyobraził sobie, że kroczy po chmurach.

Ręce mu się trzęsły, ale serce miał spokojne. Nie było w nim podniecenia ani pośpiechu, a jedynie chęć, by odebrać jej życie, tak jak zima odbiera je kwiatom i trawom.

Stanął kilka kroków od tego ciała, które wydzielało nieprzyjemny zapach. Czekał wśród śnieżycy, aż ofiara spostrzeże jego obecność i popatrzy na niego oczami, które ostatnio nauczył się rozpoznawać: oczami, jakich nigdy nie widział u zwierząt, lecz wyłącznie u przedstawicieli jego własnej rasy. Przypominały mu brudną wodę, jaka płynęła w rzece po ulewach – mętne, zdradzieckie i nieczyste.

Ofiara pochylała się nad zwierzęciem, ale nagle wyprostowała plecy. Wyczuła jego obecność. Odwróciła głowę i przez zamieć wpatrzyła się w postać, która blokowała jej drogę do auta. Wstała. Po twarzy widać było, że nic jeszcze do niej nie dotarło.

Nie dotarło, że kto gardzi życiem, wcześniej czy później będzie musiał zapłacić własnym.

Nie dotarło, że kto dręczy słabszych, wcześniej czy później trafi na silniejszego.

A przede wszystkim nie dotarło, że już nie żyje.

Do czego doszłam? Gubię się nawet, gdy głowa pracuje. Strach pomyśleć, co mogę zmalować, gdy nadciągnie prawdziwa dezorientacja (postanowiłam, że tak to nazwę). Podejrzewam, że zmęczenie skumulowane podczas ostatnich godzin tylko pogorszy mój stan, zamiast pobudzić synapsy i te komórki mózgowie, które mi jeszcze zostały, które nie obumarły. Martwych nawet nie biorę pod uwagę.

Ten dziennik z założenia nie miał być ścianą płaczu, ale wygląda na to, że zamieniłam się w starą i na dodatek natrętną zrzedę.

Czyli do czego doszłam? Do sedna.

Lucas Ebran: główny podejrzany.

Po wielu szarych dniach i wczesnie zapadających nocach tego ranka dachy i drogi w dolinie jaśniały w promieniach słońca. Śnieżyca oczyściła wszystko. Nie było śladu po brudnej brei na poboczach, po zachlapanych deszczem oknach i po gnijącej roślinności w rowach. Wszystko zbiałało, pokryte miękkim puchem. W powietrzu unosił się zapach lodu i palonego w kominkach drewna.

Kiedy Teresa i Marini przyjechali przed dom Lucasa Ebrana, samochód Knaussa już tam stał. Policjant sam zaproponował, że pojawi się jako pierwszy, żeby nie stresować starej i schorowanej matki podejrzanego. Był przekonany, że lepiej od nich wyjaśni przyczynę tego najścia. Zdążył już zadzwonić do Teresy i poinformować ją, że Ebrana nie ma w domu, a matka nie wie, gdzie syn się podziewa.

Teresa wysiadła z auta i od razu zauważyła, że ktoś stoi w oknie sąsiedniego domu. Postać natychmiast się schowała.

– Ciekawscy sąsiedzi – stwierdził Marini.

Teresa już więcej w tę stronę nie patrzyła.

– Chcą znowu poczuć się bezpieczni – odparła. – Spaliliby na stosie każdą wiedźmę, byleby tylko uwolnić się od strachu.

Drzwi do domu Ebranów otworzył Hugo Knauss. Po pięciu sprzed kilku godzin policjant z trudem wytrzymał wzrok Teresy. A ona już mu nie ufała. Jego pełna niechęci postawa mogła okazać się niebezpieczna. To samo zachowanie zauważyła też u wdowy po Valencie. Całe Traveni zresztą przejawiało przesadną opiekuńczość wobec swoich mieszkańców i nieufność wobec wszystkich z zewnątrz. Zamknęło się na innych. Nikt z własnej woli nie odpowiadał na pytania śledczych i o ile to było możliwe, nie nawiązywał z nimi jakiegokolwiek kontaktu, nawet wzrokowego. Wspólnota wołała kryć zabójcę, niż być obiektem obserwacji i osądu ze strony tych, których uznawała za obcych. Dopiero teraz Teresa zrozumiała, że miejscowi podobnie podchodzą do turystów: traktują ich jak zło konieczne i nieustannie uważają, żeby nikt nie odgadł ich prawdziwych myśli. Pojęła, że od tej starej, niezmiennej społeczności, którą ukształtowała wielowiekowa izolacja, nigdy nie otrzyma wsparcia ani pomocy. Poleciała Parisiemu, żeby zorientował się, jak wyglądają relacje między mieszkańcami, ale tak, żeby sierżant Knauss o niczym nie wiedział. Musieli znaleźć słabe ogniwo, kogoś, kto zgodzi się mówić: jakiegoś wyrzutka, potraktowanego tak jak oni, którego niezadowolenie lub chęć zwrócenia na siebie uwagi skłoni do wyznania grzeszków miejscowej ludności. Teresa miała już w przeszłości do czynienia z takimi społecznościami i sprawami; wiedziała, że zawsze jest ktoś, kto został zepchnięty na margines, kto czuje złość i pała chęcią odwetu. I zamierzała go znaleźć, by później móc dotrzeć do nazwiska, do człowieka zgodnego z jej profilem. Bo tak jak zabójca zna okolicę, tak okolica musi znać jego.

Matka Ebrana była starsza, niż Teresa przypuszczała, a może tylko zniszczona przez trudne życie. Jej otyłe ciało siedziało wciśnięte w zniszczony i poplamiony fotel. Spod spódnicy wystawały opuchnięte nogi, które wskazywały na rozwijającą się chorobę. Nieuczesane włosy opadały na zagubioną twarz. Kobieta wyglądała na przestraszoną i zdenerwowaną. Na pytania Knaussa odpowiadała zdawkowo i zawsze to samo: ona nic nie wie, niczego nie rozumie. Swoją złość wyładowała na Parisim, który tylko się jej przyglądał.

– Przychodźcie tu i szukacie mojego syna, kiedy w miasteczku aż roi się od sekretów! Ludzie w dzień pchają się do kościoła, a w nocy włączają do cudzego łóżka! Hipokryci! Idźcie, policzcie bękartów w Traveni. Są ich tu setki!

Teresa odwróciła wzrok, żeby nie urazić kobiety przesadną ciekawością. Współczuła jej, a jednocześnie bała się o siebie. Bała się, że wkrótce sama tak może wyglądać.

– Ucisz ją – powiedziała do Mariniego i od razu zdała sobie sprawę, że te dwa słowa zabrzmiały jak błaganie. Wyszła z pokoju.

Pozostała część domu niczym nie różniła się od salonu: zaniedbana, zastygła w czasie, w którym królowały tu nadzieja i szczęście – wtedy kiedy rodzina była wszystkim.

Pokój Lucasa wyglądał tak, jakby należał do nastolatka: na ścianach stare, podarte w rogach plakaty, gitara wciśnięta w kąt, niepościelone łóżko i rzucone na podłogę ubrania.

Teresa usłyszała Mariniego za swoimi plecami. Z salonu nie dochodził już żaden głos.

Inspektor włożył rękawiczki i schylił się po jakiś but.

– Czterdzieści pięć – powiedział. – Pasuje do opisu.

Pod łóżkiem i w szafie znaleźli stosy czasopism pornograficznych.

– Chłopiec lubi brutalny seks – stwierdził Marini, przeglądając jedno z nich.

Teresa wyrwała mu pismo z rąk i rzuciła je na łóżko.

– Gdyby tak łatwo było stworzyć portret psychologiczny zabójcy, ty też byś to robił – ucięła krótko.

Los matki i syna – których życie w pewnym momencie zboczyło z ustalonego toru – z jakiegoś powodu przepełniał ją smutkiem. Musiała zebrać się w sobie, żeby zachować dystans i jasność umysłu.

– Istotny jest fakt, że w jego wieku szuka zaspokojenia z kobietą na papierze, a nie z krwi i kości – powiedziała. – Nie sądzę, żeby kiedykolwiek był w związku. Mieszka z matką, która jest żywym obrazem rozkładu fizycznego i psychicznego. Prawdopodobnie nie ma nawet przyjaciół.

– Od dawna nie widziałem takich pism. Czy on nie wie, że Internet jest tańszy i wygodniejszy?

Nagle oboje zorientowali się, że w całym domu nie ma żadnego sprzętu elektronicznego. Ani komputera, ani telefonu komórkowego, ani nawet telewizora. Jakby cofnęli się w czasie o co najmniej dwie dekady.

Teresa wskazała Mariniemu datę na czasopiśmie.

– Najpewniej należały do jego ojca.

Sprzęty w pokoju wskazywały na trudną sytuację finansową rodziny.

W kącie stała szafka z publikacjami poświęconymi lokalnej faunie. Książki leżały też na stoliku nocnym. Ebran najwyraźniej fascynował się dzikimi zwierzętami. Na ścianie wisiała geograficzna mapa świata z zaznaczonymi pisakiem kropkami. Rosnący w Teresie smutek wydostał się na zewnątrz pod postacią westchnienia:

– Podróże, w które nigdy się nie wybierze – mruknęła.

Czuła na sobie wzrok Mariniego.

– Widzę, że mu pani współczuje.

– To się nazywa empatia.

– Może być mordercą.

– Owszem, może.

– I nic to dla pani nie znaczy?

– Znaczy. Mówi mi, że każdy seryjny morderca, zanim przekroczy punkt, za którym nie będzie już odwrotu, był kiedyś cierpiącą ludzką istotą. Często ofiarą przemocy, być może osamotnioną.

Zadzwoiła komórka Mariniego. Inspektor zamienił kilka słów z posterunkiem w Traveni, a potem się rozłączył.

– Zgłoszono zaginięcie mężczyzny. Nazywa się Abramo Viesel – powiedział. – Wczoraj wieczorem nie pojawił się u siostry na kolacji, a jego telefon od wielu godzin jest poza zasięgiem. Opady śniegu odcięły kobietę od świata, bardzo martwi się o Abrama. Twierdzi, że nigdy mu się coś takiego nie zdarzyło.

Teresa rozsunęła poółkłe firanki i wyjrzała przez okno. W zasypanym białym puchem ogrodzie spod śniegu wystawała gałązka o lancetowatych liściach i czerwonych jagodach.

Abramo Viesel pracował jako woźny w szkole w Traveni. Był rozwiedziony i bezdzietny. Raz w tygodniu jadał kolację u swojej siostry, Cateriny, która mieszkała ze swoją rodziną w domu położonym na odludziu.

Żeby tam dotrzeć, Teresa i Marini musieli poczekać na przybycie pług. Jechali tuż za nim z prędkością piechura, sunąc po drodze pełnej ostrych i trudnych do pokonania zakrętów. Marini był cały skoncentrowany na prowadzeniu i nie odezwał się ani słowem, od kiedy wsiedli do samochodu. Teresa obserwowała krajobraz. Jak tylko ruszyli, od razu otoczyły ich chmury, które opasały górę niczym korona. Świat zamienił się w otchłań zawieszoną pomiędzy mgłami, lodem i mrokiem.

Po kilku zakrętach pług się zatrzymał. Kierowca otworzył okno i dał im znak ręką, żeby też stanęli. Wysiedli z samochodu. Powietrze było ciężkie od mikroskopijnych cząsteczek wody. Oddychali chmurami.

Mężczyzna wskazał na drogę. Jakies sto metrów od nich dwa migające światła przebijały się przez mgłę.

– Niech się pan zamknie w środku i pod żadnym pozorem nie wychodzi – polecił Marini kierowcy. Mężczyzna nie kazał sobie tego dwa razy powtarzać.

Razem z Teresą wyciągnęli pistolety i podeszli do jeepa. Silnik pracował, wyziewy z rury wydechowej łączyły się z oparami mgły.

Szli, oglądając się na boki i wstrzymując oddech za każdym razem, gdy ze zbyt obciążonej gałęzi osuwał się śnieg.

– W środku ktoś jest – zauważył Marini.

Przez tylną szybę widać było męską głowę w czapce. Numery rejestracyjne zgadzały się z tymi zgłoszonymi w komisariacie.

Marini zawołał Viesela po nazwisku, ale postać ani drgnęła.

Teresa wskazała na śnieg pod drzwiami od strony kierowcy. Był czerwony. Krew ciągle jeszcze kapała. Zamknęła oczy.

Znowu za późno – pomyślała.

Marini otworzył drzwi i zaklął. Ciało znajdowało się na siedzeniu, ręce ofiary przywiązano sznurkiem do kierownicy.

– Cała skóra pokryta jest krwią, ale ubranie ma czyste – zauważył.

Teresa poczuła, że drży jej ręka, w której trzyma pistolet. Opuściła ją.

– To nie skóra. Zdarł ją. A potem ubrał ciało.

Musiała odejść, żeby się opanować. Z daleka przyjrzała się scenie. Reflektory oświetlały jakieś wybrzuszenie w drodze. W promieniu dwóch metrów nawierzchnia utraciła czystość bieli. Zbrylony śnieg przypominał raczej lody truskawkowe. To odruchowe skojarzenie wywołało u Teresy natychmiastowe mdłości: barwnikiem była hemoglobina. Krew. W tym miejscu zabójca odprawił swój rytuał.

Przykucnęła i odgarnęła wierzchnią warstwę. Spod niej wyłoniła się zwierzęca sierść.

– To w ten sposób ich zatrzymuje – powiedziała głośno, tak by Marini ją usłyszał.

Inspektor od razu podszedł. Miał ściągniętą twarz i zaniepokojony wzrok. Odgarnął resztki śniegu i z wysiłkiem odwrócił ciało zwierzęcia. To był dzik.

– Racice ma związane sznurem – stwierdził. – Wpadł w pułapkę. Nie strzelał do niego. Ma ukreconą szyję... Do tego potrzeba ogromnej siły.

Teresa pokiwała głową.

– Nasz zabójca nie lubi broni. Poluje i zabija gołymi rękoma.

– To wymaga wielkiego nakładu energii.

– I jest groźne. Nigdy nie wolno lekceważyć siły zrozpaczonej ofiary. Ale ich to nie obchodzi.

Marini popatrzył na nią.

– Ich? – zapytał.

– Takich jak on. Krew ich pociąga. Ed Kemper kroił ciała swoich ofiar, żeby pobawić się ich organami.

– Mogę wymiotować?

– Nie na moje dowody, inspektorze.

– Myśli pani, że to właśnie robi zabójca?

– W jakim sensie?

– Nie ma skóry. Zabrał ją sobie?

Teresa westchnęła. Była zmęczona i przybita. Nie znajdowała w sobie ani krztyny wściekłości, którą tak bardzo chciałaby odczuwać.

– Zadzwoń do centrali – poleciała – i wezwij techników.

Z trudem się podniosła i wtedy zauważyła, że w pewnej odległości od reszty dowodów leży zakrwawiony kamień. Znajdował się pod świerkiem, więc śnieg go nie przysypał. Być może posłużył zabójcy, żeby ogłuszyć ofiarę, na przykład ciosem w potylicę.

Wróciła do ciała, żeby skontrolować głowę. Postarała się tak zajrzeć pod skórzaną czapkę, żeby niczego nie dotykać. Zabójca zdarł skórę nawet z głowy.

I wtedy delikatny powiew musnął jej twarz. Był ciepły. Zaskoczona spojrzała w wytrzeszczone oczy ofiary. Gdy ta myśl w końcu do niej dotarła, poczuła, że zaraz zemdleje.

– On żyje! – wrzasnęła.

Bergdorf, 12 listopada 1978
94. dzień obserwacji

Na pierwszy rzut oka obiekty są zdrowe, nie zdradzają obecności chorób ani cięższych schorzeń, chociaż da się u nich zaobserwować objawy tego, co doktor René Spitz nazwał „depresją anaklityczną”. Ich stan określiłbym mianem swoistego przytomnego letargu.

Ciekawym spostrzeżeniem będzie fakt, że tylko jeden osobnik wykazał częściowo odmienną reakcję. W przeciwieństwie do pozostałych okazuje energiczną reaktywność nawet przy braku zewnętrznych bodźców. Pomimo iż obiekt, jak pozostałe, pozbawiony jest mimiki, przy dwóch okazjach jego spojrzenie zostało określone przez pracownicę jako „świadome”.

Obiekt, co było do przewidzenia, zaczął odrzucać kontakt fizyczny i przejawiać agresję podczas próby zbliżenia. Pracownica jest przekonana, że obiekt wywiera negatywny wpływ na inne osobniki.

Jej opinia, chociaż pozbawiona podstaw naukowych i oparta na przesądach, pośrednio popiera moją teorię: obiekt posiada „pierwotną cechę alfa”. Powtarzając za Freudem, jest on „Ojcem”: silnym samcem, jednostką obdarzoną nadzwyczajną mocą, zdolną dominować nad masami i podporządkować sobie prymitywne hordy, najbardziej pierwotną postać ludzkiego społeczeństwa.

„Ojciec” obdarzony jest tajemniczą siłą, którą można określić mianem zwierzęcego magnetyzmu. Wpływ wywiera spojrzeniem, co można by przyrównać do hipnozy. Z tym że hipnozę cechuje pewien niepokojący element: branie bez pozwolenia, wchodzenie bez zaproszenia.

Omawiany obiekt posiada to, co Freud nazywa „Maną”.

Kierując się uwagami przekazanymi przez pracownicę, postanowiłem przyjrzeć się zachowaniu sąsiednich osobników.

Na daną chwilę mogę stwierdzić, że stan tych położonych najbliższej samca Alfa pogarsza się wolniej niż u pozostałych, jakby jakaś swoista komunikacja pomagała im przezwyciężyć izolację i czerpać większą siłę (od „Ojca”?).

W tym miejscu muszę zgodzić się z końcowymi uwagami Spitz: interakcje społeczne odgrywają zasadniczą rolę w ludzkim życiu.

Wszystkim, którzy będą oponować, iż obiekt jest zbyt młody, by wykazywać zachowanie typowe dla „Ojca”, odpowiem słowami Freuda:

„W każdym z nas kryje się człowiek pierwotny, tak jak każda ludzka grupa może stworzyć pierwotną hordę”.

I do tego właśnie doszło.

50

Komisarz Battaglia postanowiła jechać za karetką, która zabrała Abrama Viesela do szpitala w mieście. Massimo nalegał, że on poprowadzi. Z zawrotną prędkością gonili za ambulansem na sygnale. Żadne z nich nie powiedziało ani słowa. On udawał, że skupia się na kierownicy, ona patrzyła przez okno i jadła cukierki, które tak go wkurzały. Nie rozumiał, jak Teresa może lekceważyć własne zdrowie. Wkładała je powoli do ust, jeden za drugim, jakby chciała mu dać czas na zaprotestowanie. Massimo jednak nie dał się sprowokować. Był tak wstrząśnięty, że pragnął jedynie ciszy. Czytał pani komisarz w myślach i podejrzewał, że ona robi to samo. Coś ich w końcu połączyło, szkoda tylko, że coś tak tragicznego: byli świadkami przemocy, która paraliżowała duszę. Wspólnie zanurzyli się w najgłębsze ciemności i razem wyłonili się z nich ze ściśniętym żołądkiem i ciężkim sercem.

Do szpitala przyjechali w chwili, gdy ratownicy medyczni w pośpiechu wyciągali nosze z karetki. Parę sekund później Viesel zniknął za rozsuwanymi drzwiami i na zewnątrz znowu zapanował spokój.

– Możesz iść – powiedziała Battaglia.

Massimo już otwierał usta, żeby zaprotestować, ale ona nie dała mu na to czasu.

– Ja zostanę. Jedź do domu i odpocznij choć ze dwie godziny. Zadzwoń.

To nie była prośba. To był rozkaz, chociaż wydany tak słabym głosem, że ledwo było go słyszeć.

Massimo patrzył, jak idzie w stronę wejścia, zmęczona na ciele i umyśle. Nietrudno było się domyślić, że coś w niej zaczęło pękać. Musiała nosić w sobie jakąś ranę, która zachwiała jej wewnętrzną równowagę, choć przecież pani komisarz nadal twardo trzymała się na nogach.

Wrócił do samochodu, zapalił silnik i zdał sobie sprawę, że nie ma ochoty siedzieć w mieszkaniu, którego nadal nie uważa za swój dom.

Krążył po centrum bez celu, licząc, że przejażdżka go zrelaksuje, ale

wzmógł ruch i nieuważni piesi tylko nasilili jego poirytowanie. Gdy stał na światłach, zorientował się, że jest niedaleko biblioteki.

Czemu nie? pomyślał.

Kiedy światła zmieniły się na zielone, zamiast pojechać prosto, skręcił.

Pochłoniął już wszystkie tomiska, które wypożyczył poprzednim razem. Zarywał dla nich noce, podczytywał je podczas krótkich przerw na obiad i kolację, i ku własnemu zdziwieniu stwierdził, że są bardzo ciekawe. Zamierzał kontynuować podróż w głąb psychiki zabójcy, bo dzięki temu coraz lepiej rozumiał pracę Teresy Battaglii: co myślała, i dlaczego właśnie to.

O tej porze w bibliotece roіło się od studentów. Massimo wtopił się w tłum, nawet nie rozglądając się za dziewczyną, która poprzednim razem przyklepiła mu łatkę psychopaty. Ruszył prosto do interesującego go działu i zaczął przesuwac wzrokiem po tytułach.

Zastanowił się, czy komisarz Battaglia też tu była, wiele lat przed nim, z zadartą głową i ogniem w sercu, który pchał ją do wiedzy, do tego, by zobaczyć więcej. Tak ją sobie wyobrażał: z przygryzanymi oprawkami okularów i czerwoną grzywką na oczach, którą odgarnia prychnięciami.

– Przepraszam.

Odwrócił się. To była ona, bibliotekarka, i tym razem patrzyła na niego z uśmiechem.

– Cześć – przywitał się.

– Przepraszam – powtórzyła, zagryzając wargę.

Massimo wzruszył ramionami.

– Za co? – zapytał.

– Źe wzięłam cię za psychopatycznego mordercę.

Roześmiał się.

– A skąd wiesz, że tak nie jest? – rzucił wyzywająco.

– Widziałam cię w telewizji, w wiadomościach.

– Aha, czyli psychopatyczni mordercy nie pchają się przed kamerę?

Teraz ona się roześmiała.

– Mogłeś powiedzieć, że jesteś policjantem.

Milczał przez chwilę, jakby zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Nie dałaś mi na to czasu – odparł w końcu.

Dziewczyna na chwilę spuściła wzrok. Poczucie winy.

Kurde, zaczynam myśleć jak pani komisarz.

Nie wiedział, czy powinien się tym cieszyć, czy martwić.

– Mam na imię Sara.

– A ja Massimo.

– Liczyłam, że wrócisz. Chciałam ci to jakoś wynagrodzić – powiedziała i wyjęła mu z rąk książkę, którą przeglądał. – Ta nie jest dla ciebie.

– Nie?

– Nie.

Zaczęła sunąć palcem po grzbietach książek. Wyglądała, jakby dobrze wiedziała, czego szuka. Gdy trafiła na właściwą pozycję, wspięła się na palce, żeby ją wyciągnąć.

– Ta będzie lepsza – powiedziała i podała mu książkę.

Massimo przyjrzał się krytycznym wzrokiem okładce.

– *Drogi i bezdroża umysłu* – przeczytał. – *Podręcznik psychologii*.

– Wczoraj ktoś go zwrócił. Od razu pomyślałam o tobie.

– Dziwne. Nie ma tu mowy o rozczłonkowanych trupach ani torturowanych ofiarach.

Sara popatrzyła na niego krzywo, ale zaraz górę wzięła uśmiech.

– Żeby dorwać zabójcę, wpieryw musicie poznać jego tok rozumowania, prawda? – zapytała.

– Gdzieś to już słyszałem.

– Proszę, to jest mój numer.

Massimo spojrział na karteczkę, a potem na zarumienione policzki Sary. Pomyślał, że jest rozkosznie staroświecka.

To była jedna z tych chwil, w których Teresa zastanawiała się, jak może kochać swoją pracę. Jej zajęcie objawiało najczarniejszą stronę ludzkiej duszy i wszystkie okrucieństwa, do których jest zdolna. Battaglia nie rozumiała, dlaczego ludzie boją się śmierci. Przecież to życie jest okrutne: braterska walka, w której zawsze ktoś musi zginąć.

W jednej z sal Abramo Viesel walczył o życie. Teresa postanowiła, że zostanie, dopóki nie otrzyma nowych informacji o jego stanie – a ten był póki co krytyczny.

W poczekalni panował zaduch. Otworzyła okno, które wychodziło na park, i wychyliła się w poszukiwaniu świeżego powietrza i spokoju.

– Kawa?

Obejrzała się za siebie. Marini wrócił. Nie posłuchał jej: miał na sobie to

samo ubranie i był tak samo zmęczony co w chwili, w której się rozstali.

– Nie, dziękuję – odparła.

– Co robimy?

Odpowiedź na to pytanie była banalna. Musieli znaleźć zabójcę i położyć kres rozlewowi krwi. Łatwo powiedzieć, trudniej zrobić, bo zabójca uderzał dalej, a oni nie potrafili go powstrzymać.

Teresa znowu zapatrzyła się w park.

– Matka Lucii Kraviny, chłopak z jeepa, a teraz Viesel... Nie rozumiem, dlaczego te trzy ofiary zostawił przy życiu – zastanawiała się na głos.

– Cztery.

Jednocześnie odwrócili się w stronę Parriego. Lekarz sądowy przywitał się skinieniem głowy, podszedł do Teresy i pogłaskał ją po ręce, nie spuszczać oczu z jej twarzy.

– Jak się czujesz? – zapytał.

Uśmiechnęła się. Wiedziała, że Parri nie pytał z grzeczności. Diagnozował jej stopień zmęczenia.

– Pewnie chciałbyś jeszcze wiedzieć, czy przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny należycie zjadłam i się wyspałam – odparła wymijająco.

Parri przyjrzał jej się uważniej znad okularów.

– Wykańczasz się – stwierdził lapidarnie.

Teresa zauważyła zdziwienie na twarzy Mariniego, sama jednak przywykła już do tak bezpośredniej szczerości. Przyjaciel martwił się o nią od dawna. Dobrze pamiętała, co powiedział pewnej nocy przed wieloma laty, gdy stali nad ciałem ofiary, do której nie zdążyła przyjechać na czas: ta praca wcześniej czy później zada ci ostateczny cios.

Teresa pomyślała, że ten moment chyba już nastąpił. Przejrzała się w okiennej szybie.

– Z czego wnioskujesz? – zapytała, przyglądając się swoim podkrążonym oczom. – Z mojego parszywego wyglądu?

Parri wybuchnął śmiechem, ale w jego oczach nadal kryła się szczerą troską.

– Miałem do ciebie dzwonić – powiedział. – Przyszły wyniki autopsji Roberta Valenta.

Teresa nadstawiła uszu.

– Co mówią?

– Umarł jakieś dwie godziny po okaleczeniu. Na zawał.

Teresa patrzyła na niego zaskoczona.

– To znaczy, że sprawca cały ten czas czuwał przy nim.

– Tak. Niewiarygodne.

– On nie zabija. Nigdy nie miał takiego zamiaru. Ta śmierć była przypadkowa – Teresa zastanawiała się głośno.

Parri kiwał głową.

– I jaki z tego wniosek? – zapytał.

– Że wypiera przemoc, której się dopuścił? Ale to się kłóci z resztą. Podobnie jak inne elementy. Seryjni zabójcy nie zdają sobie sprawy z powagi swoich czynów. Patrzą na ofiary jak na przedmioty. Nie posiadają empatii, bo jakaś trauma z dzieciństwa przerwała jej rozwój. I nie wykazują skruchy, bo muszą dalej zabijać.

– Nietypowy ten nasz seryjny zabójca – zasugerował Marini.

Teresa nie wiedziała, co myśleć, i wcale się z tym nie kryła.

– Wyparcie aktu przemocy nie pasuje do psychologicznego profilu seryjnego zabójcy – mówiła dalej. – Przecież ostatecznym celem ich działania jest właśnie zadanie śmierci. To jedyny sposób, by poczuli ulgę i ukoili ból.

– Tylko matka Lucii Kraviny jest w stanie cokolwiek wyjaśnić – stwierdził Parri – ale nie sądzę, żeby prędko wybudzili ją ze śpiączki farmakologicznej.

Marini popatrzył na Teresę.

– Kiedyś opowiedziała mi pani o Igorze Rosmanie i jego ubraniach z ludzkiej skóry – powiedział. – A jeśli nasz zabójca robi to samo?

Teresa przyjrzała się faktom z całkiem nowej perspektywy.

– On nie tworzy ubrań, ale coś innego – stwierdziła. – Wziął oczy...

– Nos i uszy.

– A teraz skórę. Co zabierze następnym razem?

Marini podał jej kurtkę i sam też się ubrał.

– Jeszcze nie znaleźliśmy Lucasa Ebrana, a dzisiaj mamy piąty grudnia, wigilię dnia Świętego Mikołaja – powiedział. – Gdy zapadnie zmrok, na ulice Traveni wyjdą przebrani za diabłów statyści. Idealna noc, by zabić bez przeszkód.

51

To była ta zimowa noc, kiedy oblicze miasteczka zmienia się na podobieństwo księżyca przesłanianego przez cień, który stopniowo go pożera, nawet na bezchmurnym niebie.

Szukał tego cienia, ale go nie znalazł. Patrzył na góry, patrzył w doliny. Przyglądał się niebu i ziemi, którą miał pod stopami. I nic. Wtedy zrozumiał, że ten cień nadchodzi skądinąd, z jakiegoś tajemniczego miejsca.

W sobie też miał mały kawałek tego mroku, który rozlewał się w nim, gdy odbierał komuś życie, i przepelniał go chłodem. Szarpał się jak pojmane zwierzę i w końcu znikał, gdy on nadstawiał uszu.

Spojrzał na swoje dłonie. W nos uderzył go zapach krwi. Nie wiedział, skąd to nieprzyjemne uczucie. Wkoło codziennie życie tańczyło ze śmiercią, jak motyl i ćma w godzinie, gdy zachód słońca przemienia się w zmierzch.

Tej nocy przebrani za bestie mieszkańcy spojrzą swoim strachom prosto w oczy. Przywdzieją długie rogi, takie, jakich on w naturze nigdy nie widział, i zwierzęce skóry; w dłonie chwycą kije i pochodnie. Pomalują twarze, żeby wyglądały przerażająco. Tej nocy staną się tacy jak on.

Zarzucił na siebie barani kozuch i przewiązał go w pasie skórzanym rzemieniem. Na głowę włożył czapę z majestatycznym porożem, które rzuciły na ściany cień przypominający bezlistne konary.

Palce zamoczył w misce i przejechał nimi po twarzy. W cynowym talerzu zobaczył swoje białe odbicie.

Stał tak przez chwilę, patrząc sobie w oczy, a potem sięgnął po książkę, która jakiś czas temu przyciągnęła jego uwagę. Początkowo nie rozumiał jej słów, teraz jednak przywoływały w jego głowie określone obrazy. Znalazł ją porzuconą gdzieś w miasteczku. Przewertował kilka stron i zatrzymał się na tej, którą zaznaczył dębowym liściem.

Kilkakrotnie otwierał i zamykał usta, jak ptak, który wypróbowuje skrzydła, zanim rzuci się w pustkę. Potem popłynęły słowa.

– Tak, ta-taka będziesz kiedyś, o w-wdzięków królowo, po sakramentach ostatnich, gdy zejdziesz pod ziół żyznych urodę kwietniową, by gnić wśród kości bratnich.

Spojrzał na czaszkę. Miała już oczy, miała twarz, ale ciągle nie było w niej życia.

Złapał dla niej jaszczurkę, żeby nie czuła się samotna, gdy jego nie będzie i noc ją przestraszy. Znalazł to zwierzę w głębokiej szczelinie i przebudził z zimowego letargu. Nie kulilo się, jak inne zwierzęta, które zasypiają na zimę, bo ciało gada nie potrzebowało ciepła. To małe stworzonko zawsze miało zimną krew, nawet latem. Przywiązał je sznurkiem do kości dłoni. Zanim wyszedł, pogłaskał je po malutkiej główce: pieszczota objęła też paliczki. Zabrzęczały, rozbudzając w nim nadzieję, że jego towarzysz właśnie przebudza się do życia, jak jaszczurka. Ale na darmo czekał.

Czy jestem jeszcze w stanie wykonywać tę pracę?

Nie przeraża mnie zmęczenie. Przyzwyczyłam się do tego, że wlokę swoje ciało – tego wrogiego przyjaciela – po drogach świata i znoszę jego utyskiwania, nawet gdy muszę zaciskać zęby z bólu.

Nie wstydzę się opuchniętych stóp, rąk, które czasami nie potrafią niczego uchwycić, stępionego wzroku, który miesza słowa.

Zaćmienie umysłu spędza mi sen z powiek, bo ja to moje myśli, wspomnienia, nadzieje i marzenia. Te emocje i moja godność to cała ja.

Po raz kolejny marnuję strony na udręki, które nie są warte atramentu.

Do czego doszłam? Często zadaję sobie to pytanie.

Do punktu dziewiętnastego: środki bezpieczeństwa w Traveni w związku z dniem Świętego Mikołaja, nocą Krampusa. Kto wie, czy nasz Diabeł też się tam pojawi. Ja jestem gotowa. I czekam na niego.

Traveni zdjęło żałobę i przywdziało odświętny strój: ulice udekorowano srebrnymi lampionami odwzorowującymi płatki śniegu, a girlandy świateł biegły od jednego budynku do drugiego przez całą główną ulicę. Na oknach i balkonach zawieszono świąteczne ozdoby. Za każdą szybą, jak nakazywał obyczaj, stała zapalona świeca. Na placu przed kościołem umieszczono ogromny świerk pachnący żywicą. O zmierzchu zapłonął tysiącem lampek, a na jego czubku rozbłysła gwiazda betlejemska.

Zapalono koksowniki. Ze straganów zaczęła unosić się woń grzanego wina i pieczonych kasztanów. Początkowy nieśmiały szmer przerodził się w radosny gwar, któremu sprzyjały alkohol i przybycie pierwszych turystów. Z megafonów płynęły kolędy i pastorałki. Z pubu i restauracji dobywał się zapach ciepłych, smakowitych posiłków. Ulice powoli wypełnił tłum spacerowiczów.

Teresa pomyślała, że obawy burmistrza okazały się bezpodstawne. Stało się to, co najbardziej ją niepokoiło: zagrożenie przyciągnęło ludzi, zamiast

ich odstraszyć. Tej nocy Traveni fascynowało nie tylko pokazem piekielnych masek i dzwonek, ale także czymś o wiele bardziej ekscytującym: przeraźliwą świadomością, że wśród uczestników zabawy może się znaleźć również zabójca. Teresa nie rozumiała tego psychologicznego mechanizmu, chociaż już się z nim spotkała.

Dokonała mentalnego przeglądu środków, które wprowadzono, żeby odciąć kilerowi drogi ucieczki. W teorii miały zadziałać, ale czy sprawdzą się w praktyce? Policjanci wtopili się w tłum, wielu było w cywilnych ubraniach. Teresa postanowiła, że osobiście będzie koordynować całą operację. Chciała być na miejscu, oddychać tym samym powietrzem, którym oddycha zabójca, jak on wypatrywać ewentualnych ofiar. Wiedziała, że się pojawi, bo jego ego nie zrezygnuje z okazji przyjrzenia się efektom swoich działań i ujrzenia na własne oczy, jak liczne tłumy przyciągnęły jego ataki.

Liczyła, że to wystarczy, by tej nocy zaspokoić jego pragnienie wszechmocy, i bestia, która się w nim kryje, nie będzie żądała większej ofiary.

– Pani komisarz, czy możemy porozmawiać?

Zaskoczona Teresa odwróciła się. Sierżant Knauss patrzył na nią przybitym wzrokiem. Wiedziała, skąd ta mina: śmiała poprosić o posiłki z miasta. Po raz kolejny podważyła jego rolę i autorytet.

– Dlaczego nie jest pan na swojej pozycji? – spróbowała go spławić, na powrót spoglądając w stronę coraz żywiej przebiegających obchodów święta.

– Powiedziała pani na początku, że możemy się do pani zwracać z każdą sprawą, więc ja tylko...

Teresa mu przerwała.

– O co chodzi?

Policjant spojrział na czubki swoich butów. Ręce trzymał opuszczone wzdłuż ciała, a w otwartych ustach przeżuwał gumę.

– Urodziłem się w tych górach – zaczął. – Większość moich ludzi też. Znamy okolicę lepiej niż ktokolwiek inny, znamy też mieszkańców. Od zawsze radziliśmy tu sobie sami. Jesteśmy...

– Z pewnością jesteście wspaniali, sierżancie – wtrąciła się Teresa – ale ten przypadek wykracza poza wasze możliwości.

Knauss popatrzył na nią ze zdziwieniem, jakby nie był w stanie uwierzyć w taką bezpośredniość.

– Niech mi pan wyświadczy przysługę, wróci na pozycję, którą panu

wyzaczyłam, i zostanie tam przez najbliższe dwie godziny. Co najmniej – kontynuowała. – I niech się pan zatroszczy o to, żeby pańscy ludzie zrobili to samo.

Knauss przestał żuć gumę.

– Nie jestem pod pani rozkazami – odciął się.

Teresa spiorunowała go wzrokiem.

– Ma pan rację – odparła – bo gdyby pan był, już bym pana zbluzgała na oczach wszystkich za to, że marnuje pan mój czas i odbiera go ewentualnej ofierze.

Mężczyznę zatkąło.

Teresa wskazała na coś za jego plecami. Dwójka jego ludzi z marnym skutkiem próbowała usunąć nieautoryzowany punkt zbierania podpisów przeciwko budowie nowej stacji narciarskiej. Sytuacja robiła się naprawdę gorąca.

– Ponoć zna pan swoją trzodę – powiedziała wyzywająco Teresa. – Niech pan więc idzie w bój i postara się rozwiązać problem.

Knauss wypluł gumę i odszedł w milczeniu.

Teresa spojrzała na zegarek. Pokaz miał się wkrótce rozpocząć, ale gdy zobaczyła, kto idzie w jej stronę, pomyślała, że to będzie długa i ciężka noc.

– Chryste, co ich wszystkich ugryzło? – mruknęła.

Mężczyzna podszedł do niej z kartką, którą Teresa od razu rozpoznała. Sama ją wcześniej wydrukowała i podała komendantowi do podpisu.

– Czy to pani komisarz mamy za to podziękować? – rzucił szyderczo.

– Dobry wieczór, panie burmistrzu.

Mężczyzna zignorował powitanie i podsunął jej papier pod nos.

– Co to za idiotyzm, że nie wolno nam zgasić oświetlenia?

Teresa odpowiedziała, patrząc w inną stronę:

– Środki zaradcze, panie burmistrzu.

– Jasno tu jak w dzień, więc jak pani zdaniem mam wprowadzić statystów i zapalić ognisko?

– Jestem pewna, że pokaz będzie równie efektowny i że nikt nie będzie miał pretensji co do szczegółów. Jeśli pan pozwoli, muszę wracać do pracy.

Mężczyzna podarł rozporządzenie na drobne kawałki i zniknął w tłumie. Teresie od razu ulżyło.

Przyczepiona do pasa krótkofalówka zaskrzeczała.

– U mnie spokojnie – odezwał się Parisi. Właśnie patrolował obszar przed

kościelnym dziedzińcem, pełen budek i straganów ze słodyczami.

Jeszcze nie znaleźli Ebrana. Mężczyzna zapadł się pod ziemię. Matka powiedziała, że to nie pierwszy raz, nie wiedziała jednak, gdzie podziewa się syn, gdy przez wiele dni nie wraca do domu. W mieszkaniu znaleziono tylko jej odciski palców, zupełnie jakby Lucas był jedynie wytworem wyobraźni, a nie rzeczywistą postacią, chociaż sąsiedzi twierdzili, że nie dalej jak dwa tygodnie temu widzieli, jak podgląda ich zza firanek.

Jedyne, czym dysponowali na tę chwilę, to była jego stara, rozmazana fotografia. Musiała im wystarczyć, żeby zidentyfikować go pośród setek twarzy skrytych pod czapkami i szalikami.

Po drugiej stronie ulicy Teresa dostrzegła Mariniego. Gdy dzwon zaczął bić, wymienili porozumiewawczy sygnał. Po ósmym uderzeniu światła w miasteczku zgasły i przez tłum przebiegł okrzyk zaskoczenia, w którym dało się wyłapać nutę strachu.

Teresa zaklęła i od razu wezwała Parisiego przez radio.

– Znajdź mi odpowiedzialnego! – rozkazała. – Załatw to, jak chcesz, ale włącz z powrotem oświetlenie!

Jak widać, burmistrz wziął jej polecenie za zwykłą sugestię i postanowił je zignorować.

Traveni lśniło w migotliwym blasku pochodni i świec. Malowniczy spektakl w samym sercu Alp, nieodparta pokusa dla zabójcy szukającego ofiary.

Marini dołączył do niej.

– I co teraz? – zapytał.

– Teraz czekamy. – Teresa nie wiedziała, co innego odpowiedzieć. Wpatrywała się w tłum: rodziny, pary zakochanych, grupki młodych ludzi, pełno turystów. Z pewnością gdzieś już tu był. I obserwował.

Przed zgromadzonymi przedefilowała procesja zakonnicek. Spod pochylonych głów, skrytych pod czarnymi welonami, wystawały tylko podbródki. Siostry trzymały w rękach świece. Chwilę później zniknęły w kościele, ciche i zdyscyplinowane.

– A te skąd się wzięły? – zapytała Teresa przez radio.

– To są mniszki z klasztoru w Rail – odezwał się Knauss. – Gromadzą się na modlitwie, żeby przegnać złe duchy. Je też chce pani skontrolować? – zapytał z ironią.

– Zastanowię się. Może wyślę pana do tej roboty.

Przez dolinę przetoczył się dźwięk rogu.

– Nadchodzą – powiedział Marini.

Ciemny trójkąt gwieździstego nieba między dwoma górami, tuż za kościołem, zajaśniał różowym blaskiem, który powoli się nasilał, aż w końcu zdradził swoją naturę: to był sznur pochodni niesionych przez ciemne, zgarbione postacie. Orszak diabłów nadciągał powoli, a gdy znalazł się w zasięgu wzroku zebranych, statyści rozproszyli się po zboczach tworzących naturalny amfiteatr.

Okolica zapłonęła stosami, wokół których rozgrywały się pogańskie harce. Nad horyzontem jaśniała szeroka łuna ognia, a nad nią wzbijał się do nieba czarny dym. Diabły schodziły do miasteczka w deszczu popiołu i lamp błyskowych.

Krampus – tak brzmiało ich imię. Teresa dowiedziała się, że oznaczało „szpony”. Niezwykle adekwatna nazwa dla krwawych napadów, które w minionych dniach dotknęły dolinę.

Maski budziły powszechny strach. Były tak perfekcyjnie wykonane, że wzbudzały w widzach wrażenie, jakby nagle trafili do piekła. Górskiego, prymitywnie fascynującego piekła. Pół diabły, pół kozły miały na sobie spodnie i tuniki z surowej wełny, a na nich – sięgające do kostek zwierzęce skóry. W pasie nosiły przytroczone dzwonki, które ogłaszały ich przybycie, a w rękach – kije i różgi, które wymierzały ciosy widzom. Twarze przybyszy miały przerażające miny, a ozdobiły je ostre, kręte rogi, błyszczące w ciemnościach oczy i kły gotowe rozszarpać na kawałki.

Dzieci albo płakały, pocieszane od razu przez matki, albo, podekscytowane, biły brawo.

– Wyglądają bardzo realnie – wymamrotał Marini. – I robią wrażenie.

Był oczarowany.

– Pozostałość po pogańskich kultach płodności związanych z przesileniem zimowym, które przetrwały w chrześcijaństwie – stwierdziła Teresa i wzruszyła ramionami. – Jak głosi legenda, w noc Świętego Mikołaja demony zwane Krampusami wyruszały na poszukiwanie niegrzecznych dzieci. Posłuszne były tylko temu świętemu i jemu służyły. Ot, taki wybieg, żeby nie ściągnąć na siebie gniewu inkwizycji.

Marini przyjrzał się jej uważnie.

– Niesamowite. Pani zawsze potrafi wszystko tak jasno wytłumaczyć – skomentował.

Teresa nie oderwała wzroku od statystów. Nie potrafiła dostrzec w nich nic ponad odgrywaną przez nich rolę.

– Wyczuwam pewną nutę sarkazmu – burknęła.

– U mnie? Ależ skąd. Szczerze panią podziwiam.

– Marini, przestań.

Kiedy diabły zmieszały się z publicznością, zapanowała atmosfera chaotycznej euforii.

– Co ten Parisi wyrabia? – prychnęła Teresa. – Dlaczego nie włączył jeszcze oświetlenia?

Była zdenerwowana. Zastanawiała się, czy pod jedną z masek kryje się zabójca i czy wybrał już kolejną ofiarę. Przeanalizowała z zespołem wszystkich statystów; sprawdzili ich podczas przygotowań do pokazu, ale teraz miała wrażenie, jakby nigdy wcześniej ich nie widziała.

Nagle plac zamienił się w wir, który zaczął wciągać ją do środka. Twarze, zapachy, dźwięki, światła... wszystko obracało się wokół niej i mieszało ze sobą. Zamknęła oczy.

Bała się, że nie zdoła dokończyć zadania. Czuła się tak, jakby podczas minionych godzin postarzała się o całe lata.

Zachowaj spokój – rozkazała sobie w duchu. Oddychaj.

Podejrzany tu był, gdzieś poza oślepiającym ją strachem. Żeby go znaleźć, musiała pokonać swoje słabości. Spróbowała przywołać w pamięci jego zdjęcie. Przyjrzała się mu w myślach, zbadała każdy szczegół.

Gdy była gotowa, otworzyła oczy. Nie zamierzała znowu popełnić tego samego błędu i dać się ponieść pośpiechowi. Działała metodycznie, trzymając swój wzrok na wodzy. Wybrała kilka punktów odniesienia: wpięrow zlustrowała ludzi stojących przy budach i w rogach placu, potem tych przed barami. Na koniec podzieliła przemierzający się tłum na nurty i zaczęła przyglądać się każdemu, kto przechodził przed nią.

Metoda – pomyślała. Potrzebuję tylko metody.

I tak pośród setek twarzy znalazła tę, której szukała.

Lucas Ebran wyglądał inaczej niż na zdjęciu, które Teresa zabrała z jego domu. Nie miał w sobie nic z ektomorfika: nie był chudy ani wysoki, jak się spodziewała, ani nie chodził w zabawny sposób. Jego sylwetka z czasem się rozrosła, chociaż ciało sprawiało wrażenie raczej opuchniętego, a nie otyłego, za to twarz nic się nie zmieniła. Był dziwnym połączeniem młodości

z wyniszczeniem. Brudne włosy opadały na gładką, niemalże przezroczystą skórę czoła i policzków. Wytarta kurtka wyraźnie opinała się na brzuchu i ramionach; chyba krępowała mu ruchy.

Mężczyzna był niespokojny. Teresa odgadła to po jego chaotycznych ruchach i nerwowym rozglądaniu się. Coś sprawiało, że się nie kontrolował, może podniecenie wywołane obecnością tych wszystkich ciał wokół i potrzeba, by znowu zabić.

Kręcił się po placu między straganami, za każdym razem pokonując tę samą drogę. Był metodyczny, jakby szukał – czegoś lub kogoś.

Teresa obserwowała go ze schodów prowadzących od średniowiecznej wieży na plac. Widziała, jak wpatruje się w obce twarze, bada spojrzenia.

– Co on robi? – zapytał Marini, który stał u jej boku.

– Dokonuje wyboru.

Przemarsz diabłów osiągnął punkt kulminacyjny, kiedy demony zaczęły gonić i uderzać różgami co odważniejszych chłopców, którzy podchodzili do nich wyzywającym krokiem. Powstało zamieszanie, ludzie zbijali się w grupki, co uniemożliwiało śledzenie Ebrana.

– Schodzę – powiedziała Teresa. – Ty zostań i nie spuszczaaj go z oka.

Szła za nim w odległości kilku metrów. Widziała go między głowami innych. Czasami mężczyzna znikał z pola widzenia, żeby pojawić się kilka kroków dalej albo tuż obok niej. Teresa zastanawiała się, jak długo jeszcze potrwa ta zabawa.

Nagle wśród tłumu rozległy się ogłuszające wybuchy i wszystkich ogarnęła panika. Ludzie popychali się i krzyczeli, napierali jeden na drugiego, żeby wydostać się z placu. Nurt ludzkich ciał porwał Teresę: czuła się tak, jakby płynęła pod prąd.

– Ktoś rzucił petardy – powiedział De Carli przez radio.

Marini zbiegł, żeby zaprowadzić porządek. Wyjaśniał głośno, co takiego zaszło, ale zanim na powrót zapanował spokój, minęło dobrych kilka minut.

W tym czasie Teresa zgubiła podejrzanego. Zaklęła jak szewc do krótkofalówki:

– Nie widzę go!

– Ale ja tak – odparł Marini. – Idzie w stronę kościoła. Opuszcza plac. Chyba coś ukradł. Ma wybruszoną kurtkę, trzyma coś pod nią kurczowo.

Teresa wspięła się na czubki palców, żeby popatrzeć we wskazanym kierunku, ale wokół niej było zbyt wielu ludzi.

– Nie zgub go! Idę do ciebie – wykrzyknęła.

Wezwała posiłki i poleciła, żeby nikogo nie wypuszczano z miasteczka. Zresztą już kilka godzin temu ustawiono blokady na drogach. Znowu rozejrzała się za Marinim.

– Masz go? – zapytała.

– Prawie. Jest za kościołem.

– Nie biegnij, bo go przestraszysz. Jestem blisko.

Dzięki wysiłkom Hugona Knaussa i jego ludzi tłum powoli się rozpraszał. Teresa w końcu dotarła do Mariniego. Lucas Ebran szedł jakieś dziesięć metrów przed nimi. Sadził duże kroki, spieszyło mu się. Kilka razy obejrzał się za siebie.

– Zauważył nas – powiedziała Teresa.

Wtedy Lucas zaczął biec. Marini ruszył za nim i dopadł go po kilku sekundach. Gdy chwycił podejrzanego za kołnierz, ten się potknął i upadł na kolana. Miał przerażony wzrok. Teresa zobaczyła, jak spogląda na opięte przyciasną kurtką wybrzuszenie. Coś pod nią chował.

– Pani komisarz!

Nadbiegł De Carli, z trudem łapał powietrze.

– Zniknęło dziecko – wydyszał. – Porwano je z wózka pod niewagę matki.

Teresa popatrzyła na Ebrana i na jego nienaturalnie wystający brzuch. Rozchyliła kurtkę i na kilka sekund znieruchomiała.

– Znalazłem je na ziemi, przysięgam – powiedział Ebran.

Po dziecku ani śladu. Miał przy sobie tylko kradziony aparat fotograficzny i damską torebkę.

Teresa obudziła się z krzykiem. Oddychała ciężko. Miała zeszywniałą szyję i zdrętwiałe ciało. Przed oczyma widziała zapisaną stronę w dzienniku, na którym opierała policzek. Podniosła głowę, serce mocno waliło w jej piersiach. Ukłucie przeszło jej plecy: spała na siedząco. Z trudem przełknęła ślinę, miała wysuszone gardło i wargi. Marzyła o szklance wody.

Potrzebowała kilku chwil, żeby przypomnieć sobie, gdzie się znajduje. Rozejrzała się błędnym wzrokiem: sala zebrań posterunku w Traveni była pusta, a światła przygaszono. Na wieszaku rozpoznała czapkę sierżanta Knaussa, tuż obok była kurtka Mariniego.

Nadal oszołomiona, spojrzała na zegarek. Minęła dwudziesta druga; spała prawie pół godziny. Ktoś okrył jej ramiona swoją marynarką.

Była wściekła na siebie za tak niewybaczalną słabość. Czowała wstyd. Co sobie pomyśleli jej ludzie? Spojrzała na otwarty dziennik i nagle jej twarz zapłonęła. To byłoby straszne, gdyby ktoś przeczytał jego treść i domyślił się, w jakim stanie fizycznym i psychicznym jest Teresa. Na szczęście na otwartej stronie widniało tylko kilka linijek skreślonych w pośpiechu; dotyczyły wyłącznie śledztwa.

Z westchnieniem przetarła twarz: zorientowała się, że ma mokre policzki. Wtedy dotarło do niej, że płakała. Nagle przypomniała sobie koszmar, który ją obudził, i poczuła, jak zalewają ją mdłości i nowa fala łez.

– Boże mój... – mruknęła zmęczonym głosem.

Ręce odruchowo powędrowały do brzucha, szukając kontaktu, dzięki któremu nigdy nie zapomniała.

Bo jakżeby mogła?

We śnie czuła, jak dziecko porusza się w niej, delikatnie głaszcząc ją od środka. Jak odpowiada na jej dotyk, kuli się w jej ciepłe. To wrażenie było tak realne, jakby naprawdę ktoś dotykał jej skóry. Oddałaby wszystko, żeby było prawdziwe.

Sen przemienił się w koszmar, gdy pojawiła się potworna świadomość, że

ktoś jest tuż obok i pragnie zabrać jej dziecko. Wtedy obudziła się z krzykiem.

Teresa wstała: było jej tak ciężko, że z trudem łapała powietrze. Wylała łzy grzbietem dłoni i wzięła głęboki oddech.

To nie był właściwy moment, by opłakiwać przeszłość przeklętą przez tak wielką tragedię.

Nagle z korytarza do jej uszu dobiegły odgłosy zamieszania. Wpierw nerwowy zgiełk, a potem rozpaczliwe wycie, które przegnało z jej powiek resztki snu.

Wiedziała, do kogo należy ochrypnięty i rozpaczliwy głos. Do matki porwanego niemowlęcia.

Teresa oparła czoło o ścianę i zamknęła oczy. Krzyki rozdzierały jej serce. Nie potrafiła się przed nimi obronić. Ona tak samo krzyczała we śnie.

Porwane dziecko nie należało do niej, lecz do innej kobiety, która tu była, rozpaczała, i która – o czym Teresa wiedziała z własnego doświadczenia – wolałaby umrzeć, niż stracić własne maleństwo.

Dopiero w tej chwili Teresa zobaczyła, że ma zabandażowaną rękę. Z niedowierzaniem podniosła ją do oczu. Nie miała bladego pojęcia, skąd się wzięła rana, i ta pustka w pamięci zmroziła jej krew w żyłach.

Ktoś zapukał do drzwi. Marini powoli wsunął głowę do środka. Gdy zobaczył, że Teresa już nie śpi, odetchnął z ulgą.

– Pani komisarz, przyjechał zastępca prokuratora.

– Lucas Ebran jak ulał pasuje do profilu zabójcy – powiedział Gardini, przeglądając raport Teresy. Zastępca prokuratora wyruszył do Traveni, jak tylko dotarła do niego informacja o zatrzymaniu podejrzanego i porwaniu niemowlęcia.

Teresa postanowiła chwilowo zachować milczenie. Wiedziała, że słowa, które sama napisała, skłaniały do przypuszczenia, iż są blisko, a nawet bardzo blisko rozwiązania sprawy.

Ebran umiał polować za pomocą potrzasków, bo nauczył go tego ojciec. Potrafił obdzierać zwierzęta ze skóry, a ludzie często widzieli, jak kręcił się koło domów, podglądał dziewczynki, całe rodziny. Żył jak odludek. Prawdopodobnie był głęboko sfrustrowany, co podsycalo jeszcze ubóstwo i uszkodzenia na ciele, które skrupulatnie ukrywał, chowając ręce pod stół. Teresa podejrzewała, że posiada psychotyczną osobowość, ale żeby mieć pewność, musiałyby poprosić o opinię psychiatry.

Chłopcy, którzy mieli wypadek w lesie, stwierdzili, że Ebran mógł być tym nieznanym, który zaatakował ich kolegę, ale jednoznaczną odpowiedź uniemożliwiły pomalowana twarz obcego i ubrania maskujące jego sylwetkę, a przede wszystkim – stan upojenia, w jakim byli poszkodowani.

Tylko David Knauss nie krył wątpliwości ani rozczarowania.

– To nie są jego oczy – powiedział, gdy zobaczył zdjęcie Ebrana, choć nie miał stuprocentowej pewności. Nie pamiętał szczegółów, nie potrafił wyraźnie opisać okoliczności, w których z największym prawdopodobieństwem uniknął śmierci. Dręczyło go za to coś zupełnie innego. Coś, co Teresa odkryła dopiero podczas rozmowy: chłopak zdał sobie sprawę, że napastnik wcale nie był kimś w rodzaju mitologicznego wojownika, jak sam go sobie wyobraził. Pani komisarz podejrzewała Davida o syndrom sztokholmski: był wdzięczny oprawcy za to, że „przywrócił mu życie”, i czuł się jego dłużnikiem.

Gardini cicho przeczytał ostatnie spostrzeżenia, które Teresa zawarła

w raporcie. Jego mina zdradzała rozczarowanie i niezadowolenie.

– Pasuje, ale zabójcą nie jest.

– Jak widać. To nie on. To tylko kolejny nieprzystosowany społecznie osobnik – powiedziała Teresa.

Ręce Ebrana pokrywały grube blizny, efekt poparzeń, które odniósł jako nastolatek, gdy podpalił szkołę. Oto dlaczego w domu nie znaleźli jego odcisków: bo ich nie zostawia. Skóra na opuszkach palców była zupełnie gładka, choć z wiekiem zamieniła się w twardą powłokę.

Tylko stracili czas, a słuch po dziecku zaginął. Nikt nie widział, jak wyjmowano je z wózka. Jedynym śladem były białe plamy zostawione na kocyku. Jakby tego było mało, godzinę wcześniej nadeszła informacja o śmierci Abrama Viesela.

Teresa patrzyła na tysiącletni bór, który otaczał miasteczko.

– On nie przemieszcza się drogami – stwierdziła. – Blokadę nie mają żadnego sensu.

– Zaczniemy od przeszukania domów – zapewnił Gardini.

Teresa zamknęła oczy i pozwoliła myślom swobodnie płynąć. Przed sobą miała setki hektarów lasu pełne wąwozów i przepaści. On i porwane maleństwo byli gdzieś tam. Nie w jakimś domu, nie w Traveni.

I co mam teraz robić?

Czuła, jak drży jej całe ciało. W drugim pokoju znajdowali się rodzice i brat porwanego niemowlęcia. Teresa jeszcze się z nimi nie spotkała, wolała wpieryw przeczytać ich zeznania. Byli dla niej jak zapalka przytknięta do skóry. Czuła, jak płoną, i bała się, że mogą przyćmić jej jasność myślenia. Bo tylko jedno było gorsze od uganiania się za zabójcą: ściganie porywacza dzieci.

– Tereso, czy wszystko w porządku? – zapytał Gardini.

Nie odpowiedziała. Tkwiła zamknięta w osobistym piekle.

Ono żyje – powtarzała sobie w duchu. Musiała w to wierzyć, chociaż dotychczas nie kierowała się nadzieją. Znowu położyła rękę na brzuchu, tam, gdzie we śnie czuła poruszające się życie, tam, gdzie czasami jeszcze piekła ją blizna. Niemożliwe, a jednak się zdarzało. Ta nienarodzona więź nie zamierzała obumierać i buntowała się przeciwko rozumowi, upływowi czasu i naturalnym prawom wszechświata.

Teresa była pewna, że matka porwanego dziecka czuje dokładnie to samo.

Jej krzyki przepełniły ją niepokojem, a płacz dogłębnie nią wstrząsnął. Wiedziała jednak, że nie były przejawem rezygnacji, lecz wołaniem, by podtrzymać kontakt z maleństwem i pobudzić policję do działania. Teresa instynktownie pragnęła zrobić wszystko, co w jej mocy. Dlatego nie mogła pozwolić sobie na strach.

Spojrzała na Gardiniego.

– Potrzebuję więcej ludzi – stwierdziła.

– Dostaniesz.

– I wojsko. Trzeba przeczesać góry.

Gardini pokiwał głową; na jego twarzy malowała się ulga.

– Biorę się do roboty – obiecał. – Najpierw zadzwonię do Ambrosiniego.

Musimy porozumieć się z prefektem.

Gdy Teresa została sama w pokoju, zrobiła głęboki wdech. Kolejne godziny będą decydujące.

– Mam mapy – powiedział Marini, wchodząc. – Są na nich zaznaczone wszystkie chaty pasterskie w okolicy, aż do granicy państwa.

Zaczął je rozkładać na stole. Teresa i bez nich wiedziała, że oddziały ratunkowe musiałyby rozproszyć się na zbyt wielkiej przestrzeni. Sprawdzenie całego obszaru zajęłoby im kilka dni.

Potrzebowali jakiejś wskazówki, w przeciwnym razie równie dobrze mogliby rybacką siecią próbować wyłowić monetę wrzuconą do oceanu.

– Ile ich jest? – zapytała.

– Coś ponad setkę.

– A tych opuszczonych? Na nich się skoncentrujemy.

– Takich jest większość.

– Musimy mieć drony. Sprawdź w centrali, kiedy mogą nam je dostarczyć.

– Już dzwonię.

Byli zdeterminowani, rozmawiali więc zwięźle i konkretnie, odsuwając na bok wszelkie obawy. Oboje wiedzieli, że jeśli choć jeden członek z zespołu okaże zwątpienie w powodzenie akcji, zarazi nim innych i osłabi łańcuch, który musi przemierzyć dolinę i góry, dotrzeć do dziecka i przynieść je do domu. Teresa potrzebowała każdego z tych ogniw.

Spojrzała na Mariniego.

– Odnajdziemy je – stwierdziła.

Massimo przytaknął krótko i zdecydowanie. Zrozumiał.

Teresa wzięła notatnik do rąk. Musiała dalej spisywać swoje spostrzeżenia,

choć czasami wydawało się jej to stratą czasu. Musiała być metodyczna, narzucić sobie reguły i trzymać się ich, jeśli chciała zrozumieć, w jakim kierunku zmierza jej umysł i z jaką prędkością. Tylko dzięki notatkom przypomniała sobie, skąd wzięła się rana na jej ręce. Nie mogła uwierzyć, że dotarła do punktu, w którym zapomina własne życie, i powtarzała sobie uparcie, że to tylko efekt rozpaczy, a prawdziwą przyczyną jest kumulujące się w niej od kilku dni zmęczenie.

Gdy zniemacka obudziła się z koszmaru, czuła się skołowana, bo nie wiedziała, czy to tylko zmęczenie, czy coś więcej. Może jej ciało zwyczajnie domagało się, by zwolniła i zaczęła żyć nie tylko pracą.

Teraz stała z zeszytem w rękach i wpatrywała się w ostatnie spostrzeżenia. Nabazgrała je, gdy jej umysł balansował już między jawą a snem.

Nie pamiętała ich. Dziwnie się czuła, gdy je czytała – jakby należały do kogoś innego, kogoś ukrytego w niej samej. Ten ktoś najwyraźniej chciał jej pomóc.

– Wszystko w porządku? – zapytał Marini.

– Nie wszystko, ale to akurat tak – odparła z uśmiechem na ustach. Jej serce przyspieszyło. Po raz pierwszy to, co się z nią działo, nie budziło w niej strachu. – Dzieci – dodała. Tak brzmiało ostatnie zapisane słowo.

– Nie rozumiem.

Ona też początkowo nie rozumiała, teraz jednak dostrzegła związek, który jej podświadomość odgadła w półśnie.

– Tego wieczoru miałam pewne przemyślenia – powiedziała, zamykając notatnik. – Pierwszą ofiarą był ojciec Diego Valenta, drugą – matka Lucii Kraviny. Diego i Lucia chyba chodzą do jednej klasy.

– W Traveni w każdym roczniku jest tylko jedna klasa. Dostrzega pani jakiś związek? A co z chłopakiem napadniętym w lesie?

– Abramo Viesel był szkolnym woźnym. Diego powiedział, że dręczył jego kolegę.

– Porwane niemowlę ma starszego brata. Ma na imię Mathias. Jest rówieśnikiem Diega i Lucii – powiedział Marini.

– Czyżby przypadek? Może, ale żeby w tak małej miejscowości?

– Jeśli się zastanowić, David Knauss też jest w pewnym stopniu związany ze szkołą. Widzieliśmy go z kumplami przed wejściem do budynku. Prawie przejechali dzieci na pasach.

Uwaga Mariniego była słuszna, ale zdaniem Teresy oni nie należeli do

tego samego kręgu co reszta ofiar.

– Napastnik pozbawił organów zmysłu pierwszą, drugą i czwartą ofiarę – wyjaśniła. – To jasne, że spotkanie z synem Knaussa nie było przewidziane. On nie jest częścią jego wizji.

Podeszła do okna i otworzyła notatnik, by zaraz go zamknąć. Jej mózg pracował na najwyższych obrotach.

– Seryjny zabójca może przez lata pozostawać w uśpieniu, ale w pewnym momencie jakieś wydarzenie, na przykład utrata pracy, porzucenie lub upokorzenie, wyzwala w nim zabójczy instynkt, który jednak nigdy nie prowadzi do morderstwa w afekcie – myślała na głos. – Zawsze mamy do czynienia z jakimś procesem, a jeśli brakuje kanonicznego motywu i zabójcą kierują motywy psychopatologiczne, tym trudniej ten proces dostrzec.

– W takim razie musimy się zastanowić, co obudziło w naszym zabójcy morderczy instynkt – zauważył Marini.

Teresa odwróciła się do niego mile zaskoczona.

– Inspektorze, wreszcie pan mówi jak policjant – zakpiła. – Czytał pan coś na ten temat?

Massimo nie wyglądał na zadowolonego.

– Niech pani da spokój.

De Carli zawołał ich z progu.

– Pani komisarz, znaleźliśmy ojca Lucii Kraviny. Przekroczył granicę. Właśnie go tu wiozą.

Dante Kravina był młodym góralem o wielkomiejskich nałogach. Podczas przesłuchania powiedział Teresie, że uciekł, ponieważ był już karany za sprzedaż narkotyków.

– Nie chciałem skończyć za kratkami za odrobinę towaru – przyznał się, jakby fakt, że zostawił córkę na pastwę losu, był o wiele mniejszym przestępstwem.

– Kazał pan Lucii wysprzątać dom, żeby zmyć ślady po narkotykach? – zapytała.

– Tak.

– A sam wypucował pan samochód żony.

– Tak.

– Nie martwił się pan o nią?

Mężczyzna wzruszył ramionami; wyglądał na zagubionego.

– Co miałem robić?

Wiele – pomyślała Teresa. Szukać jej, nie pozwolić, żeby sama błąkała się po lesie w stanie szoku. Zaopiekować się córką i zapewnić jej bezpieczeństwo.

– Proszę mi opowiedzieć o mężczyźnie, któremu otworzył pan tamtej nocy – powiedziała zamiast tego.

– Byłem na hajku. Niewiele do mnie docierało. Widziałem, że w rękę trzymał naszyjnik Melanii. Pomyślałem, że miała wypadek, a w domu i w samochodzie był towar. Musiałem go ukryć.

– Czy mógł to być ktoś, kogo pan zna? Może ma pan jakieś zaległości do uregulowania, nieopłaconą działkę? – Teresa zadała rutynowe pytania.

– Nie, to nie ma nic wspólnego z narkotykami. Ten człowiek... nie wiem, jak to powiedzieć. Ten człowiek wyglądał, jakby pochodził z innego świata.

– Proszę go opisać.

– Już mówiłem, że nie byłem sobą. Wiem tylko, że był blady i patrzył na mnie wybałuszonymi oczyma. Nigdy nie widziałem takiej twarzy. Była bez wyrazu. Nieruchoma jak u nieboszczyka.

Ostatnie słowa wywołały u Teresy pewne skojarzenia.

– Jak u ducha? – zapytała.

– Tak, wyglądał jak duch.

Teresa zastanowiła się nad bohaterami tej historii. Krążyli w jej głowie razem ze słowami, które jeśli je połączyć, zaczynały mieć jakiś sens. Przed oczami, niczym klatki filmu, przebiegały jej wydarzenia minionych dni pełne różnych postaci. Każda z nich bardziej lub mniej świadomie zmierzała do epilogu, który jeszcze nie został napisany.

Ofiary. Szkoła. Społeczność. Las. Obcy o pomalowanej twarzy. I *oni*. Teresa poleciła De Carliemu, żeby dokończył przesłuchanie i napisał raport, a Mariniego wzięła na bok.

– Lucia też ciągle mówiła o duchu z lasu – powiedziała.

– Myśli pani, że ona go zna?

Teresa myślała o wiele więcej. Wreszcie odkryła ogniwo łączące zabójcę z ofiarami. Nie chodziło o żaden motyw ani nawet o zaburzenia psychiczne. Z czymś takim jeszcze się nie spotkała, dlatego nie umiała tego określić inaczej niż „logika stada”.

– Myślę, że elementem łączącym ze sobą ofiary są właśnie one. Dzieci.

Dziecko płakało, a jego szloch był rozpaczliwym wołaniem. Jak u małego kosa, który wypadł z gniazda i nieopierzony, nagi, otwierał miękki czerwony dzióbek. Nic nie mogło go od tego odwieść: jak tylko przyszedł na świat, wiedział, że gdzieś jest jego matka, która robi dokładnie to samo. Szuka go. I jeśli on przestanie kwilić, ona nigdy go nie znajdzie.

Mała buzia niemowlęcia była czerwona z wysiłku i atawistycznego strachu, że rozłączono je ze źródłem życia. Mężczyzna podziwiał tę walkę o przeżycie, największą, jaką kiedykolwiek oglądał. Pogłaskał pulchne i miękkie policzki człowieczego maleństwa, dotknął kropielek, które wypływały mu z oczu, i rozpoznał w nim siebie. Zdjął futrzaną czapę z porożem i wytarł sobie twarz do czysta. Dziecko patrzyło na niego i dalej desperacko płakało, choć w jego oczach przebłyskiwała już ciekawość.

Otulił je jagnięcym runem i przytulił do piersi. Delikatnie dotknął rączki, a wtedy miniaturowe paluszki odruchowo zacisnęły się wokół jego palca. Było bardzo silne jak na takiego brzdąca.

Niemowlę znowu rozpłakało się głośno, a on zaczął je naśladować. Zaskoczony chłopczyk otworzył szeroko oczy i wpatrzył się w niego. Przez chwilę wymieniali krzyki, próbując zrozumieć, kim jest ten drugi.

Płacz powoli zaczął cichnąć, pokonany przez sen. Mężczyzna nie przestawał tulić do siebie maleństwa, wsłuchując się w jego oddech i serduszko, które szybko biło tuż przy jego piersi.

Po raz pierwszy od bardzo dawna nie był sam.

56

Diego, Lucia i Oliver siedzieli obok siebie: Lucia po lewej, a Oliver po prawej stronie Diega. Mathias stał między nimi a drzwiami.

On jest przywódcą – pomyślała Teresa. Chroni ich własnym ciałem przed tym, co niewiadome. Czuje na sobie odpowiedzialność za grupę, nawet teraz, gdy porwano jego braciszka. Płakał i się tego wstydzi, ale mimo to nie porzucił swojej roli. Prawie każdy z nich został w ostatnich dniach głęboko zraniony, a jednak razem byli spokojni. Smutni, ale nie zagubieni.

Nie wystraszyła ich nawet nocna podróż do komisariatu policji. Dochodziła druga, a na ich twarzach nie było ani śladu zmęczenia. Hugo Knauss przygotował dla nich ciepłe kakao i cały zestaw słodczy na stole, z którego zniknęła już połowa. Teresa stwierdziła, że to dobry znak.

Przywitała się z nimi, a oni odpowiedzieli jej nieśmiało. Zignorowała puste krzesła i zamiast tego usiadła na blacie biurka, zwieszając z niego nogi. Wzrokiem zachęciła Mariniego, żeby zajął miejsce na podłodze. Był zaskoczony, ale posłusznie to wykonał.

Teresa długo się zastanawiała nad tym, co powinna powiedzieć, i w końcu doszła do wniosku, że szczerłość to najlepszy sposób, żeby zdobyć ich zaufanie.

– Potrzebuję waszej pomocy – powiedziała prosto z mostu. – Muszę znaleźć tego, kto skrzywdził waszych rodziców i porwał braciszka Mathiasa.

Dzieci przyglądały się jej uważnie. Nieczęsto widywały dorosłego, który okazywał swoją bezradność.

– I nie wiesz, jak to zrobić? – zapytała Lucia.

– Nie mam bladego pojęcia.

– Dlatego się boisz?

– Bardzo.

Dziewczynka popatrzyła na przyjaciół, a Teresa zrozumiała, że to niema prośba o pozwolenie na zabranie głosu.

– Ja też się kiedyś bałam – wyrzuciła z siebie.

Mathias spojrzał na nią i dziewczynka zamilkła. Nie było w nim złości, nie wykonał żadnego gestu, który skłoniłby ją do milczenia. Wystarczyło samo spojrzenie – spojrzenie przywódcy.

Teresa udała, że niczego nie widziała.

– Ale teraz już się nie boisz? – zapytała dziewczynkę.

Lucia pokręciła głową, ale dalej milczała. Patrzyła w dół, na ciastko, które trzymała w ręce. Była posłuszna poleceniu.

– Chcę znaleźć sprawcę tych wszystkich strasznych rzeczy – powiedziała Teresa – ale przede wszystkim chcę znaleźć twojego brata, Mathiasie.

Chłopiec wytrzymał jej wzrok bez słowa.

– Nie chcesz, żeby wrócił do domu? – zapytała.

Jego usta zadrżały.

– Może lepiej mu tam, gdzie jest – odparł.

Teresa zauważyła, że Marini aż zeszytniał, miała jednak nadzieję, że on też będzie jej posłuszny i nie piśnie ani słowa.

– Dlaczego tak uważasz? – zapytała chłopca.

Mathias zaczął obgryzać paznokcie. Był zdenerwowany. Nie chciał z nią o tym rozmawiać i Teresa uszanowała jego decyzję.

– Rozumiem, że chcesz go chronić, ale jest jeszcze malutki i musi być ze swoją mamą – wyjaśniła. – I z tobą. Potrzebuje was.

Nie wspomniała o ojcu. Zauważyła na szyi chłopca siniaki, których mimowolnie dotykał. Zastanowiła się, czy w podświadomy sposób nie próbuje jej czegoś powiedzieć. Kołnierzyk koszulki sięgał za nisko i niewiele skrywał. Matka Mathiasa miała podobne znaki na rękach.

Chłopiec milczał. Teresa wcale mu się nie dziwiła – w końcu była dla niego obcym człowiekiem, który próbuje wyciągnąć z niego największą i najbardziej bolesną tajemnicę. Poczula się jak wścibska egoistka.

– Był kiedyś jeden człowiek, który mnie skrzywdził – zaczęła opowiadać, nie zastanawiając się nawet nad reakcją Mariniego.

Dzieci przyjrzały się jej uważniej.

– Bardzo go kochałam – mówiła dalej. – Gdy mnie krzywdził, zastanawiałam się, co go tak bardzo zdenerwowało, na czym polega moja wina.

– I na czym polegała? – zapytała Lucia. Bez wątpienia była najodważniejsza z grupy.

– Na niczym – odpowiedziała Teresa. – Żaden nasz błąd nie

usprawiedliwia tego, kto nas krzywdzi. Ale trochę mi zajęło, zanim to zrozumiałam.

– I co zrobiłaś potem? – zapytał Oliver.

– Przegoniłam go.

– Kopniakiem?

Teresa się roześmiała.

– Nie byłoby to takie złe.

– Ja bym go kopnął.

Teresa czule zmierzwiła chłopcu włosy.

– Nie musimy na siłę rozstawać się z tymi, których kochamy, żeby ich chronić – powiedziała, patrząc na Mathiasa. – Ale trzeba przyjąć każdą pomoc, żeby trzymać z daleka tego, kto *czyni* zło.

Potem zamilkła i czekała na reakcję chłopca. Mathias przygryzał wargę, jakby chciał powstrzymać pchające się na język słowa.

– Markus wróci tylko do nas? Do mnie i do mamy, prawda? – zapytał w końcu z oczami pełnymi łez. Prosił ją o opiekę – nad nim, nad bratem i nad matką.

– Obiecuję ci to.

Mathias spojrzał na przyjaciół. Teresa dostrzegła ich milczące porozumienie, typowe dla stworzeń silnie związanych ze sobą emocjonalnie. Te dzieci były dla siebie jak rodzina, dlatego czuwały nad swoją wspólną tajemnicą. Niewinnym sekretem, który jednak każdego dnia wystawiał na próbę ich umiejętność bronienia się przed światem. Teresa przypomniała sobie, jak istotna w tym wieku jest lojalność – tak niewiarygodnie krucha później, gdy staną się dorośli.

Przyjaciele nauczyli się dbać o siebie nawzajem i, jak się zorientowała, nie zatarcili przy tym swojej niewinności ani nie zrezygnowali z magii wieku dziecięcego. Zachowali czyste serca, chociaż wszystko wokół nich zostało zbrukane. Pomimo majestatycznego krajobrazu, bajkowych pejzaży i milczących szczytów w Traveni dochodziło do potwornych nadużyć, które jednak miały nigdy nie opuścić czterech ścian domowego zacisza; patologii, które Teresa zbyt często oglądała w swojej pracy. Ten kontrast wprost zwał z nóg.

To tak, jakby patrzeć na Boga i widzieć rogatego Szatana – pomyślała.

Ale nie grzechy najbardziej ją bulwersowały, lecz wysiłki społeczności, by ocalić własną integralność za cenę ukrywania grzeszników i wydania ofiar

w ręce oprawców. Ze złością pomyślała o plakatach – którymi oblepiono całe miasteczko – nakłaniających do powszechnego protestu przeciwko budowie nowej stacji narciarskiej, uważanej za wrogą inwazję, podczas gdy w sprawie tych dzieci nikt nie ruszył nawet palcem.

Zjednoczeni przeciwko zewnętrznemu światu i ślepi – z wygodnictwa – na własne winy.

Lucia zaczęła szarpać ją za spodnie, żeby zwrócić na siebie uwagę.

– My się nie boimy, bo jesteśmy razem. Prawie codziennie spotykamy się w lesie – powiedziała, uszczęśliwiona, że wreszcie może o tym powiedzieć komuś zaufanemu. – Ty też powinnaś spróbować, jeśli się boisz.

Teresa się uśmiechnęła.

– Powinnam porozmawiać z jakimś przyjacielem?

– Tak.

– Jak wy między sobą?

Dziewczynka znów przytaknęła.

– Rozmawiamy o strasznych rzeczach, których się boimy – wyznał Oliver. – I wtedy robią się mniej straszliwe.

– Tak się nie mówi – poprawiła go Lucia.

– A właśnie że się mówi!

– Ty też o nich rozmawiasz, Mathiasie? – zapytała Teresa.

Chłopiec przytaknął głową.

– Ale ja się nie boję o siebie – wyznał.

– Zwierzałeś się ze swoich obaw o braciszka, prawda?

– Tak.

– Piękna postawa – pochwaliła Teresa. – Silniejsi zawsze muszą bronić słabszych.

Mathias uśmiechnął się, mile połączony uznaniem. Popatrzył na Lucię i kiwnął głową.

– Mamy takie sekretne miejsce w wąwozie za jaskinią, blisko wodospadu – zdradziła dziewczynka.

– Tam odpoczywacie? – zapytała Teresa.

– T-tak. Do-dobrze nam tam.

Diego też postanowił obdarzyć ją zaufaniem.

– Tylko wy tam przychodzicie?

Dzieci wymieniły spojrzenia.

– Ten człowiek nas śledził – zdradził Mathias. – Czuję jego obecność.

– Ja też – przyznał Oliver.

– Jaki człowiek? – zapytała Teresa.

– Ten, który do nas podszedł, gdy Lucia znalazła swoją mamę. Przestraszyliśmy się i zaczęliśmy krzyczeć, ale zaraz zrozumieliśmy, że on chce się tylko bawić.

– Bawić?

– Tak, pomalował sobie twarz, jak klaun.

Lucia popatrzyła na Teresę.

– Ja im mówiłam, że to duch, ale mi nie wierzą – odezwała się.

– T-to nie by-był duch!

– W co chciał się bawić? – zapytała Teresa.

– Chodził na kolanach, jakby też był dzieckiem – odpowiedział Oliver. – Ale widzieliśmy go już wcześniej przed szkołą. Wtedy udawał starca, a na głowie miał kaptur, jak jakiś czarodziej.

– Coś do was mówił? Może o coś prosił? – zapytała, siląc się na spokojny głos.

– Nie. On nie umie mówić. Potem już go więcej nie widzieliśmy – odparł Mathias.

– Mnie nie było, gdy przyszedł – wtrąciła się Lucia – ale przyniósł mi do domu to.

Rozpięła kurtkę i wyciągnęła spod niej szmacianą lalkę z jagodowymi oczami.

Teresa popatrzyła na Mariniego. To jej wystarczyło.

– Dziękuję – zwróciła się do dzieci. – Już mi lepiej. Przestałam się bać.

– Widzisz? To działa! – stwierdziła Lucia.

Teresa pogłaskała ją po włosach.

– Dokończcie kakao – powiedziała. – Potem odwiozą was do domu.

– Na sygnale? – zapytał Oliver.

– No jasne!

Teresa odciągnęła Mariniego na bok. Zignorowała jego badawcze spojrzenie. Z pewnością zastanawiał się, czy historia, którą opowiedziała, była prawdziwa, czy zmyślona. Brakowało mu wrażliwości, a może doświadczenia, żeby wiedzieć, że dzieciom nie można wciskać bajek, bo posiadają nieomylny szósty zmysł, który gdy wykryje kłamstwo, każe im raz na zawsze stracić zaufanie do tego, kto je oszukał.

– On mści się za dzieci – szepnęła.

– Podśluchał ich rozmowy.

– Tak. Ukarał dorosłych, którzy je dręczyli. Przy każdym dziecku był ktoś, kto zadawał mu cierpienie. Diego miał nieczułego i surowego ojca, Lucia – matkę narkomankę, a Oliver – sadystycznego woźnego. – Teresa poszukała wzrokiem czwartego dziecka. – Mathias był bity przez ojca. Zwierzę obdarte ze skóry i zawieszona w oknie dziewczynki nie było groźbą, lecz darem. Karmimy tych, których kochamy.

– Ale przecież porwał brata Mathiasa, zamiast ukarać ich ojca – sprzeciwił się Marini.

Teresa nie zdążyła odpowiedzieć, bo właśnie odezwał się Oliver.

– Człowiek z lasu przyniósł nam prezenty. Chcecie je zobaczyć?

Wąwóz Slivy był czarną dziurą między miasteczkiem a starym dworcem kolejowym. Skalnym urwiskiem głębokim prawie na sto metrów. Tej nocy ścieżkę, która prowadziła na dół po leśnym runie, przemierzali policjanci uzbrojeni w latarki. Jasne punkciki tańczyły w ciemności jak świetliki, schodząc jeden za drugim po zygzakowatej dróżce.

Orszak otwierali Teresa i Marini, za nimi kroczyły dzieci, potem ludzie z zespołu operacyjnego, a na końcu policjanci Hugona Knaussa.

Lucia, Mathias i Diego skakali jak młode kozice, nie tracąc równowagi na wyboistych korzeniach. Oliver natomiast postanowił dać rękę pani komisarz i trzymał się jej kurczowo. Teresę krzepił ten miękki i czuły kontakt, który kontrastował z otaczającym ich lodowym krajobrazem. Ściany wąwozu były strome, na dole zaś znajdowało się kamieniste koryto zamarznętego potoku. Było tak zimno, że nawet wartki nurt zamienił się w zmrożone płyty uczezione brzegów. Nad korytem snuła się lekka mgła. Ze skał i wystających konarów zwisały wyrzeźbione wiatrem sopele lodu. Otoczenie przypominało skrawek wymarłego świata. Teresie trudno było oprzeć się wrażeniu, że tu, na dole, ich bijące serca są jedynym przejawem życia. To przygnębiające uczucie było na tyle sugestywne, że po raz pierwszy zrozumiała, czym tak naprawdę jest klaustrofobia.

Dzieci poprowadziły policjantów przez zawieszane mostki i śliskie schodki. Poruszały się pewnym krokiem, bez nawet odrobiny strachu. Mrok nie miał władzy nad ich umysłami. Tworzyły jedność z tą dziką naturą, bo same nie zostały jeszcze na tyle udomowione, żeby się jej bać.

W tych dramatycznych godzinach Teresa obserwowała, z jaką siłą i spokojem stawiają czoła ciemnościom oraz śmierci.

Ufnie szła za nimi, czuwając nad tym, gdzie stawiają kroki, choć przecież to ona stąpała niepewnie.

Pomyślała o obawach, które dręczyły ją w minionych dniach, i w jednej chwili zrozumiała, że jest w stanie im podołać. Sama może zdecydować, jak

przeżyje życie, które jej jeszcze pozostało, a ma do wyboru tylko dwa wyjścia: albo będzie powoli przygasać, albo z odwagą podejmie wyzwanie.

Przeszli przez szczelinę w skale: w wilgotnej czarnej jaskini, w której unosiła się drażniąca nos woń, Teresa poczuła się jak w potrzasku. Wtedy Oliver mocniej ścisnął jej dłoń.

– Nie bój się – usłyszała jego głos wzmocniony przez echo.

– Nie będę – odparła, a znaczenie tych słów wykraczało daleko poza tę chwilę.

Gdy wyszli z drugiej strony, Lucia, Mathias i Diego już na nich czekali pod kryształowym wodospadem. Dzieci pokazały skalną wnękę pełną zmrożonych rozprysków wody.

Teresa puściła rękę chłopca i razem z Marinim podeszła do wskazanego miejsca. Promienie latarek skierowali na mech. Pod naturalną poduszką zabłysł jakiś kwadratowy przedmiot. Marini wziął go do ręki: to było metalowe pudełko. Rysunek na pokrywce wyblakł, ale nietrudno było rozpoznać białe króliczki jadące na rowerze.

– Możesz otworzyć – zachęciła Lucia.

Marini zdjął pokrywkę i poczuł się tak, jakby czas nagle stanął w miejscu. Spojrzał na Teresę, ale ona też nie wiedziała, jak zareagować. Zawartość pudełka w żaden sposób nie pasowała do historii, którą powoli odkrywali.

16 września 1993

Osobnik Alfa jest aktywny i świadomy swojego bycia. Trudno jednak stwierdzić, w jaki sposób postrzega własną osobę. Zastanawiam się, czy uzmysławia sobie fakt upływu czasu i w związku z tym także istnienia przyszłości rozumianej jako wizja i projekcja siebie samego w innym momencie, który ma dopiero nadejść. Czy zadaje sobie pytanie, kto z drugiej strony ściany podaje mu to, co niezbędne do życia? Ponieważ nigdy nie pokazuję nic więcej oprócz rąk odzianych w rękawiczki, które dostarczają żywność i ubranie, nie sędzę, aby był świadom mojej obecności. Dla niego światem jest jego pokój. Alfa nie zna innego życia poza tym, które ja mu stworzyłem, a mimo to bez cierpienia dostosowuje się do tak wielkich ograniczeń. Długo rozważałem nad tym, jak żywa istota może tyle przetrwać: odpowiedzią jest jego bogaty świat wewnętrzny, który rekompensuje mu ubóstwo zewnętrznych bodźców. Jego siła witalna jest samowystarczalna.

Omega jest natomiast we wszystkim uzależniony od Alfy, swojego „ojca”. Jest osobnikiem pasywnym, którego bezczynność jest w stanie zabić. Cały czas spędza skulony w kącie, który obrał sobie za schronienie. Przypuszczam, że wyrobił w sobie przekonanie, iż jest jedynie częścią „ojca”. Żyje, ponieważ żyje tamten.

Kilka tygodni temu wprowadziłem pewne ćwiczenia rozwijające mowę, żeby zrozumieć, czy ta umiejętność jest wrodzona, czy nie; czy opóźnienie obydwu osobników jest trwałe, czy może da się je cofnąć. Jak było do przewidzenia, Alfa wykazał większe zdolności i chęci do nauki.

Chociaż ciekawi mnie to nowe doświadczenie, ze względu na wiek osobników zastanawiam się, czy warto kontynuować eksperyment, a jeśli nie, to w jaki sposób go zakończyć.

Metalowe pudełko leżało na stole pośrodku pokoju. Było otwarte. Nikt z obecnych nie mógł oderwać wzroku od jego zawartości.

Teresa włożyła gumowe rękawiczki i wzięła do ręki dwa przedmioty. Mniejszy z nich położyła sobie na dłoni. Odznaka błyszczała w świetle neonowych lamp. Odwróciła ją na drugą stronę, gdzie wyryto napis.

– W. Wallner – przeczytała Teresa na głos.

Obok nazwiska widniała data: 1 stycznia 1936 roku.

W sali obrad posterunku w Traveni nikt nie śmiał o nic pytać. Nawet Hugo Knauss stracił gdzieś swoją charakterystyczną minę.

– Czy to przedmioty służące do mszy satanistycznych? – zapytał w końcu Parisi. Brwi miał ściągnięte. Natrętnie gładził bródkę, od której w chwilach zdenerwowania nie potrafił oderwać rąk.

Teresa się uśmiechnęła.

– Nie. To laska Eskulapa, symbol medycyny – wyjaśniła, pokazując wizerunek węża owiniętego wokół kija.

Teresa obracała odznakę w palcach, starając się odcyfrować jej sens. Nie miała pojęcia, jakiej układanki była częścią.

– Wallner – powtórzył Marini. – Gdzieś słyszałem. Coś pani mówi to nazwisko?

– Jest dosyć powszechne w krajach niemieckojęzycznych – odparła. – W każdym razie wątpię, żeby odnalezienie właściciela w czymś nam pomogło.

Włożyła odznakę do plastikowego woreczka. Nie rozumiała, po co ktoś miałby dawać taki prezent dzieciom?

– A to drugie? – zapytał Parisi. – To też jakiś symbol?

Teresa przyjrzała się drugiemu przedmiotowi z pudełka. Już sam jego widok budził złe skojarzenia. Jego przeznaczenie nie było dla niej jasne, czuła jednak, że nie chodzi tu o niewinny podarek.

Bawełniany kaptur miał kształt zwyczajnego trójkąta z dwoma otworami

na oczy, w które wszyto od środka cienką siateczkę. Był brudny i rozpruty w kilku miejscach. Przypominał nakrycia głowy używane przez penitentów podczas obchodów paschalnych w niektórych miejscowościach na południu Włoch. Albo kaptury Ku Klux Klanu.

Ta ostatnia myśl była dość niepokojąca. Nie wiedziała, o co w tym wszystkim chodzi.

Profil zabójcy nabierał coraz bardziej niejasnych i sprzecznych konturów. Teresa nigdy nie spotkała się – ani w teorii, ani w praktyce – z tak niespójnym portretem psychologicznym. Fakt, że atakował z wielkim sadyzmem, w niczym nie odpowiadał motywom, którymi kierował się przy wyborze ofiar. Chronił dzieci, a jednocześnie unicestwiał ich rodziny. Prawdopodobnie czuł na sobie ciężar winy i dlatego przyszedł do domu Lucii z przedmiotem należącym do jej matki, a potem dał małej prezent. Dlatego też ułożył ciało pierwszej ofiary, wypuścił Melanię Kravinę i ubrał Abrama Wiesela, jakby chciał ukryć fakt, że obdarł go ze skóry.

Teresa zastanawiała się, czym są dla niego trofea, które zabrał ofiarom, i jakimi fantazjami się kieruje.

– Czy te przedmioty z czymś się panu kojarzą? – zapytała Hugona Knaussa, zdejmując rękawiczki i wrzucając je do kosza.

– Nie, pani komisarz.

– Na pewno? Może jakiś mieszkaniec doliny przejawia dość kontrowersyjne zainteresowania?

– Chodzi pani o sekty rasistowskie? Nie.

Najwyraźniej oboje pomyśleli o tym samym. Teresa przypuszczała, że wszyscy odnieśli podobne wrażenie.

– Ale gdyby tak było, powiedziałby mi pan?

– Co pani sugeruje?

– Ja nigdy niczego nie sugeruję, sierżancie Knauss.

– Pani komisarz – wtrącił się De Carli, który właśnie wszedł do sali. Gdy jego wzrok padł na stół, zapomniał, po co przyszedł. – Czy chodzi o to, o czym myślę? – zapytał.

– A o czym myślisz? – zapytała Teresa.

– O rasizmie, płonących krzyżach, sekcje, przemocy... Idę w dobrym kierunku?

– Kto wie – odparła komisarz. – Jeśli masz jakieś interesujące skojarzenia, podziel się nimi.

– W tej chwili mam tylko raport z przesłuchania ojca Lucii.

Położył kartki na stole. Teresa przejrzała je w zamyśleniu.

– Nie chcę na razie, żeby ten człowiek wracał do domu – powiedziała. – Przez następne dni dziewczynką zajmą się dziadkowie.

– Zarzutów w jego przypadku nam nie brakuje, pani komisarz. Poza tym raz już uciekł, mógłby znowu dać nogę.

– Przypuszczam, że sędzia będzie podobnego zdania.

Nie przyznała się, że już rozmawiała z Crespim. Chciała się upewnić, że ten człowiek w najbliższym czasie nie będzie mieszkał z córką. Wiedziała już, że zajmą się nim pracownicy opieki społecznej i pomogą mu naprawić relacje, które prawie zniszczył. Nie wspominając o tym, że mógł też zrujnować całe życie Lucii.

Teresa spojrzała na zegarek i wtedy przypomniał jej się ten, który należał do Roberta Valenta, a który zabójca zapiął na kukle tarczą w dół. Nadal nie rozgryzła znaczenia tego gestu. Do świtu brakowało zaledwie kilka godzin, wreszcie będą mogli wszcząć poszukiwania. Wszyscy liczyli, że warunki atmosferyczne okażą się sprzyjające. Nikt nie zdołał wypocząć. Myśl o małym Markusie w rękach zabójcy nie pozwalała im zmrużyć oka.

Z głową opartą na rękach i obolałymi plecami Teresa przeczytała zeznania Dantego Kraviny i przedstawiony przez niego opis zabójcy.

– Brak mimiki – mruknęła do siebie.

Marini podszedł do niej.

– Czy to jego słowa? – zwrócił się do De Carliego.

– Niezupełnie. Ale nie miał co do tego wątpliwości. Jego twarz wywarła na nim ogromne wrażenie.

– Brak mimiki, naśladownictwo i trudności w wypowiedaniu się – inspektor przeczytał na głos jednym tchem.

Teresa podniosła głowę i spojrzała na niego. Był bardzo skupiony, a to rozpało jej ciekawość.

– Coś ci to mówi? – zapytała, chociaż nie spodziewała się żadnych rewelacji.

Massimo popatrzył na nią tak zaskoczony, jakby sam nie wierzył w to, co zaraz powie.

– Przypadek dziecka numer trzydzieści dziewięć – odparł.

Teresa nie zrozumiała.

– Dziecka numer trzydzieści dziewięć? – powtórzyła za nim.

Marini usiadł obok i wystukał coś na klawiaturze komputera.

– Właśnie czytam podręcznik psychologii – wyjaśnił. – Jest w nim mnóstwo niepotrzebnych informacji, ale jedna przyciągnęła moją uwagę, bo jest... niewiarygodna. Aż strach pomyśleć, że to się wydarzyło naprawdę. Mam! Johann Albert Wallner – i przeczytał na głos tytuł znalezionej artykułu.

Teresie zakręciło się w głowie. Wallner. Jak nazwisko wyryte na lasce Eskulapa.

– Kto to jest? – zapytała.

– Austriacki psychiatra pozbawiony prawa wykonywania zawodu – odparł Marini – za zbrodniczy eksperyment, który przeprowadził jakieś czterdzieści lat temu. Wallner... – mruknął do siebie i zerknął na nazistowski symbol. – Jego ojcem był Wolfgang Wallner, lekarz i oficer SS. Ta odznaka musi mieć jakiś związek z jego funkcją.

– Może pamiątka po ukończonych studiach – zaproponowała Teresa, wykonując szybkie obliczenia w myślach. Starła się zachować spokój, opanować oddech, ale nie było to łatwe. W głowie pojawiło się niewygodne pytanie: jak to możliwe, że choć przeczytała wszystko, co dotyczyło psychologii, tego akurat nie zapamiętała? Przecież jak podawał znaleziony w sieci artykuł, przypadek dziecka o numerze trzydzieści dziewięć był swego czasu bardzo głośny i przytoczono go nawet w podręczniku, który jakimś zrzędzeniem losu właśnie czytał Marini.

Czy pominęłam tę lekturę, czy to mój mózg wykasował część informacji?

– O jakim eksperymencie mówicie? – zapytał Knauss.

– O potwornym doświadczeniu polegającym na pozbawieniu dzieci matczynej opieki, przeprowadzonym kilka kilometrów za naszą granicą – wyjaśnił Marini. – Wallner zainspirował się badaniami Reného Spitza, innego austriackiego psychoanalityka, praktykującego w Stanach Zjednoczonych, z tym że posunął się o wiele dalej.

– Co zrobił? – zapytał De Carli.

– Prowadził osobliwy sierociniec. Opiekunkom, które zajmowały się noworodkami i niemowlętami, zakazał jakichkolwiek przejawów matczynej troski i okazywania uczuć. Maluchy nie posiadały imion, lecz numery zawieszane na łóžeczkach. Nazywano to „depersonalizacją”.

– I to było legalne? – zapytał Parisi.

– Raczej nie – odparł Marini – ale Wallner i jego współpracownicy wcale

się tym nie przejmowali. Opiekunkom nie wolno było mówić do dzieci ani nawet utrzymywać kontaktu wzrokowego. Na głowę wkładały kaptur z dwoma otworami na oczy, aby nie zdradzać wyrazu swojej twarzy.

Wszyscy wstrzymali oddech i skupili wzrok na kapturze z pudełka. Teresa domyślała się, jakie pytania krążą po głowie jej ludziom: kto miał go na sobie, w jakim chorym celu i, przede wszystkim, kto musiał na niego patrzeć.

– Niemowlęta karmiono i myto, ale poza tym były pozbawione jakiegokolwiek formy macierzyńskiej troski – kontynuował Marini. – Bardzo szybko pojawiły się pierwsze objawy takiego traktowania: bezsenność, odrzucenie kontaktu fizycznego, apatia, opóźnienie w rozwoju motorycznym i brak mimiki. Zaobserwowano je u wszystkich dzieci oprócz jednego: chłopczyka z łóžeczka o numerze trzydzieści dziewięć. To niemowlę pozostawało aktywne i nie cofało się w rozwoju, wręcz przeciwnie. Wallner dostrzegł w nim „ojca”, czyli – według hipotezy Freuda – naturalnego lidera obdarzonego nadzwyczajną wewnętrzną siłą.

– Co stało się z tymi dziećmi? – zapytał De Carli.

– Nowo zatrudniona pielęgniarka doniosła na Wallnera i do sierocińca wtargnęła policja. Dzieci uratowano i po kilku miesiącach objawy zaczęły się cofać aż do całkowitego zaniku. Ale Wallner zdołał uciec, zabierając ze sobą chłopczyka z łóžeczka numer trzydzieści dziewięć, swoje największe odkrycie.

– Napisano, jak miał na imię? – Teresa starała się zapanować nad drżeniem głosu.

– Andreas Hoffman. Nigdy nie odnaleziono ani Wallnera, ani dziecka. Najbliższa współpracownica doktora, Agnes Braun, została skazana na dwadzieścia lat więzienia, a Magdalena Hoos, dziewczyna, która opowiedziała o wszystkim policji, została na powrót przyjęta do sierocińca, kiedy ponownie go otwarto. Jakiś czas później śledczy odkryli, że Wallner miał obsesję na punkcie nazistowskiej eugeniki.

Andreas – pomyślała Teresa. Wreszcie jakaś informacja.

– Biedne dziecko, ciekawe, jak skończyło – powiedział De Carli. Marini zaklął, a Knauss opuścił oczy na spodnie, które nerwowo gładził.

Teresa otrząsnęła się z szoku i powiodła wzrokiem po swoich ludziach.

– Nic do was nie dociera? – zapytała. – To on. Nasz zabójca to właśnie nieodnalezione niemowlę.

Wstała roztrzęsiona. W jednej chwili zapomniała o swoich problemach.

– Maluje sobie twarz na biało, ponieważ najbardziej prymitywną formą miłości jest utożsamienie, a on każdego dnia oglądał biały sufit i biały kaptur. Myślałam, że cierpi na sprzężone zaburzenia osobowości ze względu na skrajnie różne podejście do ludzi, z którymi się styka. Ale on nie ma osobowości, nie w sensie medycznym. Naśladuje tego, z kim ma do czynienia, bo nigdy nie wyrósł z etapu niemowlęcego. To jego sposób na komunikowanie się.

Teresa wreszcie zrozumiała, dlaczego psychologiczny i behawioralny profil Andreasa wydaje się tak niespójny, dlaczego zawiera tyle sprzecznych ze sobą elementów, których w żaden sposób nie da się połączyć.

Przyjęte przez nich założenia były z natury błędne.

– Nie można go sklasyfikować, bo psychologicznie nigdy się nie narodził – powiedziała. – Dlatego nie da się zastosować wobec niego narzędzi psychologii śledczej.

– Ale potrafi nawiązać relację z dziećmi – zauważył Marini.

– Owszem... Jednak żeby odkryć, w jaki sposób i dlaczego, musimy się dowiedzieć, jak wyglądało jego dotychczasowe życie – odparła Teresa. – Czy miał dom? Czy miał jakiegokolwiek towarzystwo? I co się stało z porywaczem?

– Może Wallner porzucił go i uciekł. Albo ukrywał się w górach przez kilka dekad, Bóg wie gdzie – zasugerował Parisi. – Może umarł, a wytwór jego eksperymentu zdołał przeżyć. Ale co mogło rozwścieczyć Andreasa Hoffmana?

Teresa zastanowiła się nad tym, w jaki sposób mężczyzna zatrzymał młodzieńców w lesie. W jej pamięci pojawiło się stado uciekających zwierząt podczas wizji lokalnej.

– Jego równowagą zachwiała ingerencja z zewnątrz – powiedziała. – Zszedł w doliny, jak przestraszone kozice.

– Jaka ingerencja?

Teresa spojrzała na zawieszoną na ścianie mapę i palcem zakresliła obszar nowej stacji narciarskiej.

– *Ta* ingerencja. Maszyny i robotnicy. Wycinka lasu i nieustanne kontrole. Musimy ograniczyć poszukiwania do tego obszaru, zaczynając od części północnej, najbardziej zalesionej i dzikiej. Chodzi o pasterską chatę albo jakieś obozowisko.

– Na północy i na północnym zachodzie są tylko skalne ściany. Tam raczej go nie znajdziemy. Na północnym wschodzie są kopalnie odkrywkowe

w Osvan. To niezalesione tereny. Same głazy – powiedział Knauss. – I nic więcej.

– Kopalnie czego?

– Soli, ołowiu i cynku, i jeszcze kamieniołom, ale teraz to opustoszałe miejsce, a roślinność jeszcze nie odrosła.

– To będą granice naszych poszukiwań – oznajmiła Teresa.

– Nie rozumiem jednego – wtrącił się Marini. – Dlaczego porwał małego Markusa, a starszego brata zostawił na pastwę losu?

Teresa miała na to gotową odpowiedź.

– Dlatego że Mathias nigdy nie przyznał się przed przyjaciółmi, że też padł ofiarą przemocy, ale często głośno martwił się o braciszka.

– Ale zabójca mógł zamordować ojca i uratować obu chłopców.

Teresa popatrzyła na mrok za oknami. Powoli się rozpraszał. Wkrótce będzie mogła wyjść i szukać dziecka, a także zabójcy, który stał się dla niej pierwszą ofiarą na długiej liście.

– Radykalnie zmienił *modus operandi* – odparła. – Myślę, że na widok niemowlęcia coś się w nim obudziło. Może w jego podświadomości pozostał ślad po innych dzieciach z sierocińca. Pamięta płacz. Pamięta noce spędzone na wsłuchiwanie się w szmer oddechów.

Teresa zdjęła okulary i od razu zaczęła nerwowo przygryzać zębami zauszniki.

– Przypomniał sobie wcześniejsze życie – powiedziała. – I chce do niego wrócić.

60

20 września 1993

Z ciężkim sercem doszedłem do wniosku, że powinienem zakończyć eksperyment.

Uważam tak, ponieważ warunki przestały mi gwarantować bezpieczeństwo. A przez warunki rozumiem głównie to, że Alfa przeżył. Moje największe odkrycie stało się zagrożeniem dla mojego życia, nad czym ubolewam.

Osobnik żyje dłużej, niż zakładały moje najbardziej optymistyczne prognozy, i trudno mi dalej utrzymać go w zamknięciu.

Zastanawiam się, co by się stało, gdyby naprawdę uświadomił sobie moją obecność oraz to, w jakich warunkach musiał dojrzewać. Nie chcę znać odpowiedzi na to pytanie.

Z kolei osobnik Omega nie stanowi żadnego problemu, ale też i nie ma z niego korzyści.

Rozwiązanie nadejdzie wraz z następnym posiłkiem.

Świt wstał nad doliną i przyniósł ze sobą pogodny poranek. Gdy światło rozlało się na czystym, sprzyjającym poszukiwaniom niebie, Teresa westchnęła z ulgą. Zdrzemnęła się trochę, przebudzając się jednak co pół godziny z duszą na ramieniu i ponurymi myślami. Niełatwo czekać w bezczynności, ale jeszcze trudniej koordynować działania na dystans. Wolałaby znaleźć się w lesie, wpatrywać się w gęstwinę własnymi oczami, a nie za pomocą sztucznych źrenic dronów. Pamiętała, z jakim podnieceniem śledziła Lucasa Ebrana: czuła się wtedy żywa, pożyteczna, miała wrażenie, że jej ciało i umysł nadal pracują, robią, co do nich należy. A to nie było już wcale takie oczywiste. Chciała gonić za śladami, dobyć z siebie resztki sił i zmusić ciało do wysiłku, sięgnąć ręką po dziecko.

– Ale które dziecko? – zapytała samej siebie ku własnemu zdziwieniu.

Teraz, gdy poznała początek tej historii pełnej przemocy i śmierci, nie potrafiła myśleć o Andreasie Hoffmanie inaczej jak o ofierze, która pomimo wszystko zdołała w jakiś sposób przetrwać. Teresa próbowała wyobrazić sobie, jak musiało wyglądać jego życie, usiłowała nakreślić nowy profil, i to bez odwoływania się do statystyk, badań i doświadczenia. Nie mogła się na niczym oprzeć, ponieważ prawdopodobnie nie było na świecie drugiej istoty takiej jak Andreas. Mentalnie nadal był dzieckiem, bo nikt mu nie pomógł rozwinąć narzędzi koniecznych, by przystosować się do dorosłego życia. Mimo to jakoś sam sobie poradził, wypracował inne metody, o których naturze Teresa nie miała pojęcia. Jego umysł nigdy się nie narodził, a jednak pozostawał aktywny.

Był istnieniem pozbawionym miłości.

Na placu budowy nowej stacji narciarskiej wylądował śmigłowiec ratunkowy, gotowy w każdej chwili wzbić się w powietrze i lecieć po dziecko. Dwa pozostałe helikoptery obrony cywilnej krążyły nad wytyczonym obszarem. Ludzie Hugona Knaussa wyruszyli o pierwszym brzasku, żeby przygotować teren. Oddziały wojska już przybyły na miejsce

i właśnie szykowały się do przeczesywania lasu, który biegł od placu budowy aż do połowy górskiego stoku. Wyżej poszukiwania mieli kontynuować doświadczeni alpiniści z różnych służb. O obławie powiadomiono już policję austriacką, która rozciągnęła wzdłuż granicy kordon ludzi mający uniemożliwić ewentualną próbę ucieczki.

Teresa błagała każdego istniejącego boga, żeby do tej ewentualności nie doszło.

Z rosnącym niepokojem patrzyła na broń, w którą zostali zaopatrzeni ratownicy, i na psy gończe, które trzymali na smyczach. Kazano im ustawić się promieniście, jak na polowaniu. I nie wolno im było strzelać, dopóki dziecko nie znajdzie się w bezpiecznym miejscu. Ale co potem?

Przyjechał Gardini z Ambrosinim. Zastępca prokuratora i komendant przywieźli ze sobą kobietę. To była matka maleństwa. Gdy ujrzała Teresę, zdecydowanym krokiem ruszyła w jej stronę, przyciskając do piersi jakiś materiał. Teresa wiedziała, że nie uniknie tego spotkania.

Gloria Sanfilk, zapuchnięta od płaczu, wbiła zrozpaczony wzrok w oczy pani komisarz. Gdzieś na dnie jej cierpienia tliła się siła, która zaskoczyła Teresę.

– On żyje – powiedziała. I nie było to pytanie, lecz ostrzeżenie, żeby nikt ani przez chwilę nie ośmielił się myśleć inaczej i nie uległ zniechęceniu.

– Jestem tego pewna – odparła Teresa. Zerknęła za plecy kobiety, wypatrując jej męża, ale go nie znalazła.

– Nie ma go – odparła Gloria, czytając w jej myślach. – Nie pozwolę mu wrócić. Już nigdy nie pozwolę mu się do nas zbliżyć, tylko znajdźcie moje dziecko.

Podążyła jej tkaninę. To były malutkich rozmiarów śpioszki. Gloria włożyła ją do ręki pani komisarz, objęła swoimi dłońmi i podniosła do twarzy, wdychając zapach swojego dziecka. Potem zachęciła Teresę, żeby zrobiła to samo. Nie zaniósła ich psom, lecz dała jej. Chciała mieć pewność, że kobieta, w której rękach leży los jej synka, zaangażuje się tak, jakby chodziło o jej własne dziecko.

Zdawała się mówić „zastąp mnie i znajdź je dla mnie”.

Teresa skinęła głową. Słowa były zbędne.

Wtedy podszedł Ambrosini, objął Glorię ramieniem i z troską odprowadził ją do samochodu.

U boku Teresy wyrósł Massimo.

– Trudno przewidzieć, jak zareaguje zabójca – stwierdził, wpatrując się w las.

– Nazywaj go po imieniu – mruknęła bardziej do siebie niż do młodego inspektora. – Chociaż nikt tego dotychczas nie robił, nawet on sam.

Coś się zmieniło w spojrzeniu Mariniego.

– Rozumiem pani punkt widzenia – odparł. – Ja też myślę o nim przede wszystkim jak o ofierze.

Zawahał się, ale w końcu wydusił z siebie pytanie, którego nikt nie odważył się dotychczas zadać:

– Czy pani zdaniem może skrzywdzić dziecko?

Teresa przez całą noc zastanawiała się nad odpowiedzią. Liczyła, że znalazła tę prawdziwą, a nie tę, która miała jedynie uciszyć jej obawy.

– Świadomie nie – odpowiedziała. – Jest „ojcem”, który czuwa nad swoimi ludźmi, jest Alfą, a dzieci mimowolnie stały się jego stadem. Nie wolno nam jednak zapominać, że te same ręce, które teraz trzymają maleństwo, wydłubały oczy Robertowi Valentowi.

Marini pokazał jej wydruk zdjęcia z lotu ptaka.

– Drony zarejestrowały obraz starej zniszczonej chaty, której nie ma na mapach – powiedział. – Otoczona jest gęstą roślinnością. Leży w północnej części naszego obszaru, niedaleko skraju lasu, za którym rozciąga się kamieniołom. W okolicy nie ma innych zabudowań. Wokół chaty widać ślady ludzkiej działalności.

Las między Traveni a Aberlinz, 1993

Słońce jeszcze rozgrzewało kamienie, rozświetlało spóźnione pyłki i wydobywało woń z rumianku oraz piołunu, ale wiatr wiejący od północy bardzo się w ostatnich dniach ochłodził, co zapowiadało zbliżającą się porę snu. Rośliny i zwierzęta już się do niej szykowały: pierwsze – pozbywając się zbędnego listowia, a drugie – zagęszczając futra i wypełniając nory żołądziami i sianem.

On też przygotowywał się do nadejścia chłodu. Zauważył, że po każdym kolejnym deszczu powietrze staje się coraz zimniejsze, a gdy wieje wiatr, na jego skórze pojawiają się drobniutkie kwiatuszki. Poprzedniego dnia rozstawił więcej pułapek niż zwykle; wkrótce nie złapie już żadnego zwierzęcia. Mięso tych, które lada dzień znajdzie we wnykach, potnie w wąskie paski i wysuszy. Posłuży mu za pokarm w najciemniejsze i najzimniejsze dni.

Gdy dotarł nad strumień, zaczął przeskakiwać z kamienia na kamień, żeby znaleźć się na drugim brzegu. Zwinnie wspiął się wzdłuż ściany urwiska aż na osłonecznioną polanę. To miejsce upatrzyły sobie takie drapieżniki jak lisy, borsuki, a przede wszystkim ptaki – bo małe gryzonie były tu bezbronne w obliczu ich ataków.

W jedno z sideł rozstawionych na linii lasu coś się złapało. Borsuk szamotał się i próbował wyzwolić z wnyków, ale w ten sposób tylko bardziej zaciskał pętlę.

Podszedł do ofiary i wtedy odkrył, że wcale nie jest tak duża, jak mu się wydawało. To była samica, a wokół niej tłoczyły się młode. Trzęsły się przy ciele matki i piszczały z przerażenia.

Te zwierzątka zaspokoilyby jego głód przez wiele dni, może nawet tygodni, ale zamiast zacisnąć dłoń i skraść im życie, wpatrywał się w nie jak sparaliżowany. Ich płacz rozpętał w nim burzę podobną do tych

nadciągających ze wschodu i przynoszących czarne chmury, które potrafią wyrwać młode drzewa z korzeniami.

Uwolnił samicę i patrzył, jak zwierzęta znikają w lesie. Jeszcze nigdy nie widział żadnego maleństwa, które zdołałoby przeżyć bez matki. On też miał kogoś, kim się zajmował.

Spojrzał w dół, tam gdzie kończyło się urwisko i gdzie jego młode czekało w ukryciu. Wtedy zobaczył coś, co go przeraziło – czarną smugę dymu.

Ruszył biegiem, zwinnie omijając drzewa. Gdy dotarł do chaty, zorientował się, że dym wydobywa się przez szpary między deskami. Pobiegnął na tył i podniósł tę, która służyła mu za wejście. Wnętrze wyglądało tak, jak je zostawił, z jednym wyjątkiem: ręce, które od czasu do czasu – choć ostatnio coraz rzadziej – wsuwały przez dziurę jedzenie i ubranie, pod jego nieobecność zostawiły na podłodze posiłek.

Jego małe leżało w kącie, z którego nigdy nie wychodziło. Chyba spało obok opróżnionej do połowy miski.

Podszedł i spróbował je zbudzić, ale nie otworzyło oczu. Jego skóra miała inną barwę niż zazwyczaj i była zimna. Potarł ją zamaszystym ruchem, ale nie udało mu się jej rozgrzać. Zawył kilka razy, a nawet uszczypnął, ale chyba zapadło w bardzo głęboki sen. Wtedy pomyślał, że lepiej będzie go z niego nie wrywać, chociaż dym stawał się coraz bardziej duszący.

Położył się obok: w jego ramionach nie będzie czuło strachu i wkrótce się obudzi.

Do porzuconej chaty można było dotrzeć tylko na piechotę, nie było innego sposobu. Teresa czuła, jak mięśnie palą ją z wysiłku i brakuje jej tchu. Marini nie odstępował jej na krok, gotów podtrzymać ją w każdej chwili, jeśli nogi ją zawiodą, i zarobić kuksaniec w podzięcie.

– Powinna pani była zostać na dole – powiedział jej w pewnym momencie, ale został tak zbluzgany, że aż wytrzeszczył oczy z zaskoczenia.

Teresie ciążyły w kieszeni śpioszki maleństwa. Czuła na sobie odpowiedzialność za to, że postanowiła skoncentrować poszukiwania właśnie na tym, a nie innym obszarze. A błąd mógł kosztować bardzo wiele: życie niemowlęcia.

Wszyscy żwawo podążali do przodu. Każdy zdawał sobie sprawę, że od porwania minęło dwanaście godzin i że dziecko jest głodne. Nie szczydzili sił, więc powietrze aż wibrowało od zmęczonych oddechów. Las przemierzał ludzki kordon, który rozciągał się na setki metrów i piął coraz wyżej, sprawdzając każdy cień i każdą dziurę.

Nocne opady śniegu przykryły ewentualne ślady, jednak Teresa pokładała nadzieję w zdjęciach z drona. To miejsce musiało być już niedaleko: zastanawiała się, kim jest ten, kto mieszka tak wysoko w górach, w towarzystwie orłów, lisów i drobnych zwierząt, gdzie zimą nawet sarny rzadko docierają, ustępując miejsca kozicom, a jedynym głosem, jaki da się usłyszeć, jest wycie wiatru.

– Dotarliśmy! – krzyknął ktoś z pierwszych rzędów. Wszyscy stanęli i Teresa przejęła dowodzenie.

Między konarami drzew widać było polanę. Chata, która na niej stała, była zniszczona i w połowie poczerniała: dzieło dawnego pożaru. Deski były stare, a spadzisty dach opierał się na podmurówce z kamienia. Najwyraźniej służyła kiedyś za stodołę, w której przechowywano siano po letnim koszeniu wysokogórskich łąk.

– Dawniej ludzie wiedzieli, o jakiej porze roku ścinać drzewa, żeby potem

budować z nich domy. Twardniało i czerniało, ale nie płonęło – powiedział Hugo Knauss, bacznie wpatrując się w rudę.

Chata nie była opustoszała. Wokół niej spod śniegu wystawały porozwalane i zardzewiałe przedmioty – niektóre starsze, inne nowsze. Nietrudno było się domyślić, gdzie lądowały rzeczy skradzione w Traveni. Ten, kto tu mieszkał, zaopatrywał się w miasteczku w skarby, które potem porzucał na pastwę rdzy.

Teresa poleciła, żeby przez jakiś czas śmigłowce nie patrolowały tego obszaru, by nie wystraszyć Andreasa Hoffmana i nie sprowokować go do reakcji, której mógłby nie mieć w planach. Ludzie również mieli pozostać w ukryciu i nie zdradzać swojej obecności tak długo, jak to możliwe.

Wokół chaty, pośród rupieci, wznosiły się totemy ze zwierzęcych czaszek. Na pobliskich sosnach wisiały kości, które przy każdym podmuchu wiatru porzękiwały niczym prymitywne strachy na duchy.

Knauss splunął na ziemię.

– Pani komisarz jest tu ekspertem. Co to za potwór z tego zabójcy? – zapytał.

– Czy nazwałby pan zabójcą zwierzę, które zabija, bo czuje się zagrożone? – ucięła Teresa i oddaliła się od niego o kilka kroków.

Jej zespół czekał na rozkaz, by wejść do środka, a pozostałe ekipy w lesie gotowe były zablokować wszystkie drogi ucieczki. Ale chociaż wałkowała z nimi aż do znudzenia cały plan i wszystkie środki ostrożności, które miały zapewnić dziecku bezpieczeństwo, Teresa obawiała się tego momentu tak, jak niewielu innych rzeczy w swojej policyjnej karierze. Nigdy nie ciążyła na niej odpowiedzialność za tak młode życie i ku własnemu zdziwieniu stwierdziła, że waga istnienia jest odwrotnie proporcjonalna do czasu spędzonego tu, na ziemi. W kieszeni cały czas ścisnęła w ręce malutkie śpioszki.

– Naprzód – powiedziała do krótkofalówki.

Jej ludzie wynurzyli się z lasu, podeszli cicho do chaty i otoczyli ją wprawnymi i zsynchronizowanymi ruchami. Chwilę potem wpadli do środka.

Teresa zaczęła odliczać sekundy: miała wrażenie, że upływa ich zbyt wiele na zajęcie tak małego budynku. Na szczęście nie słychać było żadnych strzałów ani odgłosów walki. Coś zatrzymało policjantów w środku i Teresa miała nadzieję, że to nie widok śmierci.

Gdy Parisi wyłonił się z chaty i dał znak ręką, że droga jest wolna, Teresa

ruszyła biegiem.

Wewnątrz panował jeszcze większy bałagan niż na zewnątrz, o ile to w ogóle było możliwe. Główne pomieszczenie było zapchane przedmiotami wszelakiego przeznaczenia i kształtów. Teresa domyśliła się, że gospodarz zbierał je, nie mając bladego pojęcia, do czego służą. Być może robił to, by czuć się w jakiś sposób związany z mieszkańcami miasteczka – podobnymi do niego z wyglądu i różnymi pod każdym innym względem. Przypomniała sobie o zegarku Roberta Valenta na ręce kukły. Wcześniej myślała, że to jakiś znak, przesłanie, ale Andreas zapiął go na odwrót, bo nie znał jego przeznaczenia. Dla niego to była jedynie ozdoba, którą często widywał u mieszkańców.

Zbudzona ze snu sowa sfrunęła z poddasza i uciekła między drzewa, trzepocząc głośno skrzydłami. Za nią wychylił się De Carli i powiedział:

– Nic tu nie ma, oprócz tego ptaszyska i jakiegoś szczura. Samo legowisko ze słomy.

– On tu chyba już nie mieszka – mruknęła Teresa. – Coś go przegoniło. Najpewniej wycinka drzew w dolinie.

Wiedziała, że mieszkańcy nie rozumieją tego, jak zaczęła postrzegać Andreasa Hoffmana. Oni chcieli potwora, którego trzeba się bać, bestii, którą można by spalić, żeby przegonić zło, jakie wtargnęło do ich miasteczka. I najwyraźniej ją znaleźli.

Znowu przywołała w pamięci kukłę odzianą w ubrania pierwszej ofiary i jej oczy zrobione z jagód. Teraz już wiedziała, dlaczego patrzyły w kierunku domów: to był akt oskarżenia. Traveni stało się dla Andreasa zagrożeniem. Chciał dać im do zrozumienia, że to oni wtargnęli na jego teren.

Czynnikiem, który wyzwolił jego zabójczy instynkt, było miasteczko.

Drzwi zamknięte na skobel prowadziły do pomieszczenia wielkości schowka. Teresa przykucnęła, żeby je obejrzeć. Nie miało okien i było puste. Przez szparę między deskami widać było ciemną zieleń roślinności. Ściany pokrywały rysunki wyryte w drewnie; przedstawiały zwierzęta, rośliny i ludzkie postaci. Przysunęła się bliżej, żeby lepiej im się przyjrzeć, i wtedy zauważyła, że jedną z desek można przesunąć. To było ukryte wyjście. Rozejrzała się. Niezagracona przestrzeń sprawiała dziwne wrażenie, jakby Andreas nie chciał skalać tej części bałaganem. Ta pustka miała w sobie coś ze świętości.

Wyszła z pomieszczenia, żeby sprawdzić resztę chaty. W kącie stał poczerniały od dymu stół. Ściany i sufit też nosiły ślady pożaru. Część książek strawiły płomienie, zostawiając trudne do zidentyfikowania resztki; pozostałe zachowały się w połowie, jakby ktoś przybył w samą porę, by ocalić je przed ogniem.

Teresa włożyła rękawiczki i zaczęła je wertować. Ku wielkiemu zdziwieniu odkryła, że są to proste ćwiczenia do nauki pisania. Natrafiła w nich na jakieś znaczki – najprawdopodobniej litery – skreślone przez niewprawną dłoń. Zajmowały tylko kilka stron, reszta wyglądała na nietkniętą. Przejrzała pozostałe tomy i stwierdziła, że to elementarze dla szkół podstawowych.

Jedną z książeczek przez nieuwagę strąciła na podłogę. Schyliła się po nią: w rękach trzymała zbiór poezji. Spomiędzy kartek wypadł dębowy liść. Nie był do końca ususzony.

Czyżby ktoś uczył Andreasa pisać i czytać? Czy rozmawiał z nim? Czy to był Wallner?

Teresa zobaczyła, że Marini stoi w wejściu do kolejnego pomieszczenia. Po jego minie zrozumiała, że właśnie tam znajduje się coś, co zatrzymało jej ludzi w środku.

Potrzebowała wiele odwagi, żeby zrobić tych kilka kroków. W końcu zmusiła swoje ciało do ruchu.

Słońce wpadało przez szpary między deskami. W głębi pomieszczenia, pod światło, zarysowywała się siedząca na stołku postać.

Teresa widziała tylko jej kontury. Marini kopniakiem wybił jedną z desek, żeby wpuścić więcej słońca.

Nikt nawet nie drgnął. Tylko drobinki kurzu wirowały w powietrzu. Teresa wyczuła przy sobie obecność Knaussa.

– Toż to ludzkie szczątki! – zakrzyknął.

Patrzyli na dość stary szkielet, mocno zniszczony przez upływ czasu. Kości, w niektórych miejscach poczerniałe, pokrywał pył. Ktoś ubrał je w części ciała zabrane ofiarom. U stóp szkieletu leżały świeże resztki jedzenia.

– To szczątki dziecka – dodała Teresa.

Jedno dziecko. Teraz drugie.

Dwie małe istoty, których historii nie znamy: jedna wyrosła na mordercę, po drugiej – bezimiennej – pozostał tylko szkielet. I jeszcze trzecie maleństwo, odebrane matce, które przebywa gdzieś w lesie.

Dzieci. To one są sworzniem, wokół którego wiruje śmierć, ale i nadzieja: dzieci, które przeżywają, które walczą, które kochają mimo wszystko.

Uczucie, które mi towarzyszy, od kiedy tutaj przyjechałam, to pokłon dla życia.

Pokłon dla życia i dla jego uporów nawet wobec braku światła i troski.

Życie jest siłą, a my – jej narzędziami.

Antonio Parri wpisywał zebrane dane do akt dotyczących kostnych szczątków. Resztek jeszcze nie zabrano z miejsca, w którym je znaleziono.

Teresa stała z boku i obserwowała patologa. Wiedziała, że spis kości musi zostać zaopatrzonej w obserwacje dotyczące okoliczności ich znalezienia, okolicznego terenu, topografii miejsca, a na koniec – uwag co do samej natury szczątków. To oznaczało godziny pracy nad każdym najdrobniejszym elementem tego, co kiedyś było ludzką istotą.

Ale Teresę gonił czas. Parri to wiedział, dlatego zamierzał najszybciej jak się da dostarczyć informacje, które zdoła uzyskać z pobieżnej analizy morfologicznej.

Teresa nie wierzyła, że pomogą w odnalezieniu dziecka, ale w tym momencie pozostawała jej tylko nadzieja: od porwania minęło piętnaście godzin, poszukiwania prowadzono przy użyciu wszelkich dostępnych środków, a po niemowlęciu i Andreasie Hoffmanie ślad zaginął.

Parri wreszcie odwrócił się i przywołał Teresę do siebie. Podeszła, ale zachowała bezpieczną odległość od resztek ciała. Zerknęła tylko, żeby wyobrazić sobie dziecko, do którego kiedyś należało. Bolesny widok, ale nie chciała przed nim uciekać. Cierpienie miało pomóc jej wytrwać

i kontynuować poszukiwania.

– Ciało prawdopodobnie było wielokrotnie przenoszone – stwierdził patolog. – Nie sądzę, żeby je pogrzebano, bo kanały rdzeniowe są czyste. Kości długie noszą ślady zwierzęcych kłów, które powstały już po rozłożeniu się ciała.

Teresa pokiwała głową. Dziecko nie zostało pochowane, bo Andreas nie posiadał żadnej, nawet najbardziej prymitywnej formy obrzędowości. A może dla niego było ciągle żywą istotą. U stóp szkieletu niedawno zostawił posiłek: kawałek pieczonego, choć surowego w środku mięsa, i orzechy w łupinach.

– Jak pewnie zauważyłaś, ktoś zrobił dziurki w kościach i powiązał je żyłką – powiedział Parri.

– Próbował złożyć je w całość, zachować tak długo, jak się da – mruknęła Teresa.

Nie czuła odrazy, lecz wielki smutek: było jej potwornie żal tego, kto rozpaczliwie usiłował odtworzyć szczątki i je ożywić; kto życie i śmierć pojmował inaczej niż oni.

Tego, kto pomimo bolesnych doświadczeń na swój sposób kochał to dziecko i nigdy nie przestał darzyć miłością tego, co po nim zostało.

Teresa nie widziała w tym gościu nic zdrożnego, jedynie miłość, wzruszającą potrzebę, by podtrzymać nieprzemijalne uczucie. Tam, gdzie oni widzieli kości, Andreas dostrzegał iskrę głębokiej więzi.

– Myślisz, że dobrze je znał? – zapytał Parri.

Teresa spojrzała na patologa.

– Kochał je. Jestem pewna, że nie on je zabił. Starał się przywrócić mu życie.

– Jeśli było tak, jak sądzę, i ciało przez cały czas było wystawione na działanie tlenu oraz wilgoci, rozłożyło się o wiele szybciej, niż gdyby zostało pochowane – kontynuował patolog. – Mając na uwadze ten fakt oraz całkowity brak tkanki tłuszczowej i suchych tkanek miękkich, czas rozkładu datowałbym na jakieś dwadzieścia, trzydzieści lat wstecz. Określę go dokładniej, gdy otrzymam wyniki badania laboratoryjnego i prześwietlenia.

To wiele lat – pomyślała Teresa. Zbyt wiele, żeby mieć nadzieję, że uda się ustalić tożsamość dziecka.

– Jesteś w stanie podać wiek i płeć? – zapytała.

– Czoło jest pionowe, kość łonowa wąska, brakuje łuku łonowego.

Chłopiec, biały. I młody.

Teresa nie mogła oderwać oczu od szkieletu.

– Jak młody?

– Stałe zęby trzonowe jeszcze całkowicie nie wyszły.

Teresa poczuła, jak zalewają ją mdłości. Patolog właśnie potwierdził podejrzenia, które zrodziły się w niej, jak tylko spojrzała na kości. Oceniała je w mgnieniu oka. Ze ściśniętym żołądkiem.

– Nie więcej niż dwanaście lat – patolog mówił dalej – ale z rozmiarów kości mogę wywnioskować, że bliżej dziesięciu, może jedenastu. Nie znalazłem śladów po urazach.

Przez kilka chwil oboje milczeli.

– Pobrałem już próbki do analizy zmian kostnych – odezwał się w końcu Parri, podając walizeczkę asystentowi. – Od razu prześlę je do laboratorium, żeby w miarę szybko otrzymać pierwsze wyniki. Ale szczątki będzie można przenieść dopiero za kilka godzin.

– Myślisz, że dałoby się zrobić od razu test na obecność substancji chemicznych? Chcę wiedzieć, jak chłopiec umarł.

– Na razie mógłbym wziąć czaszkę, przeanalizowałbym też tkanki zabrane ofiarom i oddał próbki do testu.

– Dziękuję ci, Antonio.

W tym momencie Marini zawołał Teresę, żeby podeszła do poczerniałego stołu.

– Pani komisarz, znalazłem coś ciekawego.

65

Marini naprawdę znalazł coś interesującego pośród zwęglonych, niemożliwych do zidentyfikowania przedmiotów oraz resztek częściowo spalonych książek. To był ręcznie zapisany zeszyt, zawierający datowane notatki. Ostatnia pochodziła z 20 września 1993 roku.

Tekst był w języku niemieckim. Teresa uczyła się go w szkole, ale ta zakurzona wiedza na nic się teraz zdała.

– Rozumiesz coś? – zapytała Mariniego.

– Pojedyncze słowa.

– Sierżancie Knauss! – zawołała.

Mężczyzna podszedł do nich.

– Wszyscy tutaj jesteście dwujęzyczni – powiedziała i pokazała mu zeszyt. – Proszę mi to przetłumaczyć.

– Teraz?

Teresa spojrzała na niego wymownie. Zastanawiało ją, jakim cudem Knauss zawsze potrafi znaleźć właściwe słowo – tylko jedno i nawet nieszczególnie znaczące – żeby wytrącić ją z równowagi.

– Niech pan decyduje. Woli pan to zabrać do domu i w spokoju poczytać przed kominkiem?

Knauss nie od razu wychwycił ironię. W wewnętrznej kieszeni kurtki poszukał okularów do czytania, włożył je z westchnieniem i pochylił się nad notatnikiem.

– To chyba dziennik, jak mi się wydaje.

– Tyle sami wydedukowaliśmy.

Z rosnącą niecierpliwością Teresa czekała, aż Knauss przebiegnie wzrokiem kilka linijek i zorientuje się w temacie. Zobaczyła, że przewraca stronę, potem wraca na początek, zastanawia się, czyta znowu.

– Jakiś problem? – zapytała.

– Nie rozumiem – Knauss mruknął do siebie.

– Niech pan poprosi o pomoc któregoś ze swoich ludzi. Na pewno jest tu

ktoś, kto potrafi to przetłumaczyć.

Knauss podniósł oczy znad tekstu.

– *Ja to potrafię przetłumaczyć, pani komisarz.*

– *W takim razie w czym problem?*

– *W tym, co tu jest napisane. Wygląda mi to na jakiś eksperyment.*

Teresa straciła ochotę na sarkastyczne uwagi.

– *Niech pan czyta – poleciała.*

Knauss zaczął wodzić palcem po liniijkach.

– *Osobnik Alfa stara się komunikować z osobnikiem Omega, ale ten, jak na razie, nie przejawia zainteresowania i zachowuje bierność. Jego opóźnienie w rozwoju motorycznym jest ewidentne. Cały czas spędza, leżąc na wznak, i nie robi nic, żeby... Niewyraźnie napisane... Nie robi nic, żeby sięgnąć po swoją porcję.* – Knauss przerwał i popatrzył na Teresę. – *Czy to o zwierzętach?*

– *O dzieciach* – odparła pewnym głosem. W spojrzeniu Knaussa zobaczyła wahanie. – *Proszę tłumaczyć dalej.*

– *Zaskakuje fakt, że Alfa nie przywłaszcza sobie jego racji, lecz wręcz przeciwnie, przysuwa ją do tego, kogo jak sądzę, zaczyna uważać za swojego towarzysza.*

W chacie zapadła cisza i zamarł wszelki ruch. Wszyscy słuchali Knaussa. Na ich twarzach – co zauważyła Teresa, gdy na chwilę podniosła wzrok – malowały się przerażenie i odraza. Była pewna, że teraz inaczej spojrzą na szkielet, który siedział kilka metrów od nich, zastygły w wiecznym oczekiwaniu.

Przestałeś już czekać – pomyślała Teresa. *Ktoś wreszcie przyszedł, by cię ocalić, szkoda, że tak późno.*

– *Wątpię, żeby chłopiec był świadomy niewoli, w której się znajduje. Nie zna innego życia* – Knauss czytał dalej – *ale jego podświadomość owszem i właśnie dlatego powoli obumiera.*

Z piersi Teresy wyrwało się pełne napięcia westchnienie. Mogła sobie wyobrazić koniec, miała go przed oczami, ale coś jej mówiło – dreszcze, które przebiegły po jej rękach, gdy schylała się po zeszyt – że na tym nie koniec potworności.

– *Niech pan przejdzie do ostatniego zapisku* – poleciała Knaussowi.

Mężczyzna posłusznie wykonał polecenie. Teresa patrzyła, jak jego oczy biegną wzdłuż liniijek, jak robią się wielkie, jak szukają jej wzroku, by

natychmiast od niego uciec. Gdy Knauss odczytał na głos ostateczny zamiar Wallnera, Teresa nie wytrzymała. Musiała wyjść na świeże powietrze, by uspokoić serce i pozwolić, by wiatr osuszył jej łzy, zanim skapną na ziemię.

Na zewnątrz Teresa od razu odetchnęła głębiej. Marini podszedł do niej. Jeszcze do niego nie dotarło, że w takich chwilach powinien trzymać się z daleka.

Nie dopuściła go do głosu.

– Parri potwierdził, że szczątki należą do chłopca – powiedziała – na oko jedenastoletniego. Być może umarł śmiercią naturalną. Nie jest powiedziane, że Wallner wykonał swój zamiar – dodała, świadoma, że tylko próbuje podnieść się na duchu.

– Jak w ogóle można zrobić coś takiego dzieciom?

– Najwyraźniej Wallner wyznawał te same zasady co jego ojciec. Nie miał sumienia, a jeśli jednak jakieś posiadał, to na pewno nie takie jak my. Warto poszukać w okolicy również jego ciała, może został pochowany. Przebywał tu dość długo, choć nie wiemy, w jakich warunkach.

Marini rozejrzał się wkoło.

– Co za życie sobie wybrał? – zapytał.

– Ciężkie, bez wątplenia, ale lepsze niż proces i więzienie – odparła Teresa. – Musiał od czasu do czasu schodzić do miasteczka. Po żywność, lekarstwa... Wallner był dwujęzyczny, robił tutaj specjalizację. Postaraj się wypytać, czy ktoś go pamięta, może ktoś go kiedyś widział. Musimy się dowiedzieć, do kogo należy szkielet. Chłopiec był o trzy albo cztery lata młodszy od Andreasa Hoffmana i nie pochodził z sierocińca.

– Zdjęcia Wallnera, które udało nam się zdobyć, są dość niewyraźne.

– Nie fotografie mnie martwią, a raczej to, że ludzie z doliny dość szczególnie interpretują pojęcie współpracy.

– Nie sądzę, żeby chcieli chronić przestępcę, który pojawiał się w miasteczku trzydzieści lat temu.

– Nie rozumiesz. Oni chronią siebie samych. Własną społeczność. Grupę i równowagę, jaką w niej osiągnęli. Pojedyncze jednostki się nie liczą.

Teresa spojrzała na słońce: już zaczęło zachodzić. Z chaty wyszedł

asystent Parriego; w rękach niósł metalowy pojemnik z czaszką.

W tym samym momencie gdzieś daleko w lesie, na wznoszącym się powyżej zboczu, stado ptaków nagle wzbiło się do lotu, jakby wystraszył je jakiś wystrzał. Wkoło panowała jednak absolutna cisza. Niebo nad drzewami poczerwiano na krótką chwilę.

Teresa stała jak sparaliżowana. Do ziemi przygwoździło ją dobrze znane wrażenie. Wytężonym wzrokiem patrzyła w tamtym kierunku. Czuła, że jest obserwowana, i wiedziała przez kogo. To Andreas krył się w gęstwinie i przyglądał policjantom z oddali. Zastanowiła się, co go trzyma przy tym miejscu, pomimo grożącego mu niebezpieczeństwa.

Odpowiedź miała przed oczami, zamkniętą w małej metalowej trumience.

W końcu zrozumiała, co takiego Andreas chronił przed światem, który parł w jego stronę: nie swoją kryjówkę, lecz jedyną więź, jaką kiedykolwiek posiadał. Najwyraźniej przeczuł, co właśnie mu zabierają.

– Zabił, bo czuł się zagrożony przez postępującą budowę – powiedziała. – Bał się, że traci towarzysza. To jest czynnik, który wyzwolił w nim zabójczy instynkt.

– Ale ten chłopiec nie żyje od kilku dekad – zauważył Marini.

Teresa spojrzała na górę, w miejsce, z którego wzbiły się ptaki. Tam musiało być dziecko.

– Nie sądzę, żeby wiedział, czym naprawdę jest umieranie – mruknęła. – To prawda, że zna życie i śmierć, ale pod postacią skutku i przyczyny. Nauczył się tego, obserwując naturę. Ale co potem, czy da się wybudzić ze snu, który wyniszcza ciało... To tylko może sobie wyobrazić, tak jak robimy my, jak robi człowiek od tysiącleci, od prehistorii, przez czasy starożytnego Egiptu aż po współczesne. Dlatego próbował obudzić swojego towarzysza. Ale teraz już nie jest sam. Teraz ma swoje potomstwo.

Poszukiwania skoncentrowały się na kawałku zbocza, który wskazała teraz Teresa. Ludzie nie zatrzymywali się ani na chwilę, nie robili sobie przerw, lecz wspinali się na szczyt, zacieśniając szeregi. Przez gęstą siatkę policjantów nawet kurz nie mógł się przecisnąć niepostrzeżenie.

W razie gdyby natrafili na Andreasa, mieli stanąć i poczekać na przybycie Teresy. Pani komisarz obawiała się reakcji mężczyzny na obławę. Najbardziej przerażało ją jednak coś innego – to, jak się z nim porozumie.

Opuściła stanowisko w dolinie i weszła aż na płaskowyż, na którym przygotowano lądowisko dla śmigłowców.

Temperatura się podniosła, a niebo nadal było bezchmurne. Nie mogła przestać myśleć o dziecku. W chwili porwania miało na sobie ciepłe ubranie i kombinezon, który chronił je przed mrozem. Nie powinno zmarznąć, ale to głód i pragnienie były w tej sytuacji prawdziwym problemem. Teresa nie wiedziała, co Andreas robi, jeśli malec będzie nieustannie płakał.

Zastanawiała się też nad dziennikiem Wallnera. Zapiski kończyły się na wrześniu 1993 roku, trudno było się domyślić dalszego ciągu historii. Jedno było pewne: chłopiec Omega umarł, natomiast chłopiec Alfa przeżył i dalej mieszkał w chacie, którą uważał za swoją kryjówkę, razem z jedynym ludzkim przyjacielem, jakiego kiedykolwiek posiadał, po którym wraz z upływem czasu pozostał jedynie szkielet.

Nagle w kieszeni Teresy zawibrowała komórka. To był Marini, dzwonił z posterunku w Traveni.

– Jakież nowiny? – zapytała.

– Niestety żadnych. Kazałem sprawdzić wszystkie pliki w archiwum. W ciągu ostatnich trzydziestu lat nie zniknęło w okolicy żadne dziecko. Nie ma na ten temat żadnych doniesień. Zadzwoiłem również do centrali w mieście i poprosiłem o sprawdzenie w bibliotece, ale w prasie z tego okresu też nie pojawiają się żadne informacje.

Teresa obawiała się, że tożsamość małego Omegi pozostanie tajemnicą.

Postanowiła jednak spróbować jeszcze jednego: przyrzeć się lepiej sekretom skrywanym za fasadą doskonałych, nieskalanych życiorysów.

– Jest ktoś, kto może nam pomóc – powiedziała. – Nigdzie się nie ruszaj.

Rozłączyła się i skinęła na pilota helikoptera, żeby na nią poczekał. Wirniki były już w ruchu.

Kiedy maszyna wzbiła się do lotu, Teresa po raz pierwszy zobaczyła las z lotu ptaka: wyglądał jak zielono-biały ocean pełen wysokich fal i głębokich otchłani.

Andreas i dziecko znajdowali się gdzieś tam w dole, oboje przerażeni, oboje potrzebujący pomocy.

Kościół wyglądał tak, jakby zgromadzili się w nim wszyscy mieszkańcy. Przed ołtarzem klęczało całe Traveni: w pierwszym rzędzie Gloria Sanfilk i jej syn Mathias modlili się o to, żeby mały Markus wrócił do domu cały i zdrowy.

Wnętrze rozświetlały zapalone świece wotywnie. Powietrze było ciężkie od setek oddechów, kadzideł i woni, którą przez wieki wchłaniały mury świątyni.

– Dlaczego chce pani się z nim spotkać? – szepnął Marini.

Teresa nie poinformowała go o swoim pomysle. Ostatnie pół godziny spędziła na telefonicznej rozmowie z Parisim, żeby być na bieżąco z poszukiwaniami.

– Zostań tu – powiedziała. – Będzie czuł się swobodniej, jeśli podejde sama.

Powiodła wzrokiem po pochylonych głowach. W końcu znalazła tego, kogo szukała. Mężczyzna siedział z łokciami opartymi na kolanach i czołem zanurzone w złączonych dłoniach. Miał zamknięte oczy. Obok niego, na ławce, leżał filcowy kapelusz z piórkiem.

– Doktorze Ian – zawołała szeptem.

Spojrzał na nią zdziwiony.

– Czy możemy porozmawiać?

– Oczywiście.

Ian przeżegnał się, ukląkł na moment i wyszedł za Teresą na dziedziniec.

– Jakież nowiny? Znaleźliście go? – zapytał.

Teresa nie owijała w bawełnę:

– Nie. Żadnych wieści.

Ian zamknął oczy, a z jego ust wyrwało się nerwowe westchnienie. Wyglądał na zmęczonego i nagle postarzałego.

– Ale w opuszczonej chacie znaleźliśmy to – powiedziała Teresa i pokazała mu dziennik Wallnera zamknięty w plastikowym worku.

Ian przyjrzał się uważnie.

– Co to jest? – zapytał, wkładając okulary do czytania.

– Zawiera notatki z eksperymentu – odparła Teresa. – Eksperymentu przeprowadzonego na dwójce dzieci porwanych i przetrzymywanych w tych górach.

Ian aż się zatrzęsł.

– Tutaj? W Traveni? To niemożliwe.

– Znamy tożsamość jednego z nich. To zabójca i porywacz, którego szukamy. O drugim nie mamy żadnych informacji. Liczyłam, że pan nam pomoże.

– Ja?

– Czy jakaś tutejsza kobieta zwróciła się do pana z prośbą o usunięcie ciąży? Mówimy o zdarzeniach sprzed około trzydziestu lat, ale jestem pewna, że takich rzeczy się nie zapomina.

– Nigdy nie dopuściłem się czegoś podobnego. I nie pozwoliłbym na to!

– Co do tego nie mam wątpliwości, doktorze, dlatego przypuszczam, że ta kobieta, o ile w ogóle istniała, donosiła ciążę i pozbyła się dziecka w inny sposób.

– Jaki?

– Przekazując je komuś, kto zagwarantował jej dyskrecję. Może w miasteczku pojawił się jakiś cudzoziemiec posługujący się językiem niemieckim? Mniej więcej w tamtym czasie?

Twarz Iana spoważniała.

– Wszyscy tutaj posługują się dwoma językami, pani komisarz. Często nawet trzema. W naszych żyłach płynie mieszana krew, ale jesteśmy przywiązani do własnej tożsamości. Bywamy niemili dla przyjezdnych, wiem o tym, ale nikt z nas nie oddałby własnego dziecka. Zwłaszcza nieznanemu. W Traveni nie ma takiego zbrodniarza. Jak pani widzi, wszyscy jesteśmy dziećmi Bożymi.

– W pubie mówił pan co innego – przypomniała mu Teresa. – Wspominał pan, że porzucano niektóre dzieci, a bywało także, że w ogóle nie dopuszczano do ich narodzin.

– To głód przemawiał przez tych desperatów. Oni nie byli niczemu winni. Ale mówiłem o bardzo, bardzo dawnych czasach. O dawnej i dramatycznej przeszłości.

– Może ta przeszłość odbijała się echem dłużej, niż pan myśli. Nie sądzi

pan?

– Nie, pani komisarz, nie sędzę – odparł lekarz z ponurą miną. – Niech pani szuka dziecka ze wszystkich sił, a potwora, który odebrał je matce, proszę doprowadzić przed ziemski lub boski sąd. Bo tutaj tylko traci pani czas. Pośród tych ludzi nie znajdzie pani winnego, tak jak nie znajdzie tu pani rozwiązania podpowiadającego, jak sprowadzić do domu Markusa. – Wskazał ręką na kościół. – Przyłączy się pani do modlitwy?

Teresa spojrzała na złocony krucyfiks, który lśnił na szczycie dachu.

– Moją modlitwą jest praca, którą wykonuję, doktorze – odpowiedziała, wsuwając dziennik do torby przewieszanej przez ramię. – Muszę wracać na stanowisko.

– Niech Bóg panią prowadzi – pożegnał się Ian, uchylając lekko kapelusza.

Teresa patrzyła za nim, jak odchodzi, bardziej zgarbiony, niż pamiętała. Wyglądał jak przybity bólem.

Marini podszedł do niej.

– Otrzymała pani odpowiedzi, których pani szukała? – zapytał.

– Jeszcze nie.

– Co teraz?

– Teraz pogrzebiemy jeszcze głębiej.

Ciemność otulała ich dwa bijące serca jak miękkie łono. Po raz pierwszy od bardzo dawna słyszał przy sobie cudzy oddech.

Tu, w dole, pachniało ziemią. Ze skalnych ścian sączyła się woda, a jej nieustanne kapanie towarzyszyło kwileniu maleństwa. Zaniósł je w bezpieczne miejsce, gdzie myśliwi nigdy ich nie znajdą. Wiedział, że ciemność może być straszna, dlatego mocno tulił do siebie niemowlę, żeby czuło jego ciepło i jego obecność.

Z czasem nauczył je, jak nie bać się nocy i zamkniętych przestrzeni, wysokich szczytów i głębokich otchłani, ale na razie sam musiał się nauczyć, jak uspokoić płacz dziecka. Widział, jak to robią kobiety z miasteczka, dlatego naśladował ich kołysanie ramionami i słodkie dźwięki, które wydobywały się z ich ust. W jego przypadku brzmiały raczej jak chrapliwe wycie.

Róg szmatki namoczył w wodzie i przysunął do buzi dziecka. Usłyszał łapczywe ssanie.

Nie widział jego twarzy, wiedział jednak, że nauczyło się rozpoznawać jego głos, który jest w stanie ukoić jego płacz.

Ten szloch wstrząsał nim dogłębnie i sprawiał, że mięsień, który w piersiach pompował życie, zaczynał bić szybciej. Budził w nim pragnienie, by wziąć dziecko w ramiona i oddalić od niego wszelki strach. Wiedział, że każde stworzenie było kiedyś szczenięciem, nawet on. W takich chwilach zastanawiał się, kto uspokajał jego własny płacz i przeganiał strach, jak wyglądała twarz, która pochylała się w nocy nad jego legowiskiem, by czuwać nad jego snem.

Nie mógł jej sobie przypomnieć i znów czuł się samotny.

Co się ze mną stanie, jeśli nie uda nam się znaleźć dziecka albo jeśli las odda nam jego martwe ciało?

Tak bardzo się boję, że każdy inny strach przestał mieć znaczenie. Bo wszystko mogę znieść, ale nie utratę jeszcze jednego dziecka.

Poszukiwania kontynuowano aż do zachodu, bez rezultatu. Od porwania minęły prawie dwadzieścia cztery godziny. Teresie trudno było uwierzyć, że Andreas podszedł tak blisko, że mógł ich obserwować, a potem zapadł się pod ziemię i nawet psy zgubiły jego trop. Nie potrafiła sobie wyobrazić, jak przemieszcza się z maleństwem. Wątpiła, że zostawił je w ukryciu, w jakiejś dziurze, bo sam najlepiej znał niebezpieczeństwa czyhające w lesie, a to młode życie było dla niego czymś tak cennym, że nie narażałby go na żadne zagrożenie.

Co, jeśli się mylę? Jeśli idealizuję zabójcę?

Teresa nie mogła sobie pozwolić na takie myśli. Bardziej niż kiedykolwiek potrzebowała wiary w siebie, pomimo zmęczenia i oszołomienia, które od czasu do czasu próbowały wziąć górę. Uparcie przeciwstawiała się kaprysom własnego ciała i umysłu; ignorowała je. W lesie zaczął zapadać mrok, który momentalnie zmieniał wygląd boru: to nie był dobry moment na wątpliwości i strach.

– Pani komisarz, jesteśmy już wszyscy – poinformował Parisi.

Teresa dołączyła do zespołu w sali zebrań na posterunku w Traveni. Do jej ludzi i zespołu Knaussa dołączyli szefowie obrony cywilnej, ratownictwa górskiego i Pułku Strzelców Alpejskich. Na stole leżały mapy całego obszaru.

Pas terenu obejmujący około czterdziestu kilometrów kwadratowych został podzielony na cztery strefy. Od świtu do zmierzchu przeczesywały je na zmianę – i bez przerwy – grupy złożone z osiemdziesięciu ratowników. Akcję przerywały dopiero ciemności, i to nie z woli poszukujących.

Komendant oraz prefekt jednogłośnie stwierdzili, że niedopuszczalne jest narażanie jednego życia, by ratować drugie. Teresa nie umiała sobie odpowiedzieć na pytanie, czy zdecydowałyby tak samo, gdyby to od niej zależało.

- Gdzie jest Marini? – zapytała De Carliego.
- Nie widziałem go już jakiś czas, pani komisarz.
- Na miłość boską, dzwoń do niego.
- Już się robi.

Zebranie poprowadził komendant Ambrosini. Teresę denerwowało wysłuchiwanie raportu z całego dnia bezowocnych poszukiwań, a jeszcze bardziej drażnił ją fakt, że nie może wyjść i dalej przeczesywać lasu. Czekala ją długa noc, dwanaście godzin ciemności i przymusowej bezczynności.

Zbyt długo zarówno dla niej, jak i dla maleństwa.

Słowa Ambrosiniego parowały jak krople wody przy zetknięciu z rozpaloną płaszczyzną jej obaw. Teresa odwróciła twarz do okna i spojrzała na miasteczko. Traveni też nie spał. Po starych, nieoświetlonych uliczkach powoli sunął orszak ognia. O zmierzchu spod średniowiecznej wieży wyruszyła procesja. Mieszkańcy zebrali się na placu, a w ich dłoniach zapłonęły setki świec.

Podczas gdy oni modlili się za dziecko, w sali szukano sposobu, jak je odnaleźć i sprowadzić do domu. Teresa patrzyła na światła, na pochylone głowy ludzi idących jeden za drugim, i ogarniał ją gniew.

Traveni po raz kolejny straciło okazję, by zrehabilitować się w jej oczach. Żadna z tych osób nie wzięła dobrowolnie udziału w poszukiwaniach zorganizowanych przez policję. Mieszkańcy woleli spontanicznie stworzyć grupki, które sprawdzały obszary odległe od tego wytyczonego przez Teresę, sądząc, że tam mogą znaleźć kryjówkę porywacza.

Miała nadzieję, że jednak to oni mają rację; liczyła w duchu, że wrócą z dzieckiem na rękach, ale tak się niestety nie stało. Sytuacja otarła się o groteskę, kiedy śmigłowiec musiał opuścić oddziały poszukiwawcze i lecieć na ratunek kilku osobom, które utknęły na skalnym zboczu, bo zlekceważyły jego stromiznę.

Orszak płomieni znikł w głębi ulicy, a wraz z nim cicha litania, która mu towarzyszyła. Wyglądał, jakby zanurzał się w czarnym morzu, które powoli pochłaniało wszystkich.

Ten obraz idealnie pasuje do naszego przypadku – pomyślała Teresa.

W końcu pod idealną fasadą miasteczka od dawna buzują nieczyste nurty, zgrabnie skrywane przed wzrokiem innych.

Po raz kolejny przyjrzała się mapie zawieszanej na ścianie. Zaznaczona na niej mała zielona plama w rzeczywistości ciągnęła się od doliny aż po granicę państwa, naturalnie wytyczoną przez niedostępne góry. Powierzchnia rozległa i w niektórych miejscach w ogóle nieuczęszczana, bo zryta przez niebezpieczne, niewidoczne dla oka urwiska i skryte pod gęstą roślinnością przepaści, które w każdej chwili mogły się rozstąpić pod stopami.

Teresa nagle wstała.

Powierzchnia. Szukamy tylko na powierzchni, a on jakby zapadł się pod ziemię.

– Musimy zmienić taktykę – przerwała wywód komendanta.

Ambrosini spojrzał na nią ze zdziwieniem.

– Nasze metody nie przynoszą skutku – Teresa mówiła dalej – a nie możemy więcej tracić czasu.

– Robimy, co w naszej mocy – wtrącił się prefekt.

Teresa popatrzyła na niego.

– Ale nie tak, jak trzeba. – I popukała palcem w mapę. – To jest jego świat, a nie nasz. Łudzimy się, że go pokonamy w terenie, który on zna od podszewki, a my nawet nie wiemy, gdzie stawiać kroki.

– Pani komisarz, jest pani niesprawiedliwa. Nasi ludzie są bardzo dobrze przeszkoleni.

– Ale to tylko ludzie.

Prefekt zaniemówił.

– A on nie jest człowiekiem? – zapytał.

Teresa pokręciła głową.

– Nie w swojej głowie. Musimy zacząć myśleć jak on, zmienić punkt widzenia, albo nie znajdziemy go na czas.

– Mówi pani tak, jakbyśmy ścigali zwierzę – stwierdził Ambrosini.

– Bo tak jest. Ma bardzo rozbudowany instynkt i kieruje nim właśnie ta zwierzęca strona jego osoby – odparła Teresa. – Dlatego jeszcze żyje.

– W takim razie co pani proponuje? – zapytał prefekt.

Teresa spojrzała na mapę.

– Nie wróci już do swojego domu. Przekroczyliśmy próg chaty, a on wie, że tam nie będzie bezpieczny. Ale też zbyt blisko się od niego nie oddali. – Wskazała na zakreślony obszar. – Bo to jego rewir.

– Może powinniśmy zmienić teren poszukiwań.

– Nie! On tu jest, nigdy nie porzuci tego, co dla niego najdroższe.

– Ma pani na myśli szkielet?

– Mam na myśli przyjaciela. Jedyne go towarzysza, jakiego miał. W planach Hoffmana dziecko kiedyś zajmie jego miejsce, ale jeszcze nie teraz. Ta chwila jeszcze nie nadeszła.

– Skąd ma pani taką pewność?

Teresa nie odpowiedziała. W innych okolicznościach sama wątpiłaby w swoje słowa. *Ale nie teraz.*

– Potrzebujemy oddziału speleologów – powiedziała tylko. – Przypuszczam, że znalazł schronienie pod ziemią.

– W jaskini? Jak niedźwiedź?

Teresa zignorowała prowokacyjne pytanie prefekta.

– Dokładnie, jak niedźwiedź – odparła. – Ale nie schował się w zwykłej szczelinie skalnej. Wie, że tam byśmy go łatwo znaleźli. Wybrał raczej coś o wiele głębszego.

W ciszy, która zapadła po jej wywodzie, ważyły się głosy tych, którzy ją poprą, i tych, którzy uznają za wariatkę.

– Myślę, że to bardzo trafne przypuszczenie – stwierdził Ambrosini. – Musimy je koniecznie zweryfikować.

– Moja znajomość ukształtowania terenu na tym obszarze nie jest najlepsza – odezwał się Knauss – ale ekipa ratownictwa górskiego ma kontakty, które mogą się przydać.

– Zgadza się. W sąsiedniej dolinie przeprowadzaliśmy ćwiczenia ratownicze z grupą speleologiczną z Burnbergu – potwierdził kierownik ekipy.

– Zadzwońcie do nich – poprosiła Teresa. – Nie spędzimy kolejnej nocy w bezczynności.

W lesie w Traveni nie było głębokich jaskiń. Jedynym naturalnym wytworem, który pasowałby do przypuszczeń Teresy, była szczelina między dwoma skalnymi ścianami na zboczu góry. Przypominała urwisko, czarną studnię głęboką na dwanaście metrów, ziejącą zgnilizną i wilgocią. Z czasem pokryły ją rośliny pnące, a ziemia, która się w nią osunęła, stworzyła biegnącą niemalże pionowo ścieżkę. Dno urwiska było dość rozległe i otoczone korzeniami oraz wapiennymi głazami.

– Naprawdę mógł zejść tam z dzieckiem? – zapytał Parisi.

Gdy Teresa stała nad tą cichą otchłanią, dopadły ją zawroty głowy i wątpliwości, które rozwiały się, gdy latarka oświetliła śnieg zalegający między sosnowymi igłami. Ich oczom ukazały się ślady podobne do tych napotkanych już wcześniej, a także kilka złamanych gałęzi. Najwyraźniej ktoś niedawno tędy przechodził.

– Musimy zejść, żeby to sprawdzić – odpowiedziała bardziej sobie niż Parisiemu.

Niełatwo było zdecydować, kto ma iść pierwszy. Użycie broni było wykluczone, chociaż na dole mógł czekać na nich zabójca gotowy rzucić się na każdego, kto spróbuje się do niego zbliżyć. Jedyną osobą, którą Teresa najchętniej posłałaby na dno, była ona sama, ale jej ciało stanowiło pewien kłopot. Do tej pory skupiała się jedynie na odnalezieniu Andreasa, ale jeśli w końcu się to uda, będzie musiała zmierzyć się z kolejnym, jeszcze bardziej poważnym problemem: jak się z nim porozumieć. Zwyczajowe techniki negocjacyjne na nic się zdadzą, bo jego umysł odbiega od standardów, działa w całkiem odmienny sposób.

Spojrzała na Parisiego. Doświadczony speleolog właśnie zapinał mu uprząż, dzięki której będzie mógł bezpiecznie zejść po stromej ścieżce. Wszystko odbywało się w świetle jednej tylko latarki, żeby nie zdradzić ich obecności. Parisi miał schodzić powoli, krok za krokiem, wypatrując śladów Andreasa. Był z nich najsilniejszy i najbardziej wysportowany, a w razie

ataku pomoże mu znajomość sztuk walki.

Teresa po raz kolejny zadała sobie pytanie, gdzie się podziewa Marini, tym razem już nie ze złością, a raczej z troską. Nikt nie widział go od czasu półgodzinnej przerwy na kolację, a jego komórka była poza zasięgiem. Słabo go znała, wiedziała jednak, że taka nieusprawiedliwiona nieobecność nie jest u niego czymś normalnym.

– Jesteśmy gotowi – orzekł speleolog.

Parisi miał na kasku zamontowaną mikroskopijną kamerę.

– Znajdź go – powiedziała Teresa – i natychmiast wracaj.

Uśmiechnął się do niej.

– Jasne, rzucę tylko okiem.

Teresa ścisnęła go za rękę. Wcale nie miała ochoty go puszczać.

– I nie rób głupstw, Parisi. Pamiętaj, że bohaterowie marnie kończą.

– Och, pani komisarz, ale mnie pani pokrzepiła!

Teresa też się w końcu uśmiechnęła.

– Idź już. – I puściła jego rękę.

W tej chwili chciała tylko zdobyć obraz dna urwiska. Musiała się dowiedzieć, gdzie jest kryjówka Andreasa, gdzie może być dziecko i jak do niego dotrzeć, żeby nie rozwścieczyć „ojca”.

Niestety z ciemnego dołu nie dochodził żaden dźwięk. Teresa próbowała nie wsłuchiwać się w tę ciszę, by nie dopuścić do siebie myśli, że brak dziecięcego płaczu to nie jest dobry znak.

Parisi zaczął schodzić. Już po kilku metrach kamera przekazała obraz zwierzęcych kości zawieszonych na wystających korzeniach. Bez wątpliwości było to dzieło ludzkich rąk, jak małe totemy znalezione wokół chaty oraz straszaki na duchy na konarach drzew. To miejsce bez wątpienia służyło mu za kryjówkę.

Podczas kolejnych minut kamera przekazywała tylko czarno-białą sekwencję obrazów i odgłos przerywanego oddechu.

Nagle telefon Teresy zawibrował. To był Parri. On też pracował bez przerwy. Teresa odeszła kilka metrów, żeby odebrać, ale ani na chwilę nie oderwała oczu od urwiska.

– Słucham cię, Antonio.

– Mam wyniki analizy chemicznej, o którą mnie prosiłaś. Pomyślałem, że chciałabyś od razu je poznać.

– Dobrze pomyślałeś.

– W tkankach kostnych są ślady cyjanku. Chłopiec został otruty.

Teresa nie odezwała się ani słowem. Czyli Wallner jednak zrealizował zamiar zapisany w dzienniku.

– Tereso?

– Jestem.

– Jest coś jeszcze.

Teresa słuchała, co mówił Parri, i jednocześnie patrzyła, jak Parisi wyłania się ze szczeliny. Powolność, z jaką speleolog rozpinał uprząż, a policjant zdejmował ją z siebie, sugerowała, że dno okazało się puste.

Kiedyś rzeczywiście była to kryjówka Andreasa. Ale wyczuł zagrożenie i poszukał sobie innej, tak jak robią zwierzęta posiadające młode: nieustannie przenoszą je z jednego bezpiecznego miejsca w drugie.

– Możesz powtórzyć? – powiedziała do słuchawki.

– Sfaleryt i galenit – odparł patolog. – Mam nadzieję, że pomogłem.

Pomógł.

– Już wiem, gdzie go szukać.

– Przykro mi, inspektorze, ale w tych grubych murach nie ma zasięgu.

Massimo oderwał oczy od ekranu smartfona. Kobieta, która mu się przyglądała, była o wiele młodsza, niż się spodziewał, mając na uwadze pełnioną przez nią funkcję. Pozbawiona makijażu twarz zdradzała oznaki niewyspania, ale czarne i błyszczące oczy spoglądały uważnie i z zaciekawieniem. I chyba tylko z odrobiną nieufności.

Marini przypomniał sobie, że widział ją podczas obchodów święta. Podał jej rękę, a ona ścisnęła ją delikatnie, lecz zdecydowanie.

– Przepraszam za porę – powiedział.

Przełożona klasztoru przechyliła lekko głowę.

– Powiedziano mi, że to pilna sprawa – odparła.

– Istotnie. Muszę się czegoś dowiedzieć.

– Zamieniam się w słuch.

Massimo spojrzał na pokój sąsiadujący z wejściem. Prowadziły do niego masywne drzwi wzmocnione żelaznymi okuciami i ręcznie robionym rygłem. Metal był gruby i wglądał dość siermiężnie. Wszystko w tym klasztorze było stare, z wyjątkiem zamieszkujących go istot.

– Jestem tutaj ze względu na koło podrzutków – wyjaśnił. – Muszę się dowiedzieć, do kiedy działało i co się działo z porzuconymi noworodkami.

Siostra Agata spojrzała na niego z zaskoczeniem.

– Inspektorze, koło nie działa od bardzo dawna.

– Rozumiem, ale przybyłem do Rail właśnie ze względu na śledztwo, które sięga daleko w przeszłość.

– I uważa pan, że tutaj znajdzie odpowiedzi?

– Mam taką nadzieję.

Uśmiechnęła się.

– Życzę panu tego – odparła – ale obawiam się, że to niemożliwe. Klasztor jest przede wszystkim miejscem modlitwy.

– Jeśli siostra pozwoli, chciałbym spróbować.

– Oczywiście.

– Jakieś trzydzieści kilometrów stąd, w lesie koło Traveni, odnaleziono ludzkie szczątki.

Zakonnica ściągnęła brwi.

– Znam to miasteczko – powiedziała. – Do kogo należały?

– Do chłopca. Nic nie wiemy o jego tożsamości.

Siostra Agata przeżegnała się.

– Straszne – szepnęła.

– Najprawdopodobniej urodził się około 1982 roku – powiedział Marini. Podał tę właśnie datę, ponieważ wtedy w dzienniku Wallnera pojawiła się pierwsza wzmianka o dziecku Omega, niestety bez żadnych dokładniejszych wyjaśnień.

– Jak mogłabym pomóc?

– Chcemy wiedzieć, co się działo z dziećmi zostawionymi w kole podrzutków.

Kobieta zerknęła na drzwi za plecami Massima.

– Rozumiem – rzekła. – Ale koło zostało zamknięte o wiele wcześniej. Proszę za mną, pokażę je panu.

Ruszyła długim korytarzem. Jej czarny habit zmiatał kamienną posadzkę. Dwudzielne okiennice wychodziły na wewnętrzne krużganki oświetlone latarniami. Pośród bezlistnych drzew owocowych jaśniał posąg anioła z rozpostartymi skrzydłami i melancholijnym wyrazem twarzy.

Zakonnica odsunęła rygiel i otworzyła drzwi. Massimo podszedł i zajrzał do środka.

– Zostawiłyśmy wszystko tak, jak było, na pamiątkę dzieła naszych współsióstr – wyjaśniła przełożona. – Proszę wejść, jeśli pan chce.

Massimo zrobił kilka kroków. W pokoju unosiła się woń suszonej lawendy; panował tu absolutny porządek, zupełnie jakby sprzątano tu codziennie. Pod ścianą po prawej stronie znajdowało się łóżko przykryte zgrzebną bawełnianą pościelą i kocem z szorstkiej wełny. Pod łóżkiem stał porcelanowy nocnik. Przy przeciwległej ścianie, pod drewnianym krzyżem, ustawiono stół i krzesło z plecionym siedziskiem. Na blacie leżała otwarta księga.

– Koło jest w ścianie – powiedziała siostra Agata i wskazała na mur naprzeciwko nich. Była to metalowa obrotowa beczka z małą kolebką. Massimo przyjrzał się misternie haftowanemu lnianemu becikowi, którego

wykonanie musiało zająć wiele czasu. Wzruszyła go troska siostr o życie maleństw, które tutaj zostawiano. W oczy rzucał się zwłaszcza kontrast ze spartańską pościelą na łóżku strażniczki.

– Koło otwierało się na zewnątrz – wyjaśniła siostra Agata. – Po włożeniu noworodka wystarczyło je obrócić. Z celi nie widać tego, kto podrzuca dziecko. Zazwyczaj w kocyku, w które było zawinięte niemowlę, pozostawiano drobne przedmioty, żeby dało się je rozpoznać, gdyby matka zmieniła zdanie.

Mariniego zaskoczył smutek, który zalał go tuż po przekroczeniu progu tego pokoju.

– Koło pochodzi z drugiej połowy osiemnastego wieku – siostra Agata opowiadała dalej. – Działo bez przerwy, z wyjątkiem czasów faszystowskich, gdyż zostało wówczas zakazane. Otworzono je na powrót w latach pięćdziesiątych.

– Czy podrzucano tutaj wiele noworodków?

– Nie tak dużo jak w miastach, gdzie industrializacja zmuszała robotnice do wyrzekania się własnych dzieci. Ale pośród tych gór również panowały bieda i głód.

– Kiedy ostatecznie zamknięto koło?

Zakonnica wskazała ręką na księgę.

– To jest ostatni rejestr.

Massimo podszedł i przeczytał:

– 18 października 1972 roku. Dziewczynka.

– Na imię dano jej Clara i była ostatnim podrzutkiem zostawionym w klasztorze.

– Co się dalej działo z tymi dziećmi? – zapytał Massimo.

– Przez dwa pierwsze tygodnie zostawały w klasztorze. Mamka z wioski troszczyła się o ich wyżywienie, a siostry o całą resztę. Po tym czasie, podczas którego modlono się, żeby matka wróciła i zabrała maleństwo do siebie, niemowlę powierzano państwu i przyjmowano do którejś z ochronek.

– Smutna historia – przyznał Massimo.

– Nie powiedziałabym. Tym istnieniom oszczędzono o wiele gorszego losu. Jak pan widzi, inspektorze, dziecko, którego pan szuka, nie zostało tutaj podrzucone, bo opuściłoby te mury tylko w jednym celu. Żeby kontynuować życie w sierocińcu.

Massimo wyszedł z klasztoru w Rail w wielkim przygnębieniu. Zanim odjechał, zatrzymał się, żeby z zewnątrz popatrzeć na koło podrzutków. Nad drzwiczkami znajdowała się kamienna płaskorzeźba przedstawiająca głowę diabła: złowrogie oczy wodziły za patrzącym, w którąkolwiek stronę by się przesunął. Rogi wiły się wokół twarzy o spiczastej brodzie, a z otwartych ust wystawały kły sięgające dolnej wargi. Wizerunek napawał przerażeniem i był ostatnim upomnieniem odwodzącym zbłąkane kobiety od podjętego zamiaru.

Massimo pomyślał, że Kościół zawsze był surowy dla innych, za to pobłażliwy wobec siebie.

Nie mógł otrząsnąć się z nieprzyjemnego wrażenia, które cały czas mu towarzyszyło. Przypominało lekkie, ale uporczywe mdłości, wywracające żołądek do góry nogami.

Myśl o porzuconych noworodkach poruszyła go dogłębnie. Zwłaszcza że dotyczyła wcale nie tak odległych czasów.

Massimo od początku był pod wrażeniem majestatycznej przyrody, w której tonęła cała dolina. Okolica jawiła mu się jako prawdziwy raj na ziemi, szybko jednak się przekonał, że jej historia – a może nawet teraźniejszość – skrywa winy, których nie da się zapomnieć. Fakt, to był Eden, ale już po upadku, skażony – jak zresztą cały świat – tym, co Marini nazywał „ludzkim brudem”. Niestety mieszkańcy Traveni nie zamierzali wyznać tej prawdy nawet sami przed sobą. A przecież nie byłoby w tym nic złego, gdyby postanowili zmierzyć się z niedoskonałą rzeczywistością; zamiast tego wzniesli niewidzialny mur wokół swojej społeczności, który wykluczał każdego, kto stawiał w złym świetle jej absolutną praworządność, jakby zepsucie pojedynczego członka mogło skazić całą resztę. Massimo najchętniej powiedziałby każdemu z nich, że w ten sposób wszyscy stają się współwinni. Tylko nieliczni myśleli inaczej, ale oni bacznie pilnowali, żeby nie zdradzić się ze swoją odmienną opinią.

Z wyjątkiem jednej osoby.

Tą osobą była matka Lucasa Ebrana. Massimo przypominał sobie, w jak rozpaczliwy i zarazem pogardliwy sposób broniła swojego syna przed policją i mieszkańcami. Nazwała ich hipokrytami. Kazała policzyć bękartów żyjących w miasteczku. Rzuciła wyzwanie znowie milczenia, która panowała w całej dolinie.

Massimo jeszcze raz rzucił okiem na diabelskie oblicze. Demon śmiał się z niego i z jego rozważań.

A może on nie śmieje się ze mnie, ale ze mną – pomyślał.

Zadzwoił do komisarz Battaglii, lecz jej komórka była wyłączona. Coraz bardziej przekonywał się do pewnego pomysłu. Matka Ebrana mówiła o tajemnicach, a Massimo wreszcie był gotów, by jej wysłuchać.

Na kościach szkieletu oraz na tkankach narządów, które Andreas zabrał ofiarom, Parri znalazł sfaleryt i galenit: siarczki cynku i ołowiu. Ich ślady obecne były także w pokarmie, który Andreas zostawił przy szczątkach swojego towarzysza: pożywienie przygotował brudnymi rękami.

Kamieniołom w Osvan, położony na wysokości tysiąca metrów, ciut powyżej alpejskiego działu wodnego, cechował iście księżycowy krajobraz.

Wozy policyjne zostawiły za sobą las i jechały dalej, po drodze biegnącej między jasnymi skałami wystającymi spod śniegu i odkrytym wnętrzem góry. W starych korytach stały porzucone, zardzewiałe maszyny; wszędzie leżały stosy drewna, które w świetle księżyca wyglądały jak skamieliny.

Pod kamieniołomem znajdowała się kopalnia cynku i ołowiu. Korytarze znajdowały się na różnych poziomach i łączyły z kanałami odprowadzającymi wodę, które biegły już poza granicami państwa. Sierżant Knauss wyjaśnił, że podczas pierwszej i drugiej wojny światowej wykorzystywano je do transportu żywności i broni.

Kopalnię zamknięto kilka dekad temu, gdy doszło do tąpnięcia i wszystko groziło zawaleniem. Wysokie koszty wydobywania oraz zmniejszony popyt na minerały spowodowały, że kamieniołom został porzucony. Przypominające koszary biura i budynki, w których oczyszczano wydobyty materiał, pochodziły z czasów faszystowskich: ich monumentalizm, przejawiający się w prostych liniach, gładkich fasadach i masywnej bryle, kłócił się z otoczeniem i szpecił pejzaż. Wybite szyby w oknach potęgowały wrażenie zdewastowania i ogołocenia.

Wejście do kopalni zagradzała metalowa siatka. Łańcuch, który kiedyś przymocowany był do skały, teraz leżał na ziemi, cały zardzewiały. Ślady niezasypane jeszcze przez śnieg gubiły się w ciemnościach.

Teresa poczekała, aż mężczyźni odsuną blokadę, po czym zajrzała do środka. Latarka wydobyła z mroku sztolnię i biegnące po ziemi szyny.

– Wewnątrz przez cały rok utrzymuje się stała temperatura w okolicach

dziewięciu stopni, a wilgotność sięga pięćdziesięciu ośmiu procent – wyjaśnił Knauss.

De Carli i Parisi dołączyli do Teresy.

– Macie to, o co was prosiłam? – zapytała.

– Tak, pani komisarz.

Teresa sprawdziła, czy wyłączyła komórkę, włożyła żółtą, fosforyzującą kurtkę i kask z czołówką. Tym razem zamierzała iść przodem.

– A jeśli to kolejny fałszywy trop? – odezwał się Knauss.

Teresa zadawała sobie to pytanie od chwili, w której skierowała wszystkie posiłki w to miejsce, a odpowiedź za każdym razem brzmiała tak samo: nie mieli nic do stracenia, bo brakowało innych tropów.

Jeszcze raz spojrzała w ciemność, na ślady, które zapuszczały się w głąb ziemi. Mogły być stare, mogły należeć do kogoś innego. Z głębi docierało tylko monotonne kapanie wody i nic więcej.

– Mówiłem pani. – Knauss splunął na ziemię. – Nie mógł dotrzeć aż tutaj.

– Uciszcie go – mruknęła Teresa do De Carliego.

– Tylko tracimy czas, ja...

Teresa chwyciła go za kołnierz. Była od niego niższa i słabsza, ale zdeterminowana.

– Nic pan nie powiedział o aktywistach. Nic pan nie powiedział o Ebranie i nawet tę sztolnię pan przemilczał – warknęła mu prosto w twarz. – Sierzancie Knauss, ma pan szczęście, że szkoda mi teraz czasu na zajmowanie się pańską nieudolnością, ale i ten moment kiedyś nastąpi. Całym sercem liczę, że znajdę tutaj to, czego szukam, bo to będzie oznaczać trzy rzeczy: że ocalę dziecko, złapię mordercę i po raz kolejny udowodnię przełożonym, że policja pana nie potrzebuje.

Puściła go, a na jej twarzy malowała się odraza.

Ciszę, która nastąpiła po jej wybuchu, przerwało zawodzenie. Teresa usłyszała je, chociaż dyszała głośno, a w uszach szumiała jej krew. Odwróciła się i wtedy zawodzenie znowu się powtórzyło: dobiegało z ciemnych trzewi sztolni.

– To płacz dziecka – powiedział Parisi.

Płacz zmęczonego i wygłodzonego dziecka. Teresa z pośpiechem zapięła kurtkę i przygotowała się do zadania.

– Ma pan swoją odpowiedź – rzuciła do Knaussa.

De Carli podał jej wydruki, o które prosiła. Złożyła je starannie i wsunęła

do kieszeni, ignorując drżenie rąk.

– Pani komisarz!

W świetle reflektorów widać było kobietę, która biegła w ich stronę. Przyjechała w ostatniej chwili.

– Kto ją powiadomił? – zapytał Knauss.

Teresa skinieniem poleciła De Carliemu, żeby podał drugą kurtkę.

– Ja – odparła.

– Pani komisarz, nie potrzeba nam przerażonej matki – szepnął Parisi. – Może nad sobą nie panować, jeśli sytuacja się zaostrzy.

Gloria Sanfilk podeszła do nich. Na zapadniętych policzkach miała przyklejone mokre od śniegu włosy, za to w jej oczach błyszczało coś, czego Teresa się nie spodziewała: nie rozpacz, nie zmęczenie, lecz ogień, który mógłby roztopić tysiącletnie lodowce skryte w tych górach.

– Czy mój syn tu jest? – zapytała.

– Tak – odpowiedziała Teresa.

– Pójdzie pani po niego?

– Razem pójdziemy. Da pani radę?

Gloria bez wahania kiwnęła głową.

W tej kobiecie było tyle siły i determinacji, że ich moc zaskoczyła nawet ją samą. Teresa zastanowiła się, do czego zdolna jest matka, żeby ocalić swoje potomstwo, do czego może pchnąć ją uczucie, na jak wysokie szczyty i w jak głębokie otchłanie jest w stanie ją zaprowadzić.

– To niemożliwe – wtrącił się Parisi. Był zaniepokojony. Teresa rozumiała jego sprzeciw wobec tak jawnej pogardy dla wszelkich procedur, które wpajano mu przez lata, była jednak przekonana, że nie ma innego wyjścia. Każdy musi się poświęcić i zaryzykować to, co dla niego najdroższe, nawet ona.

– Idę po moje dziecko! – oznajmiła kobieta, by dać wszystkim do zrozumienia, że ta kwestia nie podlega dyskusji.

– Glorio, tu chodzi o bezpieczeństwo – odezwał się Knauss. – Twoje i Marcusa.

Z ciemności dobiegło znów zawodzenie. Gloria Sanfilk aż zadrżała i zrobiła krok w ciemność.

– Mój syn mnie woła – oznajmiła. – Nie rozumiecie tego? On mnie woła.

– Glorio... – mruknął Knauss.

Kobieta odwróciła się i poszukała wzroku Teresy.

– Czuję jego obecność – szepnęła, kładąc rękę na piersi – i jestem pewna, że on też mnie wyczuwa.

Teresa nie miała co do tego wątpliwości. Lepiej niż ktokolwiek inny wiedziała, jak silna i instynktowna jest matczyna więź. Pradawna tajemnica, tak stara jak człowiek, a może nawet starsza. Od chwili, w której się tu znalazła, paliła ją blizna przecinająca jej brzuch, jakby i ona wyczuwała obecność dziecka na własnym ciele.

Skinęła na swoich ludzi.

– Dajcie jej kurtkę i kask – poleciła.

– Ale, pani komisarz...

Teresa uciszyła Parisiego, kładąc mu rękę na ramieniu.

– Proszę, pilnuj wszystkich – powiedziała do niego, wskazując wzrokiem na oświetlony reflektorami plac przed wejściem do kopalni. Pełno na nim było wozów policji, wojska i obrony cywilnej, a przed chwilą pojawiły się także dwa ambulanse. – Gdy stąd wyjdziemy, nikomu nie wolno strzelać. Zrozumiałeś?

Potem przywołała De Carliego i jego też ścisnęła za rękę.

– Nie zapominajcie, że on również jest ofiarą – dodała.

– Nie zapomnę, pani komisarz – odpowiedział policjant – ale jeśli panią skrzywdzi, ja...

– Nic się nikomu nie stanie, o ile nie zrobicie jakiegoś głupstwa.

Parisi roześmiał się nerwowo.

Teresa zostawiła ich i podeszła do Glorii.

– Gotowa? – zapytała.

Kobieta skinęła głową; cała aż się trzęsła.

– Niech się pani trzyma tuż za mną i robi wszystko, co powiem.

– Dobrze.

Teresa spojrzała jej głęboko w oczy.

– Nawet jeśli każę uciekać – dodała. – Zgoda?

– Tak.

Hugo Knauss odciągnął Teresę na bok. Przez chwilę była dla niego pełna uznania za odwagę, jakiej ten gest od niego wymagał.

– To cywil – zaprotestował. – Czy zdaje sobie pani sprawę z odpowiedzialności? Nie jest pani przygotowana do takich akcji.

– A kto z nas jest? – odparła.

– Pani komisarz...

- Nic jej się nie stanie.
 - Skąd ta pewność?
 - Bo ja będę cały czas między nią a nim.
- Teresa wróciła do Glorii. Razem weszły do sztolni.

W rozrzedzonym powietrzu rozlegało się wilgotne kapanie, które towarzyszyło odgłosom ich kroków. Po skalnych ścianach, podpartych przez drewniany szalunek mający zapobiec zawaleniu, ciekły strużki wody, tworząc na ziemi kałuże. Sztolnia miała długość około kilometra i połączona była otworami, zwanymi piecami, z korytarzami leżącymi poniżej: kiedyś służyły do transportu wydobytego materiału, dzisiaj stanowiły jedynie zagrożenie, bo w każdej chwili mogły się rozstać pod ich stopami i je pochłonać.

Teresa wsłuchiwała się we własny oddech, czuła, jak mocno bije jej serce, i całą sobą czekała, aż znów rozlegnie się płacz dziecka. Ono jednak milczało.

Stożek światła przed nimi drżał, ożywiając ich cienie. Teresa zastanawiała się, jak głęboko muszą jeszcze zanurzyć się w to skalne piekło, i właśnie wtedy, jak na zawołanie, do jej uszu dobiegło zawodzenie. Dochodziło gdzieś z bliska. Teresa usłyszała za sobą jęk Glorii, jej odruchową odpowiedź na wołanie dziecka.

Sztolnia zaczęła skręcać i opadać. Teresa nie miała przy sobie broni, nie chciała ryzykować; obawiała się, że w razie ataku ogarnie ją panika i zrani niemowlę, ale teraz czuła się bezbronna.

Nagle z ciemności dobył się ponury pomruk, który sprawił, że obie stanęły. Ten w połowie ludzki, a w połowie zwierzęcy głos zmroził im krew w żyłach. Było w nim coś dziwnego, coś przerażającego i paraliżującego.

Teresa odwróciła się powoli. Głos dochodził z bocznego tunelu, po jej prawej stronie. Czołówka oświetliła postać siedzącą kilka metrów dalej i częściowo zwróconą do nich plecami. W rękach trzymała zawiniątko. Andres Hoffman usiłował włożyć dziecku coś do ust. Gdy zobaczył promień latarki, odwrócił się.

Światło padało wprost na jego twarz i Teresa wreszcie ujrzała jego oczy. Naprawdę były niebieskie, tak jak opisał je David Knauss. Ale także zielone.

Andres miał różnobarwne tęczęwki.

Teresa podniosła ręce z nadzieją, że Gloria za nią zrobi to samo. Mężczyzna zawarczał jak zwierzę. Wiedziała, że potrafi powiedzieć kilka słów i je naśladować, ale w tym momencie górę wziął instynkt.

Powoli zdjęła kask z czołówką i położyła go na ziemi, tak żeby światło go nie oślepiło, ale oświetlało pomieszczenie, w którym się znajdowali.

Dziecko zakwiliło i Andreas znowu spróbował nakarmić je czymś, co Teresie przypominało kawałek mięsa. Wyglądał, jakby już zapomniał o ich obecności, jakby coś o wiele ważniejszego przykuło jego uwagę. Wiedziała, że Andreas jest przerażony, jednak nie ich pojawieniem się, lecz faktem, że dziecko nie chce jeść.

– Nie – powiedziała do niego cicho.

On znowu na nią popatrzył. Twarz o regularnych rysach i zaakcentowanych kościach policzkowych okalały długie włosy i broda. Wyglądał na młodszego, niż był w rzeczywistości, pomimo iż ciągłe przebywanie w górskim klimacie pogrubilo jego skórę. Był wysoki, a barani kozuch skrywał muskularną sylwetkę.

Powolnym ruchem, bacznie obserwując jego reakcję, Teresa wyciągnęła z kieszeni kartki. Przykucnęła i położyła je przed nim.

Wiedziała, że Andreas posiadał podstawy języka. Był w stanie zrozumieć jej słowa, wątpiła jednak, że to wystarczy. Świat Andreasa różnił się od jej świata, tworzyły go cisza, szum wiatru, odgłosy zwierząt. Długo zadreżczała się pytaniem, jak porozumieć się z tą istotą, z jej wyjątkowym umysłem, i w końcu znalazła odpowiedź: cała wiedza Andreasa opierała się na obserwacji natury, która do tej pory była jego domem. Teresa powinna więc posłużyć się jej językiem, żeby jakoś do niego dotrzeć.

Andreas przyjrzał się ilustracjom. Przedstawiały samice różnych gatunków karmiące swoje młode: wilczycę, kozę, lochę i kobietę.

Teresa patrzyła, jak mężczyzna spogląda na mięso, które trzymał w ręce, a potem podnosi wzrok na nie.

– Zrób krok do przodu i rozepnij kurtkę – szepnęła do Glorii. Kobieta wykonała polecenie bez wahania. Jej nabrzmiałe od mleka piersi napierały na sweter z jednoznacznym przesłaniem.

Mężczyzna to zauważył. Jego oczy bacznie się przyglądały, chociaż twarz nie zdradzała żadnych emocji. Teresie nietrudno było sobie wyobrazić, jak wielki jest jego smutek na myśl, że nie może zatrzymać dziecka, które sobie

wybrał. Czuła jego ból, zagubienie i strach na myśl, że znowu zostanie sam.

Wyciągnęła do niego ręce, żeby przyjąć maleństwo.

Stała tak, modląc się, żeby nie odebrał tego gestu jako zagrożenia. Wiedziała, że za jej plecami Parisi i reszta chowają się w mrokach sztolni, gotowi w każdej chwili wkroczyć do akcji.

Zamknęła oczy; jej ręce się trzęsły, a umysł błądził we wspomnieniach. Zastanawiała się, jak by to było być matką. Ani ona, ani Andreas nigdy nie dostąpią tej świętej i jedynej w swoim rodzaju tajemnicy. Poczowała głęboką więź z nim, z zabójcą, z ofiarą, z mężczyzną i dzieckiem jednocześnie. Z człowiekiem samotnym jak i ona. Jak ona przywykłym do samowystarczalności. Chociaż on w pewnym momencie ośmielił się zapragnąć czegoś innego, czegoś więcej.

Teresa zadała sobie pytanie, czy zgodzi się rozstać z dzieckiem, czy też będzie wolał patrzeć, jak powoli umiera.

W tym momencie poczuła w rękach coś miękkiego. Otworzyła oczy i zobaczyła niemowlę owinięte w jagnięce runo. Jej palce zacisnęły się, by nie wypuścić maleństwa i na chwilę – na długą chwilę – spotkały się z palcami Andreeasa. Teresa poczuła, jak przelatuje między nimi cicha iskra porozumienia i bólu, który w pełni pojęła dopiero, gdy przytuliła dziecko do piersi. Bo dopiero wtedy dotarło do niej, jak trudno będzie je oddać. Ona też chciałaby zatrzymać je przy sobie, kołysać je w ramionach i co noc zasypiać u jego boku.

Po jej twarzy pociekły łzy. Z ciężkim westchnieniem podała maleństwo matce.

– Nakarm je – powiedziała.

Gloria posłuchała: na jej zapłakanej twarzy malowała się wielka ulga. Mały łapczywie przyssał się do piersi.

Teresa spojrzała na Andreeasa. Wiedziała, że nie zrobi im krzywdy, bo zobaczył, że chłopczyk znalazł się tam, gdzie powinien.

– Idziemy, już – powiedziała do Glorii.

Kazała jej pierwszej się wycofać, a sama nie ruszyła z miejsca, dopóki nie była pewna, że kobieta wyszła już ze sztolni: to były długie minuty, podczas których Andreas ani na chwilę nie przestał wpatrywać się w jej oczy.

Niełatwo było oderwać od niego wzrok i zakończyć spotkanie. Mimo to Teresa wycofała się i zniknęła w mrokach kopalni.

– Nie strzelajcie. Nie strzelajcie – szeptała przy każdym kroku, który

przybliżał ją do uzbrojonych cieni wciśniętych w skalne ściany. Bała się. Po raz pierwszy w swojej karierze bała się o oprawcę.

Gdy wyszła na zewnątrz, zobaczyła, jak Gloria i Mathias obejmują małego Markusa. Matka i dzieci wyglądali jak jedno ciało, jedno serce. Teresa powiodła wzrokiem po obecnych, ale nie zobaczyła ojca. Gloria pokazała, że ma siłę, dotrzymała obietnicy, a Teresa uczyniła to samo ze słowem danym Mathiasowi: oddała mu nie tylko braciszka, ale i rodzinę. Wtedy chłopiec podniósł głowę i zobaczył Teresę. Pomyślała, że do końca swych dni wspominać będzie chwilę, w której ich spojrzenia się spotkały.

Uniosła twarz do nieba, by rozkoszować się lekkością płatków śniegu na skórze. Kołysały wzburzenie i uspokajały ją.

Nagle poczuła się pusta. Jej ciało zwiotczało i upadło na śnieg. Przez kilka chwil zachowała jeszcze świadomość, na tyle, by zdać sobie sprawę, że leży na ziemi, na mrozie, który przez minione dni towarzyszył jej w środku i na zewnątrz. Potem nastąpiła ciemność.

Chociaż zapadła już głęboka noc, matka Lucasa Ebrana otworzyła mu po pierwszym dzwonku. Spojrzała na Massima nierozumnym wzrokiem, ale potem przypomniała sobie, w jakich okolicznościach się poznali, i zatrzasnęła mu drzwi przed nosem.

– Błagam! – powiedział inspektor, usiłując ją powstrzymać. – To ważne!

Okna w domu były całkiem ciemne, on jednak wiedział, że kobieta go obserwuje. Rozejrzał się wokół: ulica była pusta. Mężczyzna, który z nim przyszedł, stał z boku, plecami oparty o ścianę, z głową zwieszoną tak, że podbródkiem prawie dotykał piersi. Od momentu, w którym Massimo zmusił go, by mu towarzyszył, nie rzekł ani słowa.

Marini zapukał jeszcze raz.

– Przyszedłem, żeby pani wysłuchać. Muszę poznać tajemnice doliny – powiedział głośno.

Po kilku chwilach rozległo się szcęknięcie zamka i przez szparę w drzwiach para wrogich oczu wbiła w niego wzrok.

– Czego chcesz? – zapytała kobieta.

– Już mówiłem, poznać grzechy i grzeszników. Dobrze trafiłem?

– Może – prychnęła – ale nie gadam z takimi jak ty.

– A co my takiego złego robimy? – zapytał, uśmiechając się półgębkiem.

Już miała zamknąć, ale Massimo okazał się szybszy i przytrzymał drzwi.

– Proszę stąd iść!

Kobieta otworzyła na oścież, ale tym razem miała w rękach siekiere.

Massimo natychmiast się odsunął.

– Stop! Mam prezent, mam dla pani prezent! – zakrzyknął.

Zmierzyła go od stóp do głów, bardziej zaintrygowana niż wściekła. Massimo odwrócił się w stronę mężczyzny, który nie przestawał wpatrywać się w kamienie na drodze, jakby nic poza nimi nie istniało. Kobieta podążyła za jego wzrokiem.

– Lucas!

Jej głos nagle zmienił ton. Na widok syna w jednej chwili złagodniała.

Viola była wrażliwą kobietą uwięzioną w zwalistym ciele. Z trudnością poruszała się po małej kuchni połączonej z pokojem dziennym. Gdy przygotowywała kawę, jej biodra uderzały we wszystko, co napotkały po drodze, wytrącając ją z równowagi.

– Nogi nie działają jak trzeba, plecy też dają się we znaki – rzuciła w odpowiedzi na jego spojrzenie. – Całe ciało odmawia mi posłuszeństwa.

Massimo nie wiedział, co odpowiedzieć. Wolał zmienić temat.

– Zdziwiło mnie, że o tej porze jeszcze pani nie śpi – wyznał, podczas gdy kobieta otwierała paczkę ciastek i wysypywała zawartość na talerzyk, który postawiła między filiżankami. Wlała kawę i podała Mariniemu szklanekę robiącą za cukiernicę.

Podziękował.

– Czekałam na Lucasa – odparła, siadając z wysiłkiem. – Jeszcze go nie widziałam, od kiedy wyszedł. Lubi znikać, ukrywać się przed światem. I przede mną. Skaranie boskie z nim.

Massimo z trudem wytrzymał jej spojrzenie. Patrzył, jak głaszcze syna, jak szepcze do niego słowa, które tylko on mógł usłyszeć. Czekał cierpliwie, aż zaprowadzi go do łazienki i umyje. Potem słyszał, jak śpiewa mu słodką kołysankę. Viola otoczyła opieką dziecko, którym Lucas Ebran ciągle był. Dopiero gdy położyła go do łóżka, wróciła do gościa.

– Przykro mi – wydusił z siebie. – Jestem pewien, że wcześniej czy później wszystko się ułoży.

Kobieta popatrzyła na niego tak, jakby chciała powiedzieć, że tylko marnuje czas na kłamstwa. Dawno przestała wierzyć, że spotka ją jeszcze coś dobrego.

– Mój syn stracił rozum, gdy musiał zmyć krew swojego ojca z podłogi, inspektorze. On jest chory tutaj – popukała się w czoło – ale nie jest potworem. A wy przyszliście po niego uzbrojeni po zęby.

– Teraz już wiemy, że popełniliśmy błąd, ale musieliśmy go sprawdzić.

Zrobiła taką minę, jakby to już nie miało żadnego znaczenia. Massimo podejrzewał, że najbardziej boli ją utrata resztek godności.

– Przyszedłem w sprawie tego, co pani mówiła o mieszkańcach doliny – zmienił temat.

– Pamiętam. Mam taki brzydki zwyczaj, że podnoszę głos, gdy się boję.

Massimowi zabrakło słów. Rzadko miał okazję spotkać tak szczerą osobę. A może nie chodziło tu o szczerłość, lecz o całkowitą bierność: ta kobieta wyrzekła się jakiegokolwiek formy obrony.

– Przepraszam, jeśli panią wystraszyłem.

Jego przeprosiny pozostały bez odzewu.

– Mówisz, że przyszedłeś po tajemnice.

– Tak. Zaskoczyło mnie, że wspomniała pani o nieślubnych dzieciach. Mieszkańcy doliny są ludźmi bardzo wierzącymi, prawda?

Kobieta ze złością machnęła ręką, jakby chciała posłać do diabła wszystkich kaznodziejów, świętych i im podobnych.

– Ci, co przesiadują w kościele, grzeszą najwięcej – odparła.

– Byłem w klasztorze w Rail – powiedział Massimo. – I widziałem koło. Wstrząsająca historia.

Viola pokiwała głową.

– Działy się tu gorsze rzeczy. Nawet nasza mała dolina ma co ukrywać – zdradziła. – Liczą, że ludzie mają krótką pamięć, ale ja im się śmieję w twarz, gdy mijam je na ulicy.

– Kogo?

– Zakonnice.

Massimo pochylił się w stronę kobiety.

– Zakonnice ukrywają jakiś sekret? – zapytał, żeby się upewnić, że dobrze zrozumiał.

Uśmiechnęła się szelmowsko, jak ktoś, kto ma jeszcze wiele do powiedzenia. Sięgnęła po ciastko i włożyła je sobie do ust.

– Romanse – powiedziała. – Bo o nich mówimy.

W jednej chwili całe podekscytowanie uleciało z Massima. Spodziewał się czegoś naprawdę ciekawego. On też poczęstował się słodką przekąską.

– Nic nowego pod słońcem – odparł zniechęcony.

Viola uśmiechnęła się szerzej.

– Chcesz poznać tę historię czy nie? – zapytała.

– Jaką historię?

– Dziecka urodzonego w klasztornych murach, które ich nigdy nie opuściło. Może to tylko plotki, ale mój mąż twierdził, że słyszał płacz nowo narodzonego dziecka i wrzaski kobiety, która wydała je na świat.

Teresa otworzyła oczy i przez chwilę zastanawiała się, czy już nastał dzień. Wydawało jej się, że biel śniegu wręcz ją oślepia. Parę razy zamrugła powiekami, zanim zdała sobie sprawę, co ma przed oczami. Nad sobą ujrzała oświetlony przez jarzeniówki sufit, a wokół – laminowane meble. Leżała w pomieszczeniu przypominającym ambulatorium. Na biurku, obok komputera, stało zdjęcie dobrze znanego jej mężczyzny. Spoglądał na nią z górskiego szczytu, młodszy, chudszy i z rozwianym włosom.

Teresa próbowała się podnieść, ale mięśnie odmówiły posłuszeństwa. Wyczerpana opadła na poduszkę.

– Podejrzewam u pani wstrząs, zbyt duży poziom cukru we krwi – odezwał się jakiś głos.

Teresa odwróciła głowę. Doktor Ian patrzył na nią z progu i się uśmiechał.

– Umrę? – zapytała poważnie.

On tylko się roześmiał i podszedł bliżej. Chwycił ją za przegub i sprawdził tętno.

– Jeszcze nie dzisiaj – odparł. – Pani koledzy powiedzieli mi, że ma pani cukrzycę. Zgaduję, że zapomniała pani o zastrzyku.

Teresa znowu zamknęła oczy. Nie pamiętała tego, nie potrafiła sobie nawet przypomnieć, kiedy ostatni raz brała insulinę.

– Być może – odpowiedziała.

– Spokojnie. Ja się tym zająłem. Poziom cukru był bardzo niepokojący. Proszę jeszcze leżeć, jest pani osłabiona. Przywieziono panią zaledwie kwadrans temu. Odesłałem stąd policjantów. Musi pani odpocząć, choćby przez kilka godzin.

Teresa miała mętlik w głowie, ale przede wszystkim było jej głupio.

– Dziękuję – powiedziała z zażenowaniem. – Doktorze?

– Tak?

– Złapali go?

Bała się odpowiedzi, ale jeszcze bardziej przerażała ją niewiedza.

Lekarz kiwnął głową.

– Tak. Nic mu nie jest – odparł.

Odetchnęła z ulgą.

– A dziecko?

– Na wszelki wypadek przewieziono je do szpitala w mieście. Ale ma się dobrze. Jediną osobą, która potrzebowała karetki, jest pani. Proszę leżeć, zaraz wrócę.

Teresa wpatrzyła się w sufit. Andreas na swój sposób zatroszczył się o niemowlę. Zastanawiała się, jak on się teraz czuje, daleko od lasu, w otoczeniu całkiem obcych mu ludzi.

Przerażony. Zdezorientowany. Zrozpaczony.

Musiała iść do niego. Odrzuciła prześcieradło i usiadła. Nie miała na sobie kurtki, nie wiedziała też, gdzie są jej torba i pistolet. Może koledzy zabrali broń. Wstała, ale zakręciło się jej w głowie, więc chwyciła się leżanki. Próbowała wygładzić rękoma pogniecione ubrania, poprawiła włosy, ale nawet się nie łudziła, że przywróciła sobie godny wygląd. Sięgnęła do kieszeni po chusteczkę. Była wymięta, jak ona sama, i zabazgrana; ku własnemu zdziwieniu zdała sobie sprawę, że to jej własne pismo. Najwyraźniej były to notatki z ostatnich godzin, których nie zdążyła jeszcze przepisać do dziennika. Chociaż nosiły dzisiejszą datę, nie pamiętała momentu, w którym je kreśliła. Ale to nie szybkie postępowanie choroby ją martwiło, a słowa, które sama do siebie skierowała.

Cele sióstr znajdowały się w podziemiach klasztoru w Rail. Były to małe pomieszczenia wydrążone w wapiennej skale, starsze niż sama budowla, pochodzące jeszcze z czasów romańskich. Dawne celtyckie hipogeum gościło zakonnice od zmierzchu aż po świt.

Massimo zszedł po stopniach prowadzących do tysiącletnich katakumb, z trudem panując nad pragnieniem, by wreszcie rozwiązać tajemnicę Omegi.

Przełożona nie bez oporów zgodziła się go wpuścić. Z twarzy siostry Agaty znikł uśmiech, gdy Massimo znowu zadzwonił do klasztornej furty i szepnął jej dwa słowa, zaledwie kilka sylab, które wzbudziły w niej strach i jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki otworzyły przed nim podwoje klasztoru.

Matka Lucasa Ebrana opowiedziała mu historię, o której przed trzydziestoma laty gadało całe Rail: historię o pięknej młodej mniszce budzącej powszechny zachwyt. Oczy mieszkańców wodziły za nią i za coraz bardziej okrągłym brzuchem skrywanym pod benedyktyńskim habitem.

Siostra Agata zaprzeczyła, jakoby kiedykolwiek w klasztorze doszło do takiego skandalu, ale przyznała, że wówczas nie mieszkała jeszcze w Rail. Jej słowa, próba zdystansowania się od cudzej winy, była dla Massima jedyną szansą – zaczął więc nalegać i błagać zakonnice o pomoc.

Uległa dopiero wtedy, gdy przypomniał jej, że przyszedł w sprawie bezimiennego dziecka, które zasługiwało na to, by po dwudziestu pięciu latach od jego śmierci prawda wreszcie wyszła na jaw.

Massimo szedł za siostrą Agatą długim korytarzem wydrążonym w skale. Wzdłuż jednej ściany znajdowały się drzwi prowadzące do cel, tak niskie, że zmuszały wchodzących do pochylecia się. W drzwiach zauważył małe okienka przesłonięte gęstą kratą, przez którą można było zajrzeć do środka. We wszystkich celach panowała ciemność, z wyjątkiem ostatniej.

Przełożona zatrzymała się właśnie przed nią i wskazała na oświetlone drzwi.

– Spodziewa się pana – powiedziała. – Poczekam przy wejściu.

– Dziękuję.

Massimo podszedł wolnym krokiem. Coś w tym miejscu domagało się szacunku i milczenia, on jednak miał świadomość, że jego słowa rozgrzebią dawno pochowaną tajemnicę i wzburzą klasztorny spokój.

Przez kratę wpatrywała się w niego zakonnica. Nazywała się Marja Restochowa; właśnie tak brzmiały dwa słowa, które tak wstrząsnęły siostrą Agatą.

Massimo dosłownie zatkło, gdy dowiedział się, że kobieta nadal przebywa w klasztorze. Teraz mógł się jedynie domyślać, jak kiedyś wyglądała jej twarz, choć ciągle dało się w niej dostrzec ślady dawnej urody. W drżącym świetle świecy jej przezroczysta skóra błyszczała jak atłas.

Massimo zbyt długo się zastanawiał, od czego zacząć, dlatego zakonnica odezwała się pierwsza.

– Zna pan moje imię – stwierdziła.

– Imię i historię, którą chciałbym usłyszeć z ust siostry.

– Ach, tę historię. Minęło tyle lat, a niektórzy nadal powtarzają plotki.

– Proszę więc opowiedzieć mi swoją wersję.

– To wszystko kłamstwa, inspektorze. Niech mnie pan zostawi w spokoju.

Massimo wychwycił lekkie drzenie w jej głosie. Początkowo wziął je za zdenerwowanie, teraz jednak wiedział, że chodzi o strach.

– Jestem tutaj, żeby porozmawiać o dziecku – wyznał bez ogródek. – O dziecku, które urodziło się w tych murach, a potem zniknęło.

Marja milczała.

– Co siostrę tak przeraża po tylu latach? – zapytał. – Że ktoś siostrę osądzi? Poczucie wstydu?

– Ludzie kłamią!

– Chyba raczej siostra. A wyrzuty sumienia okazały się tak nieznośne, że wyrzekła się siostra świata i złożyła śluby klauzury!

– Proszę stąd wyjść! Tu nie otrzyma pan żadnej odpowiedzi.

– Co racja, to racja, ale są inne sposoby. Na przykład badanie DNA.

Zakonnica wstrzymała oddech.

– Co pan ma na myśli?

Massimo przysunął się do kraty:

– Znaleźliśmy ciało dziecka zmarłego dwadzieścia pięć lat temu. Myślę, że to siostry syn.

Kobieta otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu.

– Urodziła go siostra i porzuciła. Muszę wiedzieć, kto siostrze pomagał.

– Jak umarł? – zapytała rwącym się głosem.

– Zabił go ten, kto się nim zaopiekował.

Marja spuściła głowę i zamknęła oczy. Spod powiek wypłynęły pierwsze łzy. Wtedy Massimo zrozumiał, że do tej pory wciąż wierzyła, że jej dziecko żyje, szczęśliwe, choć daleko od niej.

– Bałam się – wyznała. – Ale nie zrobiłam nic złego. Przekazałam go w ręce o wiele lepsze od moich, które miały mu znaleźć kochającą rodzinę.

– Czy został odesłany do sierocińca?

– Nie.

– W takim razie czyje to były ręce?

– Tego, kto pomógł mu przyjść na świat.

Massimo chwycił za kratę i przysunął twarz do twarzy zakonnicy. Cichy szloch nie wzbudził jego litości.

– Chcę usłyszeć nazwisko – powiedział.

Marja z westchnieniem przysunęła wargi do jego ucha i wyszeptała cicho dwa słowa, jakby pomimo upływu czasu nadal bała się je wypowiadać na głos.

Massimo popatrzył na nią z niedowierzaniem. Znał tego człowieka. Ale dopiero w tym momencie skojarzył niebieskie, postarzałe oczy z niewyraźnym zdjęciem znalezionym w aktach przedawnionej i nigdy nierozwiązanej sprawy spoza granic państwa.

Teresa nie przypomiwała sobie, żeby zleciła Mariniemu takie zadanie. Nie pamiętała ani jednego słowa z ich rozmowy na ten temat, a mimo to prawdopodobnie kilka godzin wcześniej kazała mu jechać do klasztoru w Rail. Na papierowej chusteczce była tylko ta jedna, skreślona w pośpiechu notatka, którą najwyraźniej zamierzała potem przepisać do zeszytu. Zdanie kończyły słowa: „zajrzyj do dziennika”.

Pamiętała, że po rozmowie z doktorem Ianem w pubie zapisała w notesie coś o kole podrzutków. Być może właśnie to miała na myśli.

W szafce znalazła kurtkę i torbę. Wzięła dziennik i zaczęła go przeglądać, ale niczego na temat koła nie znalazła. A przecież dałaby sobie rękę uciąć, że o nim pisała. Sprawdziła jeszcze raz: brakowało jednej strony. Pamiętała ją dobrze, pomimo ogólnego oszołomienia, w którym się znajdowała.

– Prosiłem, żeby pani nie wstawiała – powiedział Ian, wchodząc do pokoju. – Jak się pani czuje?

Teresa też zadawała sobie to pytanie. Miała wrażenie, jakby co jakiś czas jakaś obca osoba przejmowała kontrolę nad jej życiem, mieszała szyki, a potem pozostawiała ślady po swojej krótkiej obecności.

– Czy ktoś miał dostęp do moich rzeczy? – zapytała.

Ian spojrzał na nią ze zdziwieniem.

– O ile mi wiadomo, nie. Cały czas leżały tutaj. Przynieśli je pani koledzy i włożyli do szafki. Czegoś brakuje?

Teresa popatrzyła na dziennik.

Jesteś pewna, że ktoś go otwierał?

– Brakuje jednej strony – powiedziała.

Ian podszedł i przyjrzał się zeszytowi.

– Naprawdę?

– Tak.

– Skąd pani wie, że strona nie została wyrwana wcześniej? Albo że w ogóle została wyrwana? To przecież skoroszyt.

Teresa podniosła na niego wzrok; nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nie mogła mieć absolutnej pewności, bo sama sobie już nie ufała.

Podeszła do okna. Ciemność przesłaniała widok, a to samo działało się z jej myślami. Może coś, co miała tylko w zamiarze, uznała za już wykonane.

– Dobrze się pani czuje?

– Tak... chyba tak.

– Niech się pani położy, jest pani blada.

– Nie... Muszę coś zrobić.

Ian podszedł i chwycił ją delikatnie za łokieć, jakby chciał ją podtrzymać.

– Co zrobić? – zapytał.

– Tego dokładnie nie wiem – odparła. I to była prawda. Uwolniła rękę i zrobiła kilka kroków, sprawdzając równowagę, nie tylko tę fizyczną.

– Wygląda pani na zagubioną. Często się to zdarza? Zaniki pamięci i świadomości, ataki paniki...

Teresa poczuła w ustach gorzki smak.

Czyli tak to się zaczyna – pomyślała. Liczyła, że choroba będzie postępować powoli, a zamiast tego Teresa wpadła w wir, który ciągnie ją na dno i dezorientuje.

Ale ta notatka: „zajrzyj do dziennika”... I wspomnienie, wyraźne, choć niepełne. Wiedziała, że jest chora, a mimo to musiała sobie uwierzyć, wysilić się ten jeszcze jeden raz dla dobra sprawy.

Zastanowiła się, komu mogłoby zależeć, żeby taka zwykła notatka zniknęła. Nic specjalnego, zwykły trop, jak wiele innych w tej sprawie, które należało sprawdzić. Ale fakt, że brakuje tej właśnie strony, to już wskazówka. Ten, kto ją wyrwał, kierował się strachem, bo wiedział, że kilka zapisanych słów może doprowadzić do wielkiej tajemnicy. Niestety spóźnił się, bo ona zdążyła już posłać Mariniego tam, skąd – czego była pewna – bezimienne dziecko zostało zabrane.

Ten ktoś popełnił wielki błąd: zdradził się z wiedzą, że ona o niczym nie będzie pamiętała, że łatwo w niej wzbudzić wątpliwości. Że alzheimer już zaczął pożerać jej wspomnienia. A przecież ona nikomu o tym nie mówiła, nie miała nawet odwagi, żeby sama przed sobą nazwać rzeczy po imieniu.

Teresa spojrzała na monitor włączonego komputera. Ktoś otworzył na nim program do wypełniania karty pacjenta, połączony z centralnym serwerem służby zdrowia i dający pełny wgląd do jej badań.

– Pani komisarz?

Teresie nagle zakręciło się w głowie. Oparła się o łóżko, żeby nie upaść. Popatrzyła na Iana.

– Dobrze się pani czuje? – zapytał lekarz.

Przypomniała sobie zastrzyk, który dostała.

– Co... co mi pan wstrzyknął? – wymruczała chrapliwym głosem.

Ian roześmiał się zaskoczony.

– Insulinę, oczywiście. Nie pamięta pani?

Teresa czuła, jak nogi uginają się pod nią, ale nie wiedziała, czy powodem jest brak snu, złe odżywianie czy trucizna, która płynie w jej żyłach. A może tylko strach.

– Zna pan moją tajemnicę, doktorze, nieprawdaż? – zapytała, dysząc ciężko.

W szafce za plecami lekarza zadzwonił jej telefon. Teresa ani drgnęła.

Spojrzenie Iana nagle uległo zmianie: stało się obojętne, a nawet odrobinę wrogie.

– Nie odbierze pani? – zapytał.

– Wyreżczy mnie pan, doktorze Wallner?

Mężczyzna zamknął oczy – jasne jak lód i równie zimne. Teresa pomyślała, że wcale nie przypomina młodego dyrektora sierocińca ze zdjęcia sprzed lat. I nie chodziło tylko o postarzale z biegiem lat rysy twarzy: Ian dobrze się ukrył pod maską łagodności i uśmiechu, który bardziej niż cokolwiek innego sprawił, że wyglądał na całkiem innego człowieka. W duchu jednak pozostał taki jak dawniej; Teresa zobaczyła to w jego pozbawionych skruchy i empatii oczach. Zastanowiła się, jak wiele wysiłku musi kosztować dźwiganie przez życie takiego kamuflażu. Ale przecież to nie był wysiłek, tylko chore postanowienie.

Nawet wtedy gdy pokazała mu dziennik, obejrzał go z taką miną, jakby nigdy wcześniej nie miał go w rękach. Ten człowiek wyróżniał się nadzwyczajną samokontrolą.

– Od początku uważałam, że za całą historią stoi potwór. Ale nie jest nim Andreas Hoffman – powiedziała. – Nie dziecko numer trzydzieści dziewięć. Prawdziwym potworem jest ten, kto ukradł mu życie i zabił jedyne koleżę. Pan, doktorze.

Wargi Wallnera rozciągnęły się w uśmiechu, który wzbudził w Teresie mdłości.

– Jestem naukowcem. A nauka wymaga ofiar.

– Zabił pan dziecko. Chociaż chciał się pan pozbyć obydwu chłopców. Dlaczego nie wrócił pan do chaty, żeby sprawdzić, czy się udało?

– Wróciłem, a jakże, i znalazłem tylko jedno ciało, pani komisarz. Wtedy uciekłem, bo wiedziałem, do czego zdolny jest Alfa. Miał piętnaście lat i ciało młodego mężczyzny. Jego wściekłość mogła okazać się zabójcza.

– Dlatego podłożył pan ogień.

– To był mój jedyny błąd. Myślałem, że pożar strawi ślady mojej obecności. Ale gdy uciekałem, potknąłem się i wpadłem w dół. Udało mi się doczołgać aż do miasteczka. Miałem nogę złamaną w trzech miejscach, musiałem leżeć przez wiele miesięcy. I na zawsze zrezygnować z gór. Nie mogłem już wrócić, żeby podziwiać swoje dzieło.

– Jest pan zbrodniarzem, jak pański ojciec i podobni wam szarlatani.

– Od wojny minęło sześćdziesiąt lat, a ludzie nadal się skarżą.

– Będzie pan miał okazję wyjaśnić to sobie z sędziami.

Wallner roześmiał się głośno.

– Jak pani myśli, dlaczego nie wyjechałem? – zapytał. – Przecież mogłem to zrobić, gdy tylko zaczęła pani zbliżać się do prawdy. Ale mam siedemdziesiąt pięć lat i chore serce. Teraz nie tak łatwo zacząć nowe życie pod fałszywym nazwiskiem jak czterdzieści lat temu. Prawda jest taka, że nigdy nie pójde do więzienia. Minie wiele lat, zanim zapadnie wyrok w pierwszej instancji. Bez względu na to, jak potoczą się sprawy, ja już wygrałem, pani komisarz.

Za plecami lekarza pojawili się Parisi i reszta jej zespołu.

– Osobiście zatroszczę się o to, żeby zmienił pan zdanie, doktorze Wallner – odparła.

Lekarz zorientował się, że nie są sami, i obejrzał się za siebie. Wtedy z jego twarzy znikła cała pewność siebie, którą jeszcze przed chwilą demonstrował. Parisi chwycił go za ramię i wyprowadził z pokoju. Przed odejściem Wallner odwrócił się jeszcze w stronę Teresy.

– W strzykawce była tylko insulina – powiedział. – Nie umrze pani. Nie dzisiaj.

Teresa musiała usiąść na łóżku, żeby się nie przewrócić. Miała nogi jak z waty i przyspieszony oddech. Potrzebowała kilku dobrych minut, zanim wróciła do siebie.

– Wszystko w porządku, pani komisarz?

Spojrzała na De Carliego.

– To koniec – powiedziała, jakby te dwa słowa wszystko tłumaczyły.

De Carli pokiwał z uśmiechem głową.

– Co wy tu robicie? – zapytała.

– Przysłał nas Marini. Zadzwoił i powiedział nam o Wallnerze. Chce z panią rozmawiać.

Policjant podał jej komórkę. Teresa wahała się przez kilka sekund, szukając w głowie odpowiednich słów. W końcu wyciągnęła rękę.

– Pierwsza to rozwiązałam – oznajmiła do słuchawki.

Marini się roześmiał.

– Skąd ta pewność?

– Ze statystyk. Zawsze jesteś drugi.

W telefonie znowu rozległ się śmiech.

– Jak się pani czuje? – zapytał.

Teresa musiała się chwilę zastanowić.

– Dobrze – odpowiedziała w końcu, zgodnie z prawdą.

Mimo wszystko i wbrew wszelkim prognozom po raz pierwszy od długiego czasu czuła, że żyje. Dopiero co wyszła zwycięsko ze starcia, a teraz czekała ją o wiele poważniejsza walka z samą sobą. Ale to ona była kowalem własnego losu, tak teraz, jak i w przyszłości.

Spojrzała na swoje odbicie w szybie.

Zobaczyła rozczochraną kobietę ze zmarszczkami na zmęczonej twarzy, ale z błyskiem w oku.

To była jej twarz. Twarz wojowniczkki.

Epilog

Nad wąwozem Slivy unosiła się lekka mgiełka. Nie były to jednak przenikające chłodem zimowe opary, lecz pierwszy oddech wiosny, który przedwcześnie powiał nad korytem potoku. Przyniósł ze sobą zapach pędów gotowych, by przebić się przez ziemię i ujrzeć światło dzienne. Woda nie stała w bezruchu, jak jeszcze kilka tygodni temu: szumiała, wirowała i rozpryskiwała się o skały. Łód spłynął z brzegów i poszycia jak pokonane wojsko, które wycofuje się z pola bitwy.

Las przebudzał się codziennie po trochu, przeciągał leniwie przy akompaniamencie pierwszych ptaków, które wracały z nizin.

Mathias pomyślał, że wraz z naturą odradza się też jego życie, tak jak życie Lucii, Diega i Olivera. W szkole uczyli się o porach roku, a teraz, w wąwozie, gdzie wszystko się zaczęło, mógł na własne oczy zobaczyć, jak jedna z nich zastępuje drugą, jak rozkwitają pierwsze pąki.

Wyobraził sobie, że z nimi jest podobnie. Przestali być bierni, przestali tkwić nieruchomo w jednym bolesnym punkcie z przeszłości. Ruszyli przed siebie, jak chmury na niebie, jak woda po kamieniach i jak wiatr między źdźbłami traw. Byli jak kwiaty, które wreszcie znalazły długo szukane światło.

Zbiegł po ścieżce aż nad brzeg potoku, wdychając pełnymi płucami świeże zapachy. Resztę dobrze znanej drogi pokonał po schodkach i wiszących mostkach. Drewno uwolniło się od mrozu i teraz pod jego krokami wydawało inny dźwięk: miękki i przyjemny, który Mathiasowi kojarzył się z nadchodzącą wiosną. Nawet woda zmieniła barwę i połyskiwała na przemian to głęboką zielenią, to odcieniami turkusa.

Tu, na dole, w gardzieli wąwozu, nie czuł się już samotny. Z zadartą głową, wpatrzony w błękit nieba, wyczuwał bicie setek malutkich serc ukrytych w konarach drzew.

W tej chwili słońce znalazło się w najwyższym punkcie i jego promień rozświetlił jar, uwalniając całą paletę barw.

Mathias roześmiał się, oszołomiony życiem, a jego głos odbił się echem od skał i szczelin. W odpowiedzi przyjaciele zawyli jak młode wilczki.

Pobiegł do nich przez jaskinię, aż do wodospadu, który znowu swobodnie spadał w tęczowych rozpryskach.

Lucia, Diego i Oliver już na niego czekali. Wypakowane plecaki i mapy w rękach wskazywały, że gotowi są wyruszyć po nową przygodę.

Mathias zrobił krok w ich stronę, ale nagle obejrzał się za siebie, w stronę lasu. Pośród nowych dźwięków i nawoływań, które wibrowały w powietrzu, brakowało jednego. Wsłuchiwał się przez chwilę z cichą nadzieją, że znowu wyczuje jego obecność i dostrzeże go między drzewami, ale w lesie nie było już żadnego cienia.

Przyjaciele wzywali go. Mathias porzucił za sobą smutek, który rozwiął się jak popiół po wygasłym ognisku na wietrze.

Więzienne szpitale psychiatryczne zastąpiono tak zwanymi „ośrodkami psychiatrii sądowej”. Teresa miała nadzieję, że reforma nie objęła tylko nazewnictwa. Chciała wierzyć, że mężczyzna, który czekał na nią za drzwiami, otrzymał wreszcie szansę, by nauczyć się, jak żyć, a nie tylko jak przetrwać. Może grzeszyła naiwnością, ale na tym etapie życia najbardziej potrzebowała właśnie nadziei.

– Gotowa? – zapytał Marini, który przy niej stał.

Teresa skinęła głową i strażnik otworzył drzwi.

Andreas Hoffman siedział nie jak zabójca z wyrokiem, lecz jak król na wygnaniu. Odebrano mu tron, a królestwo rzucono na pastwę koparek i spychaczy, które miały je zrównać z ziemią. Mimo to prezentował się z godnością wielkiego zdobywcy.

Siedział wyprostowany, z podniesioną brodą i związanymi rękami opartymi na brzuchu; wpatrywał się w gołą ścianę przed sobą. Miał obcięte włosy i był ogolony. Teresa przyjrzała się jego pięknej twarzy, która wyglądała jak wyrzeźbiona w złoconym drewnie, i zrozumiała, że nic nie jest w stanie splamić tej duszy, nawet rozlana przez niego krew.

Andreas żył na całkiem innej płaszczyźnie: pierwotnej, pozbawionej hipokryzji i ludzkiej małostkowości. I nawet śmierć nie odebrała mu niewinności.

Bijąca z jego osoby siła zrobiła duże wrażenie na Teresie: nie była to tylko siła fizyczna, lecz witalna energia, która w sposób namacalny nacierała na jej ciało nawet z takiej odległości. To był ów zwierzęcy magnetyzm, o którym Wallner pisał w swoim dzienniku.

Teresa pomyślała, że w tym człowieku jest też coś więcej: potęga przywódców i królów, charyzmat kondotierów, Mana, duchowa moc, którą otrzymało niewielu, potrafiąca zarówno wzbudzać u innych wolę, jak i ją zdusić.

Od jakiegoś czasu zastanawiała się, czy tylko uległa sugestii, czy może

naprawdę ma przed sobą wyjątkową istotę.

Bądź rozsądna – powtarzała sobie, gdy siadała przed nim.

Poraził ją brak jakiegokolwiek mimiki, ale najbardziej konsternował ją wpływ, jaki wywierała na nią cała jego osoba. Wallner był szaleńcem i zbrodniarzem, ale Teresa musiała mu przyznać, że jego teorie dotyczące dziecka spod numeru trzydzieści dziewięć nie były tylko bredniami wariata.

Długo zastanawiała się, w jaki sposób się z nim porozumieć. Wątpiła, żeby słowa miały jakąkolwiek wartość dla człowieka wychowanego w samotności, w leśnej głuszy. Rozumiał je, potrafił powtórzyć, ale z pewnością nie one stanowiły jego naturalny język.

Andreas, komunikował się za pomocą zmysłów, tak jak robią to zwierzęta. Posługiwał się naturą, żeby zrozumieć świat, dlatego Teresa postanowiła posłuchać instynktu i dotrzeć do niego przez to, co było mu bliskie.

Spojrzała na Mariniego i skinęła głową, żeby podał jej prezenty, które ze sobą przynieśli.

W pierwszej kolejności położyła na stole zdjęcie dziecka karmionego piersią matki. Ściągnęła je z sieci, ale wierzyła, że to bez znaczenia: dla Andresa fotografia będzie przedstawiała jego dziecko, małego Markusa, którego wybrał na swojego dziedzica. Teresa chciała mu dać w ten sposób do zrozumienia, że chłopczyk ma się dobrze.

Od kiedy weszli do pokoju, Andreas nie przestawał wpatrywać się w ścianę i dopiero fotografia przykuła jego uwagę. Wziął ją, przyłożył do nosa i głęboko odetchnął jej zapachem. Zanim przyjechali do ośrodka, Teresa przyłożyła je do ciała dziecka. Zaskoczyło ją, że Andreas od razu się zorientował.

Drugim podarunkiem była gałązka kosodrzewiny, którą zerwała przy chacie służącej mu za dom. Gdy ją podała, w oczach Andresa zaszła ledwo dostrzegalna zmiana; jego źrenice się rozszerzyły. Zapach wiecznie zielonej rośliny należał do jego świata. Gdy zamknął na chwilę powieki, Teresa była pewna, że myślami przeniósł się do swoich gór.

Trzeci prezent należał do bezimiennego dziecka. Był to skrawek materiału znaleziony na jego szczątkach. Teresa musiała ostro walczyć, by pozwolono jej go zabrać, ale nie ustąpiła, dopóki nie usłyszała słowa „tak”.

Andreas od razu go rozpoznał. Rozpoznałby pośród tysięcy innych skrawków. Wziął go od Teresy, a ręce mu drżały – po raz pierwszy, od kiedy jego życie uległo zmianie. Przyłożył materiał do twarzy, do warg, a na końcu

do piersi, przy sercu. Zamknął oczy, a z jego ust popłynęły niskie dźwięki, których Teresa nie była w stanie zrozumieć.

Wiedziała jednak, że w ten sposób Andreas kołysze swojego przyjaciela.

Oto jego kwiat – pomyślała. Najpiękniejszy spośród tych, które oddzielały go od piekła.

Popołudnie szybko zamieniło się w wieczór, choć na horyzoncie jaśniało jeszcze rozproszone światło. Widoczne w oddali góry nie pozwalały zapomnieć, gdzie się zaczęła ta niewiarygodna historia. Powietrze było świeże i pachniało nadchodzącą wiosną. Teresie wydawało się, że czuje woń jeszcze nierozkwitłych pąków, która przepęłniła ją nadzieją.

Zawsze miała alergię na nadzieję, ale koniec końców musiała czemuś zawierzyć: dlaczego więc nie czemuś pięknemu?

Marini szedł obok niej przez parking. Trudno było odgadnąć, o czym myśli. Podczas spotkania z Andreasem był wyraźnie zmieszany, a nawet wzruszony, co zrobiło duże wrażenie na Teresie. Najwyraźniej w jego nadętej piersi, w którą z taką rozkoszą wbijała szpile pani komisarz, biło wrażliwe serce.

Gdy stanęli, każde przy swoim aucie, spojrzeli na siebie w milczeniu, jak para rewolwerowców, którzy są zbyt zmęczeni, żeby do siebie strzelać. Ta scena powtarzała się po każdym skończonym dniu pracy.

Ich twarze zdradzały wyraźne oznaki przepracowania.

Teresa nie była pewna, czy w ostatnim czasie nie przesadziła z nadmiarem obowiązków, którymi obarczyła młodego inspektora. I siebie, bo przecież cały czas spędzała u jego boku, zachęcając przykładem, żeby dawał z siebie wszystko i nigdy nie ustępował.

Włożyła rękę do kieszeni. Zaszleściły papierki po cukierkach.

Jesteśmy źle dobraną parą – pomyślała, gdy on spojrzał na nią z ukosa. Nabral przykrego zwyczaju karcenia jej samym wzrokiem, przez co nie mogła nawet przywrócić go do porządku ciętą ripostą.

Już otwierała usta, żeby coś powiedzieć, ale zaraz je zamknęła. Włożyła tylko zauszniki od okularów między wargi i zaczęła je nerwowo przygryzać. W tym momencie na parkingu rozbłysły latarnie. Powiał zimniejszy wiatr.

– To do jutra – rzuciła i podeszła do swojego samochodu.

Marini machnął jej ręką na pożegnanie.

– Do jutra.

Otworzyła drzwi, po czym zmieniła zamiar, odwróciła się i rzuciła w jego stronę cukierek. Massimo złapał go w locie.

– Idę z chłopakami na piwo do baru – powiedziała. – Jeśli dziś wieczorem nie masz randki z bibliotekarką...

– Dołączę do was.

Teresa kiwnęła głową, a jej usta wygięły się w coś, co można było wziąć za uśmiech. Najchętniej powiedziałaaby mu, że głupio wygląda z tą zadowoloną miną, ale ugryzła się w język.

Wsiadła do samochodu. W lusterku wstecznym zobaczyła, że on ciągle stoi i patrzy w jej stronę.

Jak on, do licha, ma na imię?

Wzruszyła ramionami, zapaliła silnik i odjechała.

Od autorki

Akcja powieści jest silnie zakorzeniona w charakterystycznym dla moich rodzimych stron krajobrazie. Niczego nie zmyśliłam: Traveni, jego tysiącletnie lasy, wąwóz, kamieniołom i kopalnia, alpejskie jeziora i zawrotnie wysokie szczyty istnieją naprawdę, z tym że pod innymi nazwami. Góry, pory roku, zapachy i kolory natury towarzyszyły mi od pierwszych lat życia, dlatego musiały stać się tłem dla opowiedzianej historii. Co więcej, musiały stać się jej integralną częścią, swoistym bohaterem.

Moja ziemia jest szczodra, ale potrafi też zabierać; jej synów ukształtowały rolnicza przeszłość i brutalne trzęsienie ziemi, które zmiotło z powierzchni domy, unicestwiło całe rodziny, a mimo to nie złamało woli tutejszych ludzi. Wszystko odbudowano – tam, gdzie było to możliwe – i to w czasie, gdy jeszcze liczono ofiary. Życie toczyło się dalej, choć trzęsienie ziemi raz na zawsze wpisało się w naszą naturę.

Tę powieść dedykuję również jej – mojej ziemi.

René Spitz, pochodzący z Austrii amerykański psychoanalityk, naprawdę prowadził badania nad tragicznymi skutkami syndromu pozbawienia niemowlęcia matczynych uczuć, o których wspominam w powieści. W latach 1945–1946 Spitz obserwował grupę dzieci przebywających w sierocińcu. Maluchy pozbawione wszelkich przejawów miłości rosły powoli, cierpiały na niedorozwój ruchowy i poznawczy, wykazywały brak mimiki i ogólny spadek odporności. Po kilku miesiącach wpadały w całkowitą apatię. Taki stan Spitz określił mianem „depresji anaklitycznej”.

Prawie czterdzieści procent obserwowanych dzieci zmarło przed końcem drugiego roku życia.

Jego badania, uznane za pionierskie, choć dzisiaj mogą budzić wiele wątpliwości natury etycznej, w sposób niepodważalny wykazały, że dziecko nie potrzebuje do życia jedynie troski o charakterze materialnym. Dla jego prawidłowego rozwoju psychofizycznego niezbędna jest silna i trwała więź emocjonalna.

Bodźce emocjonalne pozwalają wytworzyć fizjologiczną równowagę między agresją a libido rozumianym jako witalna siła przekazująca życie i motywująca do przetrwania. Pozbawione miłości dzieci zwracały agresję w stronę własnego ciała, gdyż to był jedyny obiekt, jaki miały do dyspozycji: umierały, choć były właściwie odżywiane.

Pieszczoty, całusy i czuły kontakt są elementem niezbędnym w takiej samej mierze co pokarm.

Na koniec słowo o Teresie Battaglii.

Teresa narodziła się dwa lata temu. Byłam właśnie w trakcie poszukiwania historii, kiedy w mojej głowie pojawiła się ona, kobieta w pewnym wieku, szorstka, ale o głębokiej empatii, walcząca z nadwagą i chorobą. Widziałam, jak w świetle lampki pochyla się nad karteczkami, które stanowiły jej papierową pamięć.

Teresa na stałe weszła do mojego życia razem z kolejnymi śledztwami, które nie dają mi spokoju i domagają się przelania na papier. Bawi mnie swoimi kąśliwymi uwagami i rozczula matczyną opiekuńczością: ona, która nigdy matką nie była.

Teresa kieruje się rozsądkiem, ale wie, kiedy dopuścić do głosu instynkt. Pastwi się nad młodymi policjantami, ale jednocześnie troszczy się o nich i zachęca do pracy nad sobą. Jest uparta, bo sama chciałabym taka być. A jej siła i wyznawane wartości moralne są dla wszystkim przykładem.

Oczywa wyobraźni widzę, jak w każdej linijce cierpi i toczy osobistą walkę, dzięki czemu sama, strona po stronie, dojrzewam u jej boku.

Napisałam tę powieść właśnie dla kobiet takich jak Teresa Battaglia, które codziennie budzą się trochę bardziej zmęczone, które walczą z samotnością, z chorobą atakującą nie tylko ciało, ale i umysł, aby nigdy nie przestały siebie kochać.

Podziękowania

Marzenie rodzi się w duchu, długo rośnie w ukryciu, ale żeby mogło się zrealizować, potrzebuje pomocy innych, którzy uwierzą w nas i wesprą. Miałam wielkie szczęście, że spotkałam na swojej drodze takie osoby, a są to:

Stefano Mauri, mój wydawca.

Fabrizio Cocco, mój redaktor (wdzięczność przepelnia mnie do głębi). Niezbędny. Wyjątkowy fachowiec i wspaniały człowiek. Dziękuję za uczucie, którym obdarzyłeś tę historię.

Giuseppe Strazzeri, dyrektor wydawniczy „Longanesi”. Dziękuję za wiarę w piękno moich kwiatów nad piekłem.

Viviana Vuscovich – dziękuję za to, że Teresa mogła wyruszyć poza granice kraju!

Cały zespół „Longanesi”, który mnie wspierał w tym, co dla mnie było zżyfową pracą. Dziękuję za Wasz entuzjizm.

Michele, mój najgorliwszy czytelnik – bywa, że niepotrzebne jest spotkanie, by przyjaźń mogła rozkwitnąć.

Mama, Fedora i Franco – dziękuję za pomoc, bez której czułabym się zagubiona w ostatnich miesiącach. I Tato – wiem, że byłby ze mnie dumny.

Największe podziękowania kieruję do Jasminy i Paola – za to, że są częścią mojego życia.

Gdy marzenie staje się rzeczywistością, zawsze nadchodzi chwila, kiedy trzeba wypuścić je z rąk i pozwolić mu odejść. Dziękuję Czytelnikom, którzy dotrwali do końca tej historii. Mam nadzieję, że pokochali Teresę tak samo jak ja.

¹ Charles Baudelaire, *Padlina*, przeł. Mieczysław Jastrun.